

George Lucas

Gwiezdne wojny

Prolog

Dawno, dawno temu w odległej galaktyce...

Dawna Republika była Republiką z legendy sięgającej poza przestrzeń i czas. Nie trzeba pamiętać, gdzie się znajdowała i kiedy powstała, wystarczy wiedzieć, że... była to Republika.

Kiedyś, pod mądrymi rządami Senatu, pod ochroną Rycerzy Jedi, Republika rozrastała się i rozkwitała. Zwykle jednak, gdy bogactwa i potęga przestają wzbudzać podziw i szacunek, a zaczynają budzić lęk, pojawiają się ci, których zła wola dorównuje chciwości. To właśnie zdarzyło się w Republice w szczytowym okresie jej rozwoju. Stała się niby potężne drzewo, wytrzymujące każdy napór, lecz od środka próchniejące, mimo iż z zewnątrz choroba nie była widoczna.

Za namową i przy pomocy niespokojnych i żądnych władzy członków rządu, a także potężnych konsorcjów handlowych, ambitny senator Palpatine zdołał skłonić Senat, by mianował go Kanclerzem. Obiecywał zaspokoić żądania niezadowolonych i odbudować dawną chwałę Republiki. Jednak gdy tylko objął rządy i poczuł się bezpieczny, ogłosił się Imperatorem i odizolował od skarg poddanych. W niedługim czasie stał się marionetką w rękach swych doradców i pochlebców, któremu powierzył najwyższe stanowiska. Wołania o sprawiedliwość nie docierały do jego uszu.

Gubernatorzy i urzędnicy Imperium zdradą i podstępem zniszczyli Rycerzy Jedi, obrońców sprawiedliwości w galaktyce. Strach zawładnął zgnębionymi ludami zamieszkującymi rozproszone gwiazdne systemy. Dla zaspokojenia osobistych ambicji często wykorzystywano siły zbrojne imperium, zawsze w imieniu coraz bardziej odizolowanego Imperatora.

Kilka systemów gwiazdnych zbuntowało się przeciw wciąż nowym gwałtom. Ogłosiły, że nie zgadzają się z Nowym Porządkiem i rozpoczęły walkę o odrodzenie Dawnej Republiki. Z początku było ich niewiele w porównaniu z tymi, w których Imperator wymuszał posłuch. W owych mrocznych dniach zdawało się rzeczą pewną, że jasny płomień oporu zostanie stłumiony, nim blaskiem nowej prawdy zdoła rozświetlić galaktykę uciskanych i krzywdzonych ludów...

Z pierwszej Sagi "Dziennika Whills"

Znaleźli się w niewłaściwym miejscu, o niewłaściwym czasie. Oczywiście zostali bohaterami.
Leia Organa z Alderaan, senator

Rozdział I

Ogromny lśniący glob rzucał w przestrzeń łagodne lśnienie barwy topazu - lecz nie był słońcem. Przez długi czas oszukiwał ludzi i dopiero, gdy jego obrońcy dotarli na pobliską orbitę, zrozumieli, że nie jest to trzecia gwiazda, lecz leżąca w podwójnym systemie planeta.

Wydawało się niemożliwe, by cokolwiek, a zwłaszcza ludzie, mogło przetrwać w takim świetle. A jednak dwa słońca, typu G1 i G2, orbitowały wokół wspólnego środka masy z zadziwiającą regularnością, zaś Tatooine okrężał je w tak dużej odległości, że zdołał się tam wytworzyć wprawdzie niezwykle gorący, lecz dość stabilny klimat. Większą część powierzchni planety pokrywała pustynia, a jej niezwykle, typowy raczej dla gwiazd, żółty blask był rezultatem silnego światła dwóch słońc, padającego na piaski bogate w sól. To samo światło rozbłysło nagle na cienkiej metalicznej osłonie obiektu, pędzącego szaleńczo ku górnym warstwom atmosfery.

Zmienna prędkość statku była celowa. Nie stanowiła efektu uszkodzenia, lecz rozpaczliwą próbę jego uniknięcia. Wąskie, niosące straszliwe energie smugi błyskały koło pancerni - wielobarwny sztorm destrukcji, niby stado tęczowych podnawek, próbujących przyssać się do większej od siebie i niechętniej im ryby.

Jednemu z promieni udało się dosięgnąć uciekiniera. Trafił w centralną płetwę. Koniec statecznika rozpadł się, a metalowe i plastikowe strzępy wytrysnęły w przestrzeń, lśniąc jak klejnoty. Zdawało się, że cały statek zadrżał.

Nad planetą pojawiło się także źródło tych śmiertelnych promieni energii - sunący ociężałe krążownik Imperium o sylwetce najeżonej niby kaktus dziesiątkami wyrzutni. Teraz, gdy łup był już blisko, przestały emitować światło. W mniejszym statku, tam gdzie został trafiony, od czasu do czasu błyskały eksplozje. Wśród absolutnego chłodu przestrzeni krążownik zbliżał się do swej rannej ofiary.

Kolejna eksplozja wstrząsnęła dalekim sektorem statku, nie nazbyt jednak odległym według oceny R2D2 i C-3PO, którzy, objając się o ściany wąskiego korytarza, czuli się jak łożyska rozklekotanej maszyny.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że wysoki człekokształtny Threepio jest przełożonym, zaś krępy trójnogi Artoo - wykonawcą jego poleceń. W istocie jednak, choć ten pierwszy prychnąłby pogardliwie, słysząc taką opinię, byli równi sobie pod każdym względem - z wyjątkiem gadatliwości. W tym Threepio oczywiście (i z konieczności) przewyższał swego towarzysza.

Jeszcze jeden wybuch wstrząsnął korytarzem i wysoki robot zatoczył się. Jego niższy kolega lepiej sobie radził w tych okolicznościach - przysadzisty, cylindryczny korpus z nisko położonym środkiem ciężkości był doskonale wyważony na trzech grubych nogach.

R2D2 odwrócił się w stronę towarzysza, który oparty o ścianę starał się utrzymać równowagę. Wokół jedyne mechaniczne oka zagadkowo błysnęły światła, gdy mały robot oglądał poobijany pancerz przyjaciela. Metaliczne wióry i kurz pokrywały lśniące zazwyczaj brązem powierzchnie, wyraźnie widać było wgniecenia - pośredni rezultat uderzeń, które trafiły statek rebeliantów.

Aż do ostatniego wstrząsu słyszeli ciągle niskie buczenie, którego nie zagłuszały najgłośniejsze nawet eksplozje. Nagle, bez widocznego powodu, basowy dźwięk. W korytarzu rozlegały się jedynie suche trzaski spieć w przekaźnikach i szum zamierających obwodów. Znowu wybuchy, tym razem naprawdę odległe, odbiły się echem od ścian.

Threepio pochylił swą gładką, podobną kształtem do ludzkiej, głowę. Metalowe uszy nasłuchiwały uważnie. Owo naśladowanie ruchów człowieka nie było konieczne - jego czujniki dźwiękowe były wszechkierunkowe - lecz smukły robot został zaprogramowany tak, by w sposób doskonały dostosowywać się do towarzystwa ludzi, a to obejmowało także imitowanie ich gestów.

- Słyszałeś to? - spytał, raczej retorycznie, swego spokojnego towarzysza.

Chodziło mu o ten ucichły nagle, buczący dźwięk. - Wyłączyli główny reaktor i napęd.

W jego głosie zabrzmiało ludzkie niedowierzanie i niepokój. Metalowa dłoń żalnym gestem pocierała zmatowiały, szary bok, gdzie padająca wręga porysowała powierzchnię pancerza. Threepio miał skłonności do pedantyzmu i takie rzeczy wprawiały go w zakłopotanie.

- Szaleństwo, zupełne szaleństwo - wolno pokręcił głową. - Tym razem na pewno będziemy zniszczeni.

Artoo odpowiedział nie od razu. Z odchylonym do tyłu beczułkowatym korpusem i mocno wsparty nogami o pokład, metrowej wysokości robot pochłonięty był obserwacją sufitu. Nie miał wprawdzie głowy, którą mógłby przekrzywić w geście nasłuchiwania, potrafił jednak wywrzeć wrażenie, że właśnie nasłuchiowaniu poświęca teraz swoją uwagę. Z jego głośnika dobiegła seria pisków i gwizdów, które nawet dla bardzo wyczulonego ludzkiego ucha byłyby tylko trzaskami zakłóceń. Dla Threepio jednak tworzyły one słowa tak jasne i czyste jak prąd stały.

- Też uważam, że musieli wyłączyć napęd - przyznał. - Ale co teraz? Mamy zniszczony główny stabilizator i nie możemy wejść w atmosferę. A nie wierzę, żebyśmy mieli się po prostu poddać.

W korytarzu pojawiła się nagle niewielka grupa mężczyzn w pomiętych mundurach, z wyrazem zdecydowania na twarzach. Nieśli miotacze i sprawiali wrażenie gotowych na śmierć.

Threepio milcząc spoglądał za nimi, póki nie zniknęli za zakrętem, potem odwrócił się do Artoo. Ten trwał bez ruchu w nie zmienionej pozycji. Threepio także popatrzył w górę, choć wiedział, że zmysły jego kolegi są odrobinę bardziej czułe od jego własnych.

- O co chodzi, Artoo?

Odpowiedzią była krótka, lecz gwałtowna seria pisków. Zresztą w chwilę później wysoka czułość sensorów nie była już potrzebna - po minucie czy dwóch śmiertelnej ciszy z góry dał się słyszeć delikatny zgrzyt, niby drapanie kota w drzwi. Źródłem niezwykłego dźwięku były ciężkie kroki i przesuwanie masywnego sprzętu po pancerzu zewnętrznym statku.

- Dostali się do środka gdzieś nad nami - mruknął Threepio, słysząc kilka przytłumionych eksplozji.

- Tym razem kapitan nie zdoła się wymknąć. - Odwrócił się i spojrzał na Artoo. - Myślę, że lepiej będzie...

Przerwał mu zgrzyt rozrywanego metalu. Oślepiający, aktywny blask zalał koniec korytarza - gdzieś tam starł się z atakującymi niewielki oddział, który kilka minut temu przechodził obok nich.

Threepio odwrócił głowę w sam czas, by ochronić delikatne fotoreceptory od przelatujących kawałków metalu. W suficie pojawił się nagle otwór, przez który zeskakiwały w dół srebrzyste kształty, przypominające wielkie metaliczne krople.

Oba roboty wiedziały, że żaden sztuczny twór nie jest zdolny do płynności ruchów, z jaką te postacie błyskawicznie zajmowały pozycje bojowe. Nowo przybyli nie byli maszynami, lecz ludźmi zakutymi w zbroje.

Jeden z nich spojrział wprost na Threepio... Nie, nie na mnie, pomyślał nerwowo przerażony robot, lecz gdzieś dalej... Postać podniosła trzymany w dłoniach okrytych rękawicami ciężki miotacz.... za późno. Wiązka intensywnego światła trafiła ją w głowę. Strzępy zbroi, ciała i kości rozprysnęły się na wszystkie strony.

Część atakującego oddziału odwróciła się w ich stronę i otworzyła ogień, celując poza dwa roboty.

- Szybko! Tędy! - rzucił rozkazująco Threepio.

Miał zamiar oddalić się od żołnierzy Imperium i Artoo posłusznie ruszył za nim.

Przeszli jednak ledwie kilka kroków, gdy zobaczyli grupę ludzi z załogi statku, zajmujących pozycje przed nimi i strzelających wzdłuż korytarza. W ciągu kilku sekund dym i krzyżujące się strumienie energii wypełniły przejście. Czerwone, zielone i błękitne błyskawice wypalały kawały plastiku ze ścian i podłogi, ryły długie szramy w metalowych powierzchniach. Krzyki rannych i umierających - dźwięk wysoce nierobotyczny, pomyślał Threepio - zagłuszały odgłosy nieorganicznej destrukcji.

Jeden z promieni uderzył tuż przed robotem, a jednocześnie inny wypalił ścianę bezpośrednio za nim, odsłaniając iskrzące przekaźniki i szeregi przewodów.

Energia podwójnej eksplozji pchnęła Threepio prosto w poszarpane kable, a dziesiątki prądów i zwarć zmieniły go w podskakującą, skręcającą się marionetkę.

Przez metalowe zakończenia jego nerwów przepływały niezwykle wrażenia. Nie sprawiały bólu, powodowały tylko zamieszanie. Za każdym razem, gdy próbował się uwolnić, rozlegał się gwałtowny trzask i przepalał się kolejny obwód. Zgiełk nie ustawał. Wciąż uderzały wokół niego tworzone przez ludzi pioruny. Walka trwała.

W wąskim korytarzu kłębił się dym. R2D2 uwijał się dookoła przyjaciela, próbując mu pomóc. Niewielki robot demonstrował flegmatyczną obojętność wobec szukających ofiary strumieni energii. Był tak niski, że większość z nich przelatywała ponad nim.

- Ratunku! - wrzasnął Threepio, przerażony nagłą informacją, którą przekazał jeden z jego wewnętrznych czujników. - Chyba coś się topi. Wyciągnij moją lewą nogę... To coś niedaleko serwomotoru. - Jak zwykle jego ton zmienił się nagle z proszącego na poirytowany. - To wszystko twoja wina! - zawołał gniewnie. - Powinienem wiedzieć, że nie wolno ufać logice niewydarzonej, termoizolowanej, pomocniczej maszyny przemeblowanej. Nie mam pojęcia, dlaczego się uparłeś, żebyśmy opuścili nasze stanowiska i weszli w ten idiotyczny korytarz dojazdowy. Zresztą i tak nie ma to już znaczenia. Na pewno cały statek...

Artoo przerwał mu serią gniewnych buczeń i gwizdów. W dalszym ciągu jednak precyzyjnymi ruchami rozcinał i odcinał poplątane przewody.

- Ach tak? - odparł z ironią Threepio. - Życzę ci tego samego, ty mały...

Wyjątkowo silny wybuch wstrząsnął korytarzem, uciszając gadatliwego robota. W powietrzu rozszedł się duszący odór palonego plastiku, a kłęby dymu przesłoniły wszystko.

Dwa metry wzrostu. Dwunożny. Luźna czarna szata i funkcjonalna, choć dziwaczna metalowa maska ekranu oddechowego osłaniająca twarz - Czarny Lord Sith - Darth Vader. Wzbudzał lęk, krocząc pewnie korytarzami statku rebeliantów.

Trwoga towarzyszyła każdemu z Czarnych Lordów, lecz aura zła, która otaczała tego właśnie, była na tyle intensywna, że zahartowani w bojach szturmowcy Imperium cofali się; na tyle groźna, że nawet oni zaczęli mrużyć coś nerwowo do siebie. Odważni do tej chwili członkowie załogi zaprzestawali oporu, rzucali broń i uciekali na sam widok zbroi Vadera, która choć czarna, nie była nawet w przybliżeniu tak mroczna, jak myśli okrytej nią istoty.

Jeden cel, jedna idea, jedna obsesja opanowała teraz umysł Dartha Vadera. Płoneła w jego mózgu, gdy skręcał w kolejny korytarz zdobywanego statku. Tu dym zdawał się rozwiewać, choć wciąż słychać było odgłosy odległej strzelaniny. Tu walka już się skończyła, lecz gdzieś dalej trwała nadal. Jedyne robot zachował zdolność swobodnego poruszania się, gdy przechodził Czarny Lord. C-3PO zerwał wreszcie ostatni trzymający go kabel. Z dala dochodziły do niego krzyki ludzi - to bezlitośni żołnierze Imperium likwidowali ostatnie gniazda rebeliantów.

Threepio spojrział w dół, lecz był tam jedynie osmalony pokład. Rozejrzał się.

- Artoo! Gdzie jesteś? - w jego głosie zabrzmiał niepokój. Chmury dymu rozstąpiły się na moment i w końcu korytarza Threepio dostrzegł przyjaciela. Był blisko, ale nie patrzył w jego stronę. Zastygł w pozycji wskazującej na wyteżoną uwagę, nad nim zaś pochylała się - nawet elektronicznym fotoreceptorom trudno było przebić się przez gęsty, lepki opar - ludzka postać. Była młoda i smukła. Według zawitych norm człowieczej estetyki, dumiał Threepio, cechowało ją chłodne piękno. Jej drobna dłoń poruszała się przy frontowej części kadłuba Artoo. Kłęby dymu znowu zgęstniały w chwili, gdy Threepio ruszył w ich stronę. A kiedy dotarł na miejsce, zastał tam już tylko Artoo. Threepio rozejrzał się niepewnie. To prawda, roboty ulegają czasami elektronicznym halucynacjom... ale dlaczego miałyby mu się przywidzieć człowiek?

Wzruszył ramionami. W końcu dlaczegoż by nie, zwłaszcza jeśli uwzględnić niezwykle wydarzenia minionej godziny, a także dawkę silnego prądu, którą niedawno wchłonał. Nie powinna go zaskakiwać żadna rzecz, którą mogłyby stworzyć jego nadwzrężone obwody.

- Gdzie byłeś? - spytał wreszcie. - Chowales się pewnie.

Zdecydował się nie wspominać o tym być-może człowieku. Jeżeli była to halucynacja, to nie miał zamiaru dawać Artoo satysfakcji informując, jak poważnie ostatnie wydarzenia zakłóciły działanie jego układów logicznych.

- Będą tędy wracać - wskazał wzrokiem koniec korytarza. Nie dając małemu automatowi czasu na odpowiedź, ciągnął dalej. - Będą szukać ludzi, którzy przeżyli. Co zrobimy? Nie zaufają słowom dwóch mas, które należały do buntowników i nie uwierzą, że nic nie wiemy. Ześlą nas do kopalń przyprawy na Kessel albo rozbiorą na części potrzebne dla robotów bardziej godnych zaufania.

A i to tylko wtedy, gdy nie uznają nas za programowane pułapki i nie rozwalą bez ostrzeżenia. Jeśli nie...

Lecz Artoo już się odwrócił i szybko potoczył korytarzem.

- Czekaj, gdzie idziesz? Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Przeklinając w kilkunastu językach, niektórych czysto mechanicznych, Threepio ruszył za swoim przyjacielem. Te jednostki R2, pomyślał, zachowują się tak, jakby zwierzały im się obwody akurat wtedy, kiedy im to odpowiada.

W korytarzu przed centrum sterowania zdobytego statku tłoczyli się ponurzy jeńcy, spędzeni tutaj przez żołnierzy Imperium. Niektórzy leżeli ranni, niektórzy konali. Kilku oficerów oddzielono od reszty załogi; stali razem, rzucając pilnującym ich szturmowcom wojownicze spojrzenia i groźby.

Nagle wszyscy - żołnierze i rebelianci - ucichli jak na komendę. Zza zakrętu wynurzyła się wysoka postać w czarnym hełmie. Dwaj śmiali i uparci do tej chwili oficerowie buntowników zaczęli drżeć. Czarny Lord zatrzymał się przed jednym z nich i wyciągnął ramię. Potężna dłoń chwyciła jeńca za szyję i uniosła w górę. Milczał, choć jego oczy wyszły z orbit.

Ze sterowni wyszedł oficer Imperium. Zdażył zdjąć swój opancerzony hełm i demonstrował świeżą szramę w miejscu, gdzie śmiertcionośny promień przebił się przez osłonę. Energicznie pokręcił głową.

- Nic nie ma, sir. Systemy przechowywania informacji zostały wytarte do czysta.

Ledwie widocznym skinieniem głowy Darth Vader dał znak, że przyjmuje ten fakt do wiadomości. Nieprzenikniona maska zwróciła się w stronę nieszczęsnego jeńca, zacisnęły się okryte metalem palce. Ofiara uniosła ręce do szyi, rozpaczliwie próbując rozewrzeć śmiertelny uścisk, lecz bez skutku.

- Gdzie są dane, które przechwyciliście? - zadudnił groźnie głos Vadera. - Co zrobiliście z taśmami?

- Nie... przejęliśmy... żadnych... informacji - zawieszony nad podłogą człowiek z wysiłkiem wciągał powietrze. Z głębi umęczonego ciała wydobył się krzyk wściekłości. - To jest... statek Rady... Nie widzieliście. naszego... oznakowania? Jesteśmy... w misji... dyplomatycznej...

- Niech chaos pochłonie waszą misję! - warknął Vader. - Gdzie są te taśmy?

Mocniej ścisnął szyję jeńca. Groźba, którą wyrażał ten gest, była aż nadto wyraźna. Oficer odpowiedział wreszcie, ledwie słyszalnym, zduszonym szeptem.

- Tylko... kapitan...wie.

- Statek nosi godło systemu Alderaan - rzucił Vader, nachylając swą straszną maskę. - Czy na pokładzie jest ktoś z rodziny królewskiej? Kogo wieziecie?

Palce zacisnęły chwyt. Oficer coraz gwałtowniej próbował się wyrwać. Jego ostatnie słowa były stłumione i niewyraźne.

Vader nie był zadowolony. Chociaż jeniec zwiśł ze straszliwą, ostateczną bezwładnością, on ciągle mocniej zaciskał palce. Rozlega się mrozący krew w żyłach trzask pękających kości, podobny do chrobotu pazurów psa biegnącego po plastikowej powierzchni. Z pełnym niesmaku westchnieniem Vader cisnął martwą ofiarę o ścianę. Kilku szturmowców uchyliło się, w ostatniej chwili unikając spotkania z tym strasznym pociskiem.

Czarny Lord odwrócił się nagle, a oficerowie Imperium skulili się pod jego groźnym spojrzeniem.

- Rozerwijcie ten statek na kawałki, na części, ale musicie znaleźć te taśmy. Co do pasażerów, jeżeli są tu jacyś, to chcę ich mieć żywych - przerwał na chwilę, po czym dodał: - Szybko!
Oficerowie i żołnierze w pośpiechu niemal zderzali się ze sobą. Nie szło im wyłącznie o to, by jak najprędzej wykonać polecenia, lecz po prostu, by usunąć się z nieprzyjemnego sąsiedztwa groźnej postaci.

R2D2 wszedł wreszcie w wąskie przejście i zatrzymał się. Nie było tu dymu, ślady walki także nie były widoczne. Zatroškany, niespokojny Threepio stanął obok.

- Ciągniesz mnie przez pół statku i gdzie.. - przerwał, obserwując z niedowierzaniem, jak jedna z zakończonych szczypcami kończyn krępego robota zrywa plombę wjazdu szalupy ratunkowej. W chwilę później zabłysło ostrzegawcze, czerwone światło, a w korytarzyku zabrzmiały niskie sygnały alarmowe.

Threepio rozejrzył się nerwowo, lecz wokół wciąż było pusto. Popatrzył znowu na Artoo, gdy ten przepychał się już do ciasnego wnętrza szalupy. Było dostatecznie obszerne, by pomieścić kilka istot ludzkich, projekt jednak nie przewidywał obecności robotów. Artoo miał sporo kłopotów z umieszczeniem swego kadłuba w niewielkiej kabynie.

- Hej! - zaskoczony Threepio krzyknął ostrzegawczo. - Nie wolno ci tu wchodzić!

To jest tylko dla ludzi! Być może uda się nam przekonać żołnierzy, że nie zaprogramowano nas do buntu, a jesteśmy zbyt cenni, żeby nas niszczyć, ale jeśli ktoś cię tutaj zobaczy, to nie mamy żadnych szans. Wyłaź natychmiast!

Artoo zdołał jakoś wtłoczyć swe ciało na miejsce przed miniaturową konsolą sterowania. Pochylił się lekko do przodu i wydał serię głośnych gwizdów i buczeń skierowanych do niechętnego towarzysza.

Threepio słuchał. Nie mógł wprawdzie zmarszczyć czoła, lecz zachował się tak, jakby to właśnie robił. - Misja... co za misja? O czym ty mówisz? Chyba w twoim mózgu nie została ani jedna cała integralna końcówka logiczna. Nie! Żadnych więcej przygód. Spróbuję szczęścia ze szturmowcami... i nie mam zamiaru tu wchodzić. - Z głośnika Artoo dobiegł gniewny elektroniczny skrzek. - I nie wymyślaj mi od bezmózgich filozofów, ty kanciasta, przepelniona beczko smaru!

Threepio zastanawiał się właśnie, co jeszcze mógłby dodać do swej wypowiedzi, gdy nagły wybuch rozniósł tylną ścianę korytarza. Kurz i metalowe strzępy ze świstem przesywały niewielką przestrzeń. Niemal natychmiast rozległa się głośna seria mniejszych wybuchów. Odsłonięta przegroda wewnętrzna zajęła się ogniem. Płomienie odbijały się w nielicznych błyszczących jeszcze powierzchniach pancerza Threepio. Mrucząc pod nosem elektroniczny odpowiednik polecenia swej duszy nieznanemu, smukły robot skoczył do szalupy.

- Będę tego żałował - powiedział głośniej, gdy Artoo zamknął klapę luku.

Mały automat pstryknął kilkoma przełącznikami, otworzył osłonę i w określonej kolejności wcisnął trzy guziki. W huku odpalanych zaczepów szalupa odskoczyła od okaleczonego statku.

Dowódca krążownika Imperium odetchnął z ulgą, gdy przez komunikator nadeszła informacja o zniszczeniu ostatniego gniazda oporu buntowników. Z satysfakcją wysłuchiwał meldunków o działaniach swoich ludzi, kiedy poprosił go jeden z oficerów artylerii. Kapitan podszedł i spojrzał na okrągły ekran obserwacyjny. Widoczny na nim niewielki punkcik opadał ku majaczącej w dole gorącej planecie.

- Jeszcze jedna szalupa, sir. Rozkazy? - jego palce zawisły wyczekująco nad przełącznikiem komputera celowniczego baterii energetycznej.

Ufny w moc ognia swego statku kapitan od niechcenia studiował odczyty czujników skierowanych w stronę kutra. Wszystkie wskazywały zgra.

- Proszę się powstrzymać, poruczniku Hija. Sensory nie wykazują obecności istot żywych na pokładzie. Pewnie w układzie odpalającym tej szalupy nastąpiło jakieś zwarcie, albo wpłynęła przekłamana instrukcja. Niech pan nie marnuje energii.

Z zadowoleniem wrócił do raportów o jeńcach i spręcie, napływających z przechwyconego statku rebeliantów.

Błyski eksplodujących tablic kontrolnych i iskrzenie przewodów odbijały się w zbroi pierwszego z oddziału szturmowców badających kręte korytarze statku. Miał właśnie odwrócić się i wezwać idących za nim kolegów, kiedy z boku zauważył jakieś poruszenie. Coś ukrywało się, skulone, w płytkiej, ciemnej wnęce. Zajrzał tam ostrożnie, trzymając miotacz w pogotowiu.

Drobna drżąca postać, odziana w luźną białą suknię, przyciskając plecy do ściany z lękiem wpatrywała się w żołnierza. Ten spostrzegł, że ma doczynienia z młodą kobietą, a jej wygląd odpowiada opisowi jednej z osób, którymi Czarny Lord szczególnie się interesował. Mężczyzna uśmiechnął się. Szczęśliwe spotkanie, pomyślał. Na pewno nie minie go awans.

Przekreślił głowę wewnątrz hełmu, zbliżając usta do niewielkiego mikrofonu.

- Tu ją mam - powiedział do nadchodzących kolegów. - Ustawcie miotacze na ogłusza...

Nigdy nie zdołał dokończyć tego zdania, nigdy też nie doczekał się upragnionego awansu. Gdy tylko, skupiony na komunikatorze, przestał na moment zwracać uwagę na dziewczynę, jej niepewność rozwiązała się ze zdumiewającą szybkością. Uniosła trzymany dotąd za plecami miotacz energii i wyskoczyła ze swej kryjówki.

Jako pierwszy padł żołnierz, który miał nieszczęście ją znaleźć - wystrzał zmienił jego głowę w masę stopionego metalu i kości. Ten sam los spotkał kolejną okrytą pancerzem postać nadbiegającą z tyłu. Potem jaskrawozielona wiązka energii dotknęła ramienia dziewczyny, a ta runęła bezwładnie, wciąż ściskając miotacz w drobnej dłoni.

Ludzie w zbrojach stanęli wokół niej. Jeden z nich, noszący na ramieniu insygnia podoficera, przykłęknął i odwrócił kobietę na wznak. Doświadczonym spojrzeniem zbadał bezwładne ciało.

- Nic jej nie będzie - stwierdził, spoglądając na swych podkomendnych. - Zameldujcie Lordowi Vaderowi.

Threepio jak zahipnotyzowany wpatrywał się w niewielki iluminator wbudowany w przednią część szalupy. Obserwował, jak z wolna pochłania ich gorąca, żółta kula Tatooine. Wiedział, że gdzieś z tyłu znika powoli okaleczony statek i krążownik Imperium. Nie miał nic przeciwko temu. Jeśli tylko uda im się wylądować w pobliżu jakiegoś miasta, poszuka sobie kulturalnego miejsca pracy, gdzie spokojna atmosfera będzie bardziej odpowiednia do jego statusu i poziomu wykształcenia. Jak dla prostego automatu, ostatnie miesiące nosły aż nazbyt wiele irytujących i nie dających się przewidzieć wypadków.

Ruchy Artoo przy sterach zdawały się całkowicie przypadkowe i raczej nie obiecywały miękkiego lądowania. Threepio spojrzął na towarzysza z niepokojem. - Jesteś pewien, że potrafisz to pilotować? Artoo odpowiedział wymijającym gwizdnięciem, które w niczym nie odmieniło wzburzonego stanu umysłu wysokiego robota.

Rozdział II

Jest takie powiedzenie osadników mówiące, że łatwiej wypalić oczy wpatrując się w spieczone, piaszczyste równiny Tatoonie, niż patrząc wprost na dwa wielkie słońca planety - tak silny był przenikliwy blask, odbity od tych nieskończonych pustkowi. Mimo to życie mogło istnieć - i istniało - na tych dnach dawno wyschniętych mórz. Tę możliwość dawało ponowne wprowadzenie wody do obiegu. Dla ludzkich celów jednak dostępna była tylko drobna część wody Tatoonie. Atmosfera niechętnie oddawała swą wilgoć. Trzeba było ją ściągać z rozpalonego nieba - ściągać siłą i wtłaczać w wysuszoną glebę.

Dwie postacie, których zadaniem było gromadzenie wilgoci, stały właśnie na niewielkiej pochyłości, w sercu jednej z niegościnnych równin. Pierwszą z nich, sztywną i metaliczną, był przysypany piaskiem skraplacz, pewnie zakotwiczony w głębokich warstwach skały. Druga, stojąca obok, była o wiele bardziej ruchliwa, choć w równym stopniu spalona słońcem.

Luke Skywalker był dwa razy starszy od dziesięcioletniego już skraplacza i o wiele bardziej zirytowany. Właśnie przeklinał cicho oporny regulator zaworów tego pełnego temperamentu automatu. Od czasu do czasu, zamiast użyć właściwego narzędzia, próbował dużo mniej subtelnej metody walenia pięścią. Żaden ze sposobów nie przynosił jednak rezultatów. Luke był przekonany, że smary używane do skraplaczy zamiast spełniać swe zadanie, przyciągają tylko małe, ostre kryształki piasku, wabiąc je oleistym lśnieniem. Otarł pot z czoła i wyprostował się na chwilę. W tym momencie jedyną sympatyczną cechą tego młodego człowieka było jego imię. Lekki wiatr targał mu czuprynę i workowatą, roboczą tunikę. Chłopiec przyglądał się urządzeniu. Nie ma co się wściekać, pomyślał. W końcu to tylko nieinteligentna maszyna.

Luke rozważał swe kłopotliwe położenie, gdy na scenie zjawiała się trzecia postać: robot typu Treadwell wynurzył się zza skraplacza i zaczął nieporadnie grzebać w uszkodzonym mechanizmie. Tylko trzy z jego sześciu ramion funkcjonowały, a i te były bardziej zużyte niż podeszwy butów Luke'a. Ruchy maszyny były niepewne i przerywane.

Luke popatrzył na Treadwella ze smutkiem, potem uniósł głowę ku niebu. Wciąż ani obłoczka, a wiedział, że chmury nie pojawią się, jeśli się nie uruchomi skraplacza. Właśnie na nowo zabierał się do pracy, gdy jego uwagę zwrócił silny błysk. Pospiesznie odpiął od pasa starannie oczyszczoną makrolornetkę i skierował ją w górę. Przez dłuższą chwilę wyteżał wzrok, pragnąc zamiast niej mieć do dyspozycji prawdziwy teleskop. Skraplacz, upał i wszelkie codzienne zajęcia poszły w zapomnienie. Zdecydowanym ruchem przypiął lornetkę do pasa, odwrócił się i ruszył w stronę śmigacza. W połowie drogi przypomniał sobie o robocie.

- Pośpiesz się! - krzyknął niecierpliwie. - Na co czekasz? Włącz go i jedziemy.

Treadwell ruszył ku niemu, zawahał się, po czym zaczął zataczać niewielkie kręgi. Dym buchnął ze wszystkich jego złączy. Luke wykrzykiwał kolejne rozkazy, w końcu zrezygnował, pojawiwszy, że słowa nie wystarczą, by na nowo skłonić robota do sensownego działania. Przez chwilę zastanawiał się. Nie chciał zostawić tu tej maszyny. Ale przecież, przekonywał sam siebie, i tak wszystkie ważniejsze systemy Treadwella są poprzepalane. Bez dalszego namysłu wskoczył do pojazdu. Pod jego ciężarem dopiero co naprawiony repulsyjny śmigacz przechylił się niebezpiecznie. Luke wśliznął się za konsolę, przywracając mu równowagę. Po chwili lekki wehikuł transportowy uniósł się nieco ponad piaszczyste podłoże i ustabilizował niby łódź na wzburzonej wodzie. Silnik zawył protestująco, fontanna piasku trysnęła z tyłu i pojazd skierował się w stronę odległego Anchorhead. Kolumna dymu z płonącego robota wzbijała się wysoko w czystym, pustynnym powietrzu. Gdy Luke powróci, maszyny już tu nie będzie. Na rozległych pustkowiach Tatoonie obok zwykłych padlinożerców żyli i tacy, których interesował metal.

Budowle z kamienia i metalu, całkowicie wyblakłe od blasku Tatoo I i Tatoo II, skupione były blisko siebie, zarówno w celach towarzyskich, jak i obronnych. Tworzyły centrum szeroko

rozproszonej farmerskiej społeczności Anchorhead. O tej porze zakurzone, niebrukowane ulice były ciche i puste. Piaskomuchy brzęczały leniwie pod splekanymi okapami betonowych budynków. Z dala dobiegało szczekanie psa, jedyny znak życia do chwili, gdy na drodze pojawiła się samotna stara kobieta, szczelnie okryta metalizowanym, chroniącym od słońca szalem. Ruszyła przez ulicę, gdy nagle jakiś dźwięk sprawił, że zatrzymała się i rozejrzała uważnie. Dźwięk szybko nabrał mocy i zza zakrętu wyskoczył z rykiem lśniący, prostokątny kształt. Staruszka wytrzeszczyła oczy, spostrzegłszy, że zbliżający się ku niej pojazd nie ma zamiaru zmienić kierunku jazdy. Musiała uskoczyć, by zejść mu z drogi.

- Czy ci smarkacze nigdy nie nauczą się jeździć trochę wolniej! - podniosła głos, starając się przekrzywić wycie silnika. Z trudem łapała oddech i wygrażała pięścią.

Luke być może ją zauważył, na pewno jednak nie mógł jej usłyszeć. Zatrzymał śmigacz przy długim, niskim betonowym budynku, z którego ścian i dachu sterczały przeróżne pręty i spirale. Charakterystyczne dla Tatooine niepowstrzymane fale zasypywały żółtym piachem ściany stacji. Nikt nie zadawał sobie trudu, by go usunąć. I tak następnego dnia byłby tu znowu.

- Hej! - zawołał Luke, z rozmachem otwierając drzwi wejściowe.

Kanciasty młody człowiek w kombinezonie mechanika siedział rozparty na krześle za zaniechaną tablicą kontrolną stacji. Jego twarz i ręce błyszczały od kremu ekranującego, chroniącego przed palącymi promieniami obu słońc. Siedząca mu na kolanach dziewczyna osłaniała swą skórę w podobny sposób. Zresztą na niej nawet plamy wyschniętego potu wyglądały pociągająco.

- Hej, wy wszyscy! - krzyknął znowu Luke, gdy jego pierwsze zawołanie nie spowodowało należytej reakcji. Podbiegł do warsztatu w tylnej części stacji, a na pół śpiący mechanik przesunął dłonią po twarzy.

- Czy naprawdę słyszałem, jak jakiś młody krzykacz wleciał tu jak rakieta? - zapytał.

Dziewczyna przeciągnęła się zmysłowo. Jej znoszony kombinezon zaczął się rozchyłać w kilku interesujących miejscach.

- Nic ważnego - mruknęła obojętnie niskim, gardłowym głosem. - To tylko Robaczek się miota, jak zwykle.

Na widok wpadającego do pokoju Luke'a, Deak i Windy oderwali się od komputerowej partii bilardu. Ubrani byli podobnie jak on, choć ich kombinezony były jakby lepiej dopasowane i mniej wytarte. Cała dójka tworzyła silny kontrast z krępym, przystojnym młodym człowiekiem, stojącym po drugiej stronie stołu. Krótko przycięte włosy i obcisły mundur wyróżniały go tutaj niby mak wśród pola owsa. Gdzieś z tyłu dobiegały ciche szmery - to robot naprawczy męczył się z jakimś elementem wyposażenia.

- Zostawcie to, chłopaki! - krzyknął podniecony Luke. Teraz dopiero zauważył nieco starszego mężczyznę w mundurze. Zdumiał się, rozpoznając go od razu.

- Biggs!

Tamten wykrzywił twarz w półuśmiechu. - Cześć. Luke.

Uścisnęli się serdecznie.

Luke odstąpił o krok i spojrzał na przyjaciela, otwarcie zachwycony jego mundurem.

- Nie wiedziałem, że już wróciłeś. Od kiedy tu jesteś?

Pewność siebie Biggsa nie była zarozumiałością, choć graniczyła z nią bardzo blisko.

- Od paru chwil. Chciałem ci zrobić niespodziankę, wariacie - machnął ręką. - Myślałem, że będziesz tutaj, razem z tymi dwoma nocolazami - Deak i Windy uśmiechnęli się.

- W życiu nie przyszłoby mi do głowy, że wyjechałeś pracować - wybuchnął swobodnym, zaraźliwym śmiechem.

- Nie zmieniłeś się w Akademii - stwierdził Luke. - Ale wróciłeś tak szybko...

Słuchaj, co się stało? - w jego głosie zabrzmiał niepokój. - Nie dostałeś patentu?

Biggs spuścił oczy i odpowiedział jakby wymijającym tonem.

- Oczywiście, że dostałem. Właśnie w zeszłym tygodniu zamustrowałem się na frachtowiec "Rand Ecliptis". Pierwszy oficer Biggs Darklighter, do usług - zsalutował na pół poważnie, na pół

żartobliwie i znów rozciągnął wargi w wyniosłym, a przecież ujmującym uśmiechu. - Wróciłem tylko po to, żeby powiedzieć "do widzenia" wszystkim przykutym do powierzchni prostaczkom.

Roześmieli się, zaś Luke nagle przypomniał sobie, co sprowadziło go tutaj w takim pośpiechu.

- Byłbym zapomniiał - powiedział, czując powracające podniecenie. - jest jakaś bitwa. Tu, w naszym systemie. Chodźcie popatrzeć.

Deak był rozczarowany.

- Znów jedna z twoich epickich wojen. Nie dość ich już wyśniłeś? Zapomnij o tym, Luke.

- Zapomnij! Do licha, mówię poważnie! To jest bitwa, na pewno.

Przekonując ich i popychając, Luke zdołał w końcu nakłonić wszystkich na stacji do wystawienia się na żar obu słońc. Najbardziej niechętna całemu przedsięwzięciu była Camie.

- Byłoby dla ciebie lepiej, żeby widok wart był oglądania - ostrzegła, osłaniając oczy od blasku. Luke zdążył już wyjąć makrolornetkę i właśnie przeszukiwał niebo. Odnalezienie właściwego punktu zajęło mu tylko chwilę.

- A nie mówiłem? - wykrzyknął. - Są tam.

Biggs podszedł do niego i sięgnął po lornetkę, zaś pozostali wyteżali wzrok. Niewielkie przestrojenie szkieł pozwoliło młodemu oficerowi uzyskać wystarczające powiększenie, by zdołał rozróżnić dwa srebrne punkciki na ciemnobłękitnym tle.

- To nie żadna bitwa, wariacie - orzekł. Opuścił lornetkę i spojrzał łagodnie na przyjaciela. - One po prostu tam są. Dwa statki, to się zgadza. Na pewno prom z ładunkiem i frachtowiec, bo Tatooine nie ma stacji orbitalnej.

- Ale one strzelały do siebie... przedtem - zapewnił Luke. jego początkowy entuzjazm rozwiewał się wobec miazdzącej pewności starszego kolegi.

Camie wyrwała Biggsowi lornetkę, przez nieuwagę lekko uderzywszy nią o filar. Luke odebrał ją szybko i zbadał obudowę, szukając uszkodzeń.

- Delikatniej - powiedział z wyrzutem.

- Nie zamartwiaj się tak, Robaczku - zadrwiła Camie.

Luke postąpił krok w jej stronę i zatrzymał się, gdy solidnie zbudowany mechanik od niechcenia wszedł między nich i uśmiechnął się ostrzegawczo. Chłopiec po namyśle zdecydował się zapomnieć o incydencie.

- Ciągłe ci to mówię, Luke - mechanik przemawiał tonem człowieka znudzonego bezskutecznym powtarzaniem wciąż tych samych argumentów. - Rebelia jest daleko stąd. Wątpię, czy Imperium walczyłoby o utrzymanie tego systemu. Uwierz mi, Tatooine to tylko wielka kupa niczego.

Zanim Luke zdążył coś odburknąć, wszyscy byli już z powrotem w stacji. Fixer objął Camie ramieniem i oboje podśmiewali się z jego naiwności. Nawet Deak i Windy mruzcili coś między sobą - na jego temat, Luke był tego pewien. Poszedł za nimi, rzuciwszy dalekim punkcikom ostatnie spojrzenie. Był pewien, że widział błyski światła pomiędzy nimi. A także tego, że te błyski nie były odbiciem słońc Tatooine w metalowych powierzchniach.

Sznur, wiążący jej ręce na plecach był środkiem wprawdzie ptymitywnym, ale skutecznym. Stała uwaga, jaką poświęcał jej oddział uzbrojonych po zęby szturmowców mogłaby wydać się przesadna w odniesieniu do jednej drobnej kobiety, lecz życie tych żołnierzy zależało od tego, czy bezpiecznie odstawią ją na miejsce. Kiedy jednak rozmyślnie zwolniła kroku, stało się jasne, że strażnicy nie są nadmiernie zainteresowani dobytym traktowaniem jeńca: jeden z nich pchnął ją w kark tak mocno, że niemal upadła. Obejrzała się i zmierzyła go gniewnym spojrzeniem. Trudno powiedzieć, czy wywarło to na nim jakieś wrażenie, gdyż opancerzony hełm całkowicie skrywał jego twarz. W korytarzu, do którego dotarli, ciągle jeszcze snuł się dym, unoszący się z gorących krawędzi otworu, wypalonego w pancerzu statku. Przyłączono do niego składany tunel - most pomiędzy okrętem rebeliantów i krążownikiem. Na jego drugim końcu widoczny był krąg światła. Przyjrzała się przejściu i właśnie odwracała się, gdy padł na nią cień. Mimo niewzruszonego opanowania poczuła ukłucie lęku. Ponad nią wznosiła się groźna sylwetka Dartha Vadera.

Czerwone oczy lśniły za straszną maską oddechową. Na gładkim policzku dziewczyny zadrgał jakiś mięsień, lecz była to jedyna oznaka strachu.

- Darth Vader... powinienem się domyślić - powiedziała pewnym głosem. - Tylko ty jesteś dość zuchwały... i dość głupi. Senat Imperium nie puści tego płazem. Gdy się dowiedzą, że zaatakowałeś statek lecący w misji dyploma...

- Senator Leia Organa - Vader mówił spokojnie, lecz wystarczająco głośno, by zagłuszyć jej protesty. Sposób, w jaki cedził każdą sylabę wyraźnie świadczył o tym, że schwytanie jej sprawiało mu niemałą satysfakcję. - Niech Wasza Wysokość przestanie grać ze mną w ciuciubabkę - kontynuował złowróżbnym tonem. - To nie jest żadna misja dobrej woli. Przelecieliście przez zastrzeżony system, ignorując liczne ostrzeżenia i całkowicie lekceważąc rozkazy powrotu do chwili, kiedy przestało to być istotne. Wielki metalowy hełm pochylił się. - Wiem, że szpiedzy działający w tym systemie kilkakrotnie nadali meldunki, przeznaczone dla tego statku. Kiedy poszliśmy śladem owych transmisji i dotarliśmy do osobników, którzy je wysłali, okazali na tyle złe manieri, że pozabijali się, zanim zdążyliśmy ich przesłuchać. Chcę wiedzieć, gdzie są dane, które wam dostarczyli.

Ani słowa Vadera, ani jego groźna osoba nie wywierały na dziewczynie na pozór żadnego wrażenia.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - powiedziała odwracając wzrok. - Jestem członkiem Senatu w misji dyplomatycznej do...

- Do twoich zbuntowanych sojuszników - oświadczył Vader tonem oskarżyciela. - Jesteś także zdrajczynią. Zabierzcie ją - rzucił stojącemu obok oficerowi. Splunęła w jego stronę. Ślina zasyczała na gorącym jeszcze pancerzu bojowym. Vader milcząc stał resztki. Z zainteresowaniem przyglądał się, jak dziewczyna oddala się korytarzem. Wysoki, chudy żołnierz, noszący insygnia komandora, stanął obok Czarnego Lorda.

- Przetrzywanie jej jest niezbyt bezpieczne - stwierdził także spoglądając na eskortowaną do krążownika Leię Organę. - Jeśli wiadomość o tym rozejdzie się, wzbudzi niepokój w Senacie. A to spowoduje wzrost sympatii dla buntowników - spojrzał na nieruchomą metalową maskę. - Powinna zostać zlikwidowana. Natychmiast - dodał zdecydowanie.

- Nie. Moim najważniejszym zadaniem jest odnalezienie ich ukrytej fortecy - odparł niedbale Vader.

- Wszyscy szpiedzy rebeliantów zginęli albo z naszej ręki, albo z własnej. A więc ona jest jedynym kluczem do tej tajemnicy. Użyję jej jak najlepiej, nawet zniszczę, jeśli okaże się to konieczne, ale dowiem się, gdzie jest baza buntowników.

Komandor zacisnął wargi i pokręcił głową.

- Umrze, zanim coś z niej wydobędziemy - rzekł, a w jego głosie zabrzmiała nuta sympatii dla dziewczyny.

- To moja sprawa - stwierdził Vader z budzącą dreszcz obojętnością. Przez chwilę zastanawiał się. - Proszę wysłać szerokopasmowy sygnał katastrofy - mówił dalej.

- Niech pan ogłosi, że statek Senatora wpadł nieoczekiwanie w strumień meteorów, którego nie zdołał ominąć. Odczyty wskazują, że osłony były przeciążone i że w wyniku przebiec statek utracił dziewięćdziesiąt pięć procent atmosfery. Niech pan zawiadomi jej ojca i Senat, że wszyscy na pokładzie ponieśli śmierć.

Weszło kilku zmęczonych żołnierzy. Podeszli do komandora i Vadera. Czarny Lord przyglądał się im wyczekująco.

- Taśm z danymi, o które nam chodzi, nie ma na pokładzie - wyrecytował mechanicznie dowódca. - Nie znaleźliśmy także żadnych wartościowych informacji w blokach pamięciowych statku. Od momentu kontaktu nie namierzono również żadnych transmisji. Podczas walki odłączyła się uszkodzona kapsuła ratunkowa, ale stwierdzono, że na jej pokładzie nie ma istot żywych. Vader zastanowił się.

- To mogła być uszkodzona kapsuła - myślał głośno. - Ale równie dobrze mogły tam być te taśmy. Taśmy to nie istoty żywe. Jeżeli znajdzie je któryś z tubylców, to zapewne nie będzie sobie zdawał sprawy, jakie są ważne. Pewnie je skasuje i przeznaczy do własnego użytku. Mimo to... - Proszę

wysłać oddział, który je odzyska albo upewni się, że nie było ich w szalupie - polecił przysłuchującemu się oficerowi. - Bądźcie tak dyskretni, jak tylko będzie to możliwe. Nie należy zwracać na siebie uwagi, nawet na tej zapadłej prowincjonalnej planecie. Żołnierze oddalili się, Vader zaś zwrócił się do komandora.

- Niech pan zniszczy statek. Nie chcę, by pozostały jakiegokolwiek ślady. Co do szalupy, to nie mogę uznać, że to zwykła awaria. Byłoby to zbyt ryzykowne. Dane, które mogły się na niej znaleźć, są niebezpieczne. Proszę osobiście dopilnować tej sprawy. Jeżeli te taśmy istnieją, to musimy je odzyskać albo zniszczyć. Za wszelką cenę.

Po chwili dodał z wyraźną satysfakcją:

- Z tym, czego dokonaliśmy i z senator Organą w rękach prędko położymy kres tej bezsensownej rebelii.

- Pańskie rozkazy zostaną wykonane, Lordzie Vader - rzekł komandor, po czym obaj zniknęli w tunelu prowadzącym na pokład krążownika.

- Cóż to za zakazane miejsce!

Threepio odwrócił się ostrożnie i spojrzał na zagrzebaną do połowy w piachu kapsułę. Jego żyroskopy ciągle nie mogły odzyskać równowagi po twardym lądowaniu.

Lądowaniu... samo użycie tego słowa nazbyt pochlebiał jego tępemu koledze. Z drugiej strony powinien zapewne być wdzięczny, że dotarł tutaj w jednym kawałku. Chociaż, zastanawiał się obserwując pustą okolicę, wciąż nie był pewien, czy nie lepiej było zostać na zdobytym statku. Z jednej strony z linii horyzontu wyrastały wysokie, strome płaskowzgórza piaskowca, natomiast we wszystkich pozostałych kierunkach ciągnęły się niby długie żółte zęby, nieskończone szeregi wydmy. Ocean piasku rozpyływał się w oślepiającym blasku i nie można było dostrzec, gdzie kończy się, a gdzie zaczyna niebo.

Niewielki obłoczek mikroskopijnych cząsteczek unosił się wokół dwóch oddalających się od szalupy robotów. Stateczek w pełni wykonał zadanie, dla którego został zaprojektowany. Teraz był całkowicie bezużyteczny. Konstrukcja żadnego z robotów nie przewidywała pieszego pokonywania takiego terenu, więc z wysiłkiem torowały sobie drogę, grzęznąc w sypkim piasku.

- Wydaje mi się, że wyprodukowano nas dla cierpienia - jęknął żałośnie Threepio.

- Cóż za marna egzystencja.

Coś zgrzytnęło w jego lewej nodze. Drgnął.

- Muszę odpocząć, bo rozpadnę się na kawałki. Moje układy wewnętrzne jeszcze nie doszły do siebie po tym zwałeniu się na łeb, które ty nazywasz lądowaniem. Zatrzymał się, lecz Artoo nie zwrócił na to uwagi. Skreślił ostro i sunął teraz w stronę najbliższego pasma skał.

- Hej, ty! - zawołał Threepio. Artoo zignorował okrzyk i kontynuował marsz. - Gdzie ty właściwie idziesz?

Artoo zatrzymał się w końcu i wyemitował ciąg elektronicznych wyjaśnień. Zmęczony Threepio podszedł do niego.

- No więc ja nie mam zamiaru tam iść - oświadczył, gdy mniejszy robot zakończył wypowiedź. - Za dużo skał. - Machnął ręką w kierunku, w którym szli poprzednio, pod ostym kątem oddalając się od linii skał. - Ta droga jest o wiele łatwiejsza. A właściwie dlaczego sądzisz, że tam - pogardliwie skinął metalową dłonią w stronę gór - są jakieś osady?

Z wnętrza Artoo wydobył się długi gwizd.

- Lepiej nie odnoś się do mnie tak technicznie - ostrzegł Threepio. - Zaczynam mieć dosyć twoich decyzji.

Artoo zabuczał krótko.

- W porządku, zrobisz jak chcesz - oznajmił Threepio. - Zaryjesz się w piasku, zanim minie dzień, ty krótkowzroczna kupo złomu. Pogardliwie trącił niższego robota. Ten stoczył się z niewielkiej wydmy, a kiedy próbował się podnieść, Threepio ruszył ku zamglonej linii horyzontu. Raz jeszcze obejrzał się przez ramię.

- I żebym cię nie widział, jak leziesz za mną i błagasz o pomoc - ostrzegł. - Bo i tak nic ci z tego nie przyjdzie.

Artoo wyprostował się wreszcie. Zatrzymał się jeszcze na chwilę, by pomocniczym wysięgnikiem oczyścić swe jedyne elektroniczne oko. Potem wydał z siebie wysoki pisk, niemal dokładną imitację ludzkiego sposobu wyrażania gniewu. Po czym bucząc coś cicho do siebie skręcił i, jakby nic się nie stało, ruszył mozolnie w stronę piaskowcowych urwisk.

Kilka godzin później wewnętrzny termostat Threepio był przeciążony i niebezpiecznie bliski wyłączenia, spowodowanego przegrzaniem. Android dotarł do czegoś, co - miał nadzieję - było ostatnią z szeregu wznoszących się przed nim wydm. Nie opodal filary i skarpy zbieleńszego wapnia i kości jakiejś gigantycznej bestii tworzyły niezbyt sympatyczny punkt orientacyjny. Ze szczytu robot rozejrzał się niespokojnie. Zamiast oczekiwanej zieleni, oznaczającej istnienie ludzkich osad, zobaczył tylko kolejne kilkadziesiąt wydm, niczym nie różniących się od tej, na której właśnie stał - ani kształtem, ani nadziejami, jakie budziły. Te najdalsze były nawet wyższe niż ta, na którą właśnie się wdrapał. Threepio spojrzął za siebie, na bardzo już odległy skalny płaskowyż. Trudno było go dostrzec w drgającym od gorąca powietrzu.

- Ty zepsuty, mały gracie - mruknął, nawet teraz niezdolny do przyznania, że może, choćby przypadkiem, Artoo miał jednak rację. - To wszystko przez ciebie. To ty mnie namówiłeś, żebym poszedł tędy, ale sam też nie lepiej sobie radzisz.

Jego los także się nie poprawi, jeśli nie ruszy w dalszą drogę. Postąpił krok do przodu i natychmiast w jego nodze coś zgrzytnęło nieprzyjemnie. Poczł przyptyw elektronicznego strachu. Usiadł i zaczął czyścić zapiaszczone stawy. Mógł iść dalej w tym samym kierunku, mówił sobie. Albo mógł przyznać się do błędu, zawrócić i starać się dogonić R2D2. Żadna z tych możliwości nie była szczególnie pociągająca. Było jeszcze trzecie wyjście. Mógł siedzieć tutaj, błyszcząc w słońcu, aż zapieką się jego stawy, przegrzeją systemy wewnętrzne, a ultrafiolet przepali fotoreceptory. Stanie się jeszcze jednym pomnikiem niszczącej potęgi podwójnej gwiazdy, tak jak ten wielki organizm, którego wyschnięte kości przed chwilą widział.

Fotoreceptory już zaczynają wysiadać, pomyślał, gdy wydało mu się, że dostrzega w dali jakiś ruch. Pewnie drgania gorącego powietrza. Nie... nie, to stanowczo odbicie światła od metalu i w dodatku to coś się zbliża. Zbudziły się w nim nowe nadzieje. Wstał, nie zważając na ostrzegawcze sygnały uszkodzonej nogi i jak szalony zaczął wymachiwać rękami. Teraz widział już wyraźnie: to był pojazd, choć nie znanego mu typu. Ale zawsze pojazd, a zatem inteligencja i technologia. Podniecony zapomniał o możliwości, że pojazd nie musi być wyprodukowany przez ludzi.

- No więc zmniejszyłem moc, zamknąłem dopalacze, zszedłem nisko i siadłem Deakowi na ogon - gestykulował Luke. Spacerowali z Biggsem w paśmie cienia na zewnątrz stacji. Ze środka dobiegały zgrzyty metalu - to Fixer przyłączył się wreszcie do swego mechanicznego Pomocnika.

- Byłem tak blisko - ciągnął podniecony Luke. - Myślałem, że mi wysmaży całe oprzyrządowanie. A i tak solidnie poharatałem skoczka - wspomnienie wywołało zmarszczkę na jego czole. - Wuj Owen był wściekły. Przyziemił mnie na resztę sezonu.

Żal Luke'a nie trwał długo. Pamięć o wyczynie zatarała wspomnienie o jego skutkach.

- Mówię ci, Biggs, szkoda, że cię tam nie było!

- Nie powinieneś się tak podniecać, Luke - przestrzegał go przyjaciel. - Jesteś pewnie najlepszym pilotem po tej stronie Mos Eisley, ale te małe skoczki mogą być niebezpieczne. Latają strasznie szybko jak na pojazdy troposferyczne. O wiele szybciej niż potrzeba. Jeżeli nie przestaniesz się bawić w maszynowego dżokeja, to pewnego dnia... bums! - gwałtownie uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Zostanie z ciebie tylko mokra plama na ścianie kanionu.

- I kto to mówi - odgryzł się Luke. - Jak tylko trochę polatałeś na dużych, automatycznych statkach, od razu zaczęłaś marudzić jak mój wujek. Pobyt w mieście zrobił z ciebie mięczaka - odwrócił się i zamarkował cios. Biggs zablokował go bez trudu i bez przekonania wyprowadził kontratak. Jego pewność siebie zmieniła się w cieplejsze uczucie.

- Brakowało mi ciebie, mały. Zakłopotany Luke odwrócił wzrok.

- Tutaj też, Biggs, odkąd wyjechałeś, nic nie było takie jak przedtem. Zrobiło się tak... - szukał właściwego słowa, aż wreszcie dokończył bezradnie - tak spokojnie - przebiegł spojrzeniem puste, zasypane piaskiem ulice. - Tak naprawdę, to tutaj zawsze jest spokojnie.

Biggs milczał zamyślony. Rozejrzał się. Byli sami, pozostali skryli się w stosunkowo chłodnym wnętrzu stacji. Pochylił się, a Luke wyczuł w zachowaniu przyjaciela niezwykłą powagę.

- Luke, nie wróciłem tu tylko po to, żeby się pożegnać, ani po to, żeby zadzierać nosa, bo skończyłem Akademię - zawahał się, niepewny swej decyzji.

Potem wyrzucił szybko, by nie móc się już wycofać: - Chcę, żeby ktoś o tym wiedział. Nie mogę powiedzieć rodzicom.

Wpatrzony w niego Luke przełknął ślinę. - Wiedział o czym? O czym ty mówisz?

- Mówię o tym, o czym rozmawia się w Akademii. I gdzie indziej także. To poważne rozmowy. Zaprzyjaźniłem się z paroma chłopakami spoza systemu. Dogadaliśmy się na temat pewnych spraw, które się teraz dzieją i... - tajemniczo zniżył głos - gdy tylko dotrzemy do któregoś z peryferyjnych układów, mamy zamiar porwać statek i przyłączyć się do Przymierza.

Luke rozdziawił usta, próbując wyobrazić sobie Biggsa - rozbawionego, odważnym-szczyście-sprzyja, żyj-dniem-dzisiejszym, Biggsa jako patriotę, rozgrzanego płomieniem buntu.

- Chcesz się przyłączyć do rebelii? - spytał zdumiony. - Wyglupiasz się. Jak?

- Nie tak głośno, dobrze? - uciszył go Biggs, spojrzawszy ukradkiem w stronę stacji energetycznej.

- Masz gębę jak krater.

- Przepraszam -szepnął rozgorączkowany Luke. - Już jestem cichutki. Posłuchaj jaki cichutki, ledwie mnie słyszysz...

- Mam przyjaciela w Akademii - przerwał mu Biggs, - A on ma przyjaciela na Bestine, który, być może, zdoła nas skontaktować z jednostką bojową powstańców.

- Przyjaciela, który ma... Oszalałeś - stwierdził z przekonaniem Luke, pewien, że jego rozmówca postradał zmysły. - Możesz szukać w nieskończoność, zanim natrafisz na prawdziwą placówkę rebeliantów. Większość z nich to tylko mity. Ten twój przyjaciel do kwadratu może być agentem Imperium. Skończysz na Kessel, albo jeszcze gorzej. Gdyby można było tak łatwo znaleźć rebeliantów, Imperator rozbiłby ich już dawno.

- Wiem, że to może potrwać - przyznał niechętnie Biggs. - Ale jeżeli nie złapię z nimi kontaktu... - w jego oczach zapłonął dziwny blask, oznaka świeżo osiągniętej dojrzałości... i jeszcze czegoś. - Wtedy zrobię, co będę mógł na własną rękę. - Z natężeniem wpatrywał się w twarz przyjaciela. - Luke, nie mam zamiaru czekać, aż Imperium powoła mnie do służby we flocie. Niezależnie od tego, co możesz usłyszeć w oficjalnych przekazach, powstanie rozprzestrzeni się i jest coraz silniejsze. Chcę stanąć po właściwej stronie... po stronie, w której racje wierzę - jego głos zmienił się nieprzyjemnie i Luke zaczął się zastawiać, co jego przyjaciel zobaczył oczyma duszy. - Powinieneś, Luke, posłuchać kilku historii, które słyszałem, powinieneś się dowiedzieć o niektórych zbrodniach, o których ja się dowiedziałem. Imperium kiedyś mogło być wielkie i wspaniałe, ale ci, którzy teraz nim rządzą... - potrząsnął głową. - To wszystko gnije, Luke, gnije!

- A ja nic nie mogę zrobić - mruknął markotnie Luke. - Muszę tu siedzieć.

Gniewnie kopnął wszechobecny piasek Anchorhead.

- Zdawało mi się, że wkrótce wybierasz się do Akademii - zdziwił się Biggs. - jeżeli tak, to będziesz miał szansę wydostania się z tej kupy piachu. Luke parsknął ironicznie.

- Chyba nie. Musiałem wycofać swoje zgłoszenie - opuścił wzrok. Nie mógł znieść niedowierzającego spojrzenia przyjaciela. - Musiałem. W czasie, gdy cię tu nie było, Pustynni Ludzie zrobili się niespokojni. Napadali nawet na przedmieścia Anchorhead.

Biggs pokręcił głową. Wyjaśnienie Luke'a nie przekonało go.

- Twój wujek sam, z jednym miotaczem, może odpędzić całą bandę rabusiów.

- Z budynku na pewno - zgodził się Luke - ale wuj Owen zainstalował wreszcie dość skraplaczy, by farma zaczęła przynosić duże dochody. A sam nie może dopilnować całego terenu. Mówi, że będę mu potrzebny jeszcze tylko jeden sezon. Nie mogę go teraz zostawić.

Biggs westchnął ponuro.

- Żal mi cię, Luke. Kiedyś będziesz się musiał nauczyć odróżniać to, co jest naprawdę ważne, od tego, co tylko się takie wydaje. Na co się zda praca twojego wuja, jeżeli Imperium przejmie to wszystko? - zatoczył ramieniem szeroki krąg. - Słyszałem, że już zaczynają monopolizować handel we wszystkich układach zewnętrznych. Jeszcze trochę, a twój wuj i wszyscy tutaj, na Tatooine, staną się tylko dzierżawcami, harującymi dla większej chwały Imperium.

- Tu się to nie zdarzy - zaprotestował Luke z przekonaniem, którego wcale nie odczuwał. - Sam powiedziałeś, że Imperium nie będzie się przejmować tym kawałem skały.

- Czasy się zmieniają, Luke. Tylko lęk przed powstaniem powstrzymuje ludzi u władzy od pewnych decyzji o których się głośno nie mówi. Jeżeli to zagrożenie zniknie... no cóż, są dwie żądze, których człowiek nigdy nie potrafi zaspokoić... ciekawość i chciwość. A niewiele jest rzeczy, które mogą zaciekawiać urzędników Imperium.

Przez chwilę milczeli obaj. Piaszkowy wir przepłynął majestatycznie ulicą i trafiwszy na ścianę rozwiął się, wysyłając na wszystkie strony delikatne podmuchy.

- Chciałbym z tobą polecieć - mruknął wreszcie Luke. Podniósł wzrok. - Długo tu zostaniesz?

- Raczej nie. Prawdę mówiąc, o świcie odlatuję na spotkanie z "Ecliptic".

- Chyba... chyba już się nie zobaczymy.

- Może kiedyś - Biggs poweselał nagle i wyszczerzył zęby w swym rozbijającym uśmiechu. - Będę na ciebie czekał, postrzeleńcu. A ty postaraj się nie rozwalić o jakąś ścianę w jakimś kanionie.

- W przyszłym sezonie będę w Akademii - oświadczył Luke stanowczo, bardziej dla przekonania siebie niż Biggsa. - A potem... któż może przewidzieć, jak potoczą się sprawy. W każdym razie nie pozwolę się powołać do gwiazdnej floty - stwierdził zdecydowanie. - Uważaj na siebie. Zawsze będziesz... najlepszym kumplem, jakiego miałem w życiu.

Uścisk dłoni nie był im potrzebny - dawno już przekroczyli ten etap.

- No, to na razie, Luke - powiedział po prostu Biggs. Odwrócił się i ruszył w stronę budynku stacji. Luke przyglądał się, jak znika za drzwiami. Przez głowę przelatywały mu myśli tak gwałtowne i chaotyczne, jak nagła burza piaskowa na Tatooine.

Powierzchnia Tatooine odznacza się dowolną liczbą niezwykłych i unikalnych właściwości. Najdziwniejszą z nich są tajemnicze mgły, regularnie unoszące się w miejscach, gdzie piaszczyste fale pustyni obmywają skaliste urwiska. Mgła wśród rozpalonej pustyni wydaje się rzeczą równie niestosowną co kaktus na lodowcu. Mimo to istniała tutaj. Meteorolodzy i geolodzy wciąż spierali się o jej pochodzenie, wymyślając nieprawdopodobne teorie o wodzie związanej w ukrytych pod piaskiem żyłach piaskowca i o niepojętych reakcjach chemicznych, sprawiających, że kiedy skała stygnie, woda paruje, zaś wkrótce po podwójnym wschodzie słońca na powrót znika pod ziemią. Teoria ta była nieco nie dopracowana, za to mgła nad wyraz realna. Jednak ani mgła, ani głośne pomruki nocnych mieszkańców pustyni nie wywierały na R2D2 wrażenia. Wspiął się ostrożnie kamienistym żlebem, szukając najkrótszej drogi na szczyt płaskowzgórza. Piasek stopniowo ustępował miejsca zwirowi i towarzyszący poruszeniom robota chrzęst rozlegał się głośno w przedwieczornym zmroku.

Zatrzymał się na chwilę. Wydało mu się, że gdzieś przed sobą dosłyszał niezwykły głos - jakby uderzenie metalu, nie kamienia, o skałę. Dźwięk nie powtórzył się, więc od nowa podjął mozolną wspinaczkę. Wysoko w górze, zbyt wysoko, by można było cokolwiek zauważyć, od skalnej ściany oderwał się kamyk. Niewielka postać, która go niechcący strąciła, cicho jak mysz cofnęła się w cień. Spod luźnych fałd brązowej oponczy zalśniły dwa błyszczące punkty, o metr od krawędzi zwężającego się żlebu.

Artoo nie oczekiwał ataku. Jedyne z jego reakcji można było się domyślić, że trafił go niewidoczny promień paralizujący. Przez moment po metalowym kadłubie przebiegały, sprawiając w ciemności niesamowite wrażenie, błyski, potem dał się słyszeć pojedynczy elektroniczny pisk i trójnożna maszyna, straciwszy równowagę, przewróciła się na wznak. Na płycie czołowej zapalały się i gasły światła.

Zza ukrywających je głązów wysunęły się trzy karykatury ludzi. Sposobem poruszania się bardziej przypominały szczura niż człowieka, były też nieco wyższe od Artoo. Widząc, że pojedynczy ładunek unieruchomił robota, pochowały swoją niezwykłą broń. Mimo to zbliżały się do unieszkodliwionej maszyny ostrożnie, z drżeniem odziedziczonym po generacjach tchórzliwych przodków.

Gruba warstwa kurzu i piasku pokrywała ich opończe, a żółto-czerwone źrenice jak kocie oczy błyszczały nieprzyjemnie spod kapturów, gdy pochylali się nad swoim jeńcem. Jawowie porozumiewali się przy pomocy niskiego, gardłowego krakania i urywanych dźwięków, przypominających nieco ludzki język. Jeżeli byli kiedyś ludźmi, jak przypuszczali antropolodzy, to już dawno degeneracja odebrała im jakiegokolwiek do nich podobieństwo. Pojawiło się ich jeszcze kilku, i razem, ciągnąc go i niosąc na przemian, ruszyli z robotem w dół. Na dnie kanionu czekał piaskoczołg, podobny do ogromnej prehistorycznej bestii, tak samo wielki, jak mali byli jego właściciele i kierowcy. Wysoki na kilkadziesiąt metrów, wspierał się na gąsienicach wyższych niż człowiek. Przetrwiał niezliczone burze piaskowe, które porysowały i powgniały jego pancerz. Jawowie zaczęli trajkotać coś między sobą. R2D2 słyszał ich, lecz nic nie mógł zrozumieć. Nie Powinien być tym zmartwiony - nikt nie potrafi zrozumieć Jawów, prócz nich samych, jeśli sobie tego nie życzą. Używają języka stochastycznie zmiennego, który doprowadzał lingwistów do obłędu. Jeden z napastników wydobył z sakwy u pasa niewielki krążek i przymocował go na bocznej części kadłuba Artoo. Potem Jawowie podtoczyli jeńca do wylotu szerokiej rury, która wysunęła się z gigantycznego pojazdu. Cofnęli się. Coś zawył krótko i z głośnym sapnięciem potężna ssawa wciągnęła niewielkiego robota w trzewia maszyny tak zgrabnie, jakby był groszkiem, wsysanym przez słomkę. Gdy praca została wykonana, Jawowie znów coś zaterkotali, po czym zaczęli wspinać się do czołgu, podobni rodzinie myszy, powracających do swoich nor. Tuba ssąca bez zbytej delikatności wrzuciła Artoo do niewielkiego prostopadłościennego pomieszczenia. Obok stosów zepsutych instrumentów i zwykłego złomu znajdowało się tu około tuzina robotów różnych kształtów i rozmiarów. Niektóre pogrążone były w elektronicznej konwersacji, inne plątały się bez celu. Jednak gdy tylko Artoo wtoczył się do celi, jeden głos zabrzmiał głośniejszy, wyraźnie zaskoczony.

- R2D2, to ty? To ty! - wołał z ciemności podniecony Threepio. Przecisnął się do nieruchomego ciągle automatu naprawczego i objął go bardzo niemechanicznym gestem. Zauważył mały krążek przyczepiony do korpusu przyjaciela i ze smutkiem spojrzął na własną pierś, gdzie umocowano podobny aparacik. Potężne, źle nasmarowane koła napędowe pojazdu drgnęły. Z chrzęstem i zgrzytaniem monstrialny piaskoczołg skrzył i z nieznającą zmęczenia cierpliwością potoczył się przez noc.

Rozdział III

Lśniący stół konferencyjny był równie bezduszny i twardy, jak ośmiu siedzących wokół niego ludzi - senatorów i oficerów Imperium. Szturmowcy trzymali straż przy wejściu do sali, skąpo oświetlonej zimnym blaskiem wbudowanych w stół i ściany lamp. Przemawiał właśnie jeden z najmłodszych spośród obecnych tu mężczyzn. Demonstrował postawę człowieka, który wspiał się wysoko i szybko za pomocą metod, których lepiej nie badać nazbyt dokładnie. Umysł generała Taggego przejawiał pewne oznaki zwichniętego geniuszu, lecz nie tylko temu oficer zawdzięczał swą obecną eksponowaną pozycję. Równie pomocne były inne, niezbyt chwalebne uzdolnienia generała. Miał na sobie świetnie skrojony mundur i był nie mniej czysty niż ktokolwiek z obecnych, jednak siedmiu pozostałych starało się unikać dotykania go. Wydawał się śliski, choć wrażenie to było raczej psychicznej niż fizycznej natury. Mimo to wielu go szanowało. Albo bało się.

- Mówię wam, tym razem posunął się za daleko - dowodził gwałtownie. - To, co narzucił nam ten Lord Sith, powołując się na wolę Imperatora, może doprowadzić do klęski. Nie jesteśmy całkowicie bezpieczni tak długo, jak długo ta stacja bojowa nie jest w pełni gotowa do akcji. Niektórzy z was, jak się wydaje, nie zdają sobie sprawy, jak dobrze zorganizowane i wyposażone jest rebelianckie Sprzymierzenie. Mają znakomite statki i jeszcze lepszych pilotów. I pcha ich coś więcej niż tylko silniki: ich pierwotny fanatyzm. Są niebezpieczniejsi, niż większość z was przypuszcza.

Jeden ze starszych oficerów poruszył się nerwowo na krześle. Jego twarz znaczyły blizny tak głębokie, że nawet chirurgia plastyczna nie potrafiła ich ukryć.

- Niebezpieczni dla pańskiej floty, generale, nie dla tej stacji - ukryte w sieci zmarszczek oczy przypatrywały się kolejno siedzącym wokół stołu. - Ja na przykład uważam, że Lord Vader wie, co robi. Rebelia potrwa tak długo, jak długo ci tchórze będą mieli kryjówkę; miejsce, gdzie wypoczywają ich piloci i gdzie remontują swoje statki.

- Nie mogę przyznać panu racji, Romodi - sprzeciwił się Tagge. - Moim zdaniem budowa tej stacji wiąże się raczej z pragnieniem władzy i uznania gubernatora Tarkina niż z jakąkolwiek rozsądną strategią. Buntownicy będą mieli coraz silniejsze poparcie w Senacie, dopóki...

Przerwał mu odgłos rozsuwających się drzwi i trzask butów strażników wyprężających się w pozycji "bacność". Spojrzał w tamtą stronę, tak samo jak wszyscy pozostali. Do sali weszły dwie osoby, tak różniące się wyglądem, jak podobne były ich cele.

Od strony Taggego szedł chudy mężczyzna z fryzury i sylwetki przypominający starą miotłę. Wyraz jego twarzy przywołał na myśl spokojną piranię. Grand Moff Tarkin, gubernator licznych zewnętrznych prowincji Imperium, wyglądał jak karzeł wobec potężnej, okrytej zbroją postaci Lorda Dartha Vadera. Tagge, ustępujący, lecz nie zrezygnowany, usiadł powoli, a Tarkin zajął swoje miejsce u szczytu stołu. Vader stanął obok - przytłaczająca figura przy fotelu gubernatora. Tarkin patrzył przez chwilę w stronę Taggego, po czym, jakby go nie zauważając, odwrócił wzrok. Generał zachnął się, lecz milczał. Tarkin zmierzył spojrzeniem obecnych. Na jego marzy zastygł zimny uśmiech

- Panowie, nie musimy już poświęcać naszego czasu Senatowi Imperium - powiedział. - Właśnie otrzymałem wiadomość, że Cesarz rozwiązał to niefortunne zgromadzenie. Definitywnie.

Wśród zebranych rozległy się zdumione szepty.

- Ostatnie pozostałości Dawnej Republiki - mówił dalej Tarkin - zostały ostatecznie odrzucone.

- To niemożliwe - przerwał Tagge. - W jaki sposób Cesarz zdoła utrzymać kontrolę nad biurokracją Imperium?

- Musi pan zrozumieć, że reprezentacja senacka nie została formalnie zniesiona - wyjaśnił Tarkin. - Została jedynie zawieszona na czas... - uśmiechnął się nieco szerzej - ...trwania zagrożenia. Bezpośredni nadzór sprawują teraz Gubernatorzy, którzy mają wolą rękę w zarządzaniu podległymi im terytoriami. Oznacza to, że obecność Imperium wreszcie będzie mogła odpowiednio

oddziaływać na niezdecydowane planety. Od tej chwili strach utrzyma w posłuchu potencjalnie zdradzieckie lokalne rządy. Strach przed flotą Imperium... i strach przed tą stacją bojową.

- A co z rebelią? - zapytał Tagge.

- Jeżeli buntownicy jakimś sposobem uzyskają dostęp do pełnej dokumentacji technicznej tej stacji, zdołają być może zlokalizować jej słaby punkt, który ędą mogli wykorzystać - uśmiech Tarkina zmienił się w skrzywienie warg. Naturalnie wszyscy wiemy, jak starannie chronione są tak istotne dane. Nie jest możliwe, by wpadły w ręce rebeliantów.

- Dane, do których czyni pan aluzje - warknął Vader - wkrótce zostaną odzyskane. Jeżeli...

Tarkin przerwał mu niedbałym tonem, na jaki nie odważyłby się nikt z obecnych.

- To nieistotne. Każdy atak buntowników na tę stację będzie aktem samobójczym. Samobójczym i bezcelowym, niezależnie od jakichkolwiek informacji, jakie zdołają uzyskać. Po wielu długich latach utrzymywanej w tajemnicy budowy - oświadczył z wyraźną przyjemnością - stacja stała się rozstrzygającą siłą w tej części wszechświata. O wydarzeniach w tym regionie nie będzie już decydował los, ustawy czy jakiegokolwiek inne działanie. Będzie o nich decydować ta stacja!

Wielka, okryta metalową rękawicą dłoń Vadera wykonała drobny gest i jeden z napełnionych kielichów posłusznie popłynął w jej stronę. Lekko strofującym tonem Czarny Lord kontynuował swoją wypowiedź.

- Proszę się tak nie zachwycać tą technologiczną zgrozą, którą pan spłodził, Tarkin. Zdolność zniszczenia miasta, planety, nawet całego układu niewiele znaczy wobec potęgi Mocy.

- Moc - parsknął Tagge. - Nas nie musi pan straszyć magicznymi sztuczkami, Lordzie Vader. Pańskie zasmucające oddanie tej dawnej mitologii nie pomogło panu w odzyskaniu skradzionych taśm. Nie obdarzyło także pana zdolnością jasnowidzenia, pozwalającą na zlokalizowanie ukrytej fortecy buntowników. Cóż, to chyba wystarczy, aby tylko śmiać się...

Nagle jego oczy wyszły z orbit. Sięgnął rękami do krtani, a jego skóra zaczęła przybierać niepokojąco siną barwę.

- Pański brak wiary - stwierdził łagodnie Vader - wydaje mi się nieco irytujący.

- Dość tego - warknął zdenerwowany Tarkin. - Puść go, Vader. Sprzeczki między nami nie mają sensu.

Lord Sith wzruszył ramionami, jakby całe to zajście nie miało znaczenia. Tagge, masując szyję, opadł na krzesło. Zaleknionym wzrokiem wpatrywał się w czarnego olbrzyma.

- Lord Vader poinformuje nas o położeniu bazy rebeliantów zanim stacja zostanie uznana za zdolną do działań - oświadczył Tarkin. - A gdy poznamy jej lokalizację, udamy się na miejsce i zniszczymy ją całkowicie, jednym ciosem rozbijając tę żalostną rebelię.

- Życzeniom Imperatora - dodał nie bez ironii Vader - stanie się zadość.

Jeżeli nawet któraś z siedzących przy stole wysoko postawionych osób miała jakiegokolwiek zastrzeżenia co do jego pozbawionego należytego szacunku tonu, to jedno spojrzenie na Taggego wystarczyło, by zniechęcić ją do ich wyrażania.

Mroczna cela cuchnęła zjełczałym olejem i statymi smarami - istna maszynowa kostnica. Threepio starał się wytrzymać tę ponurą atmosferę najlepiej, jak tylko potrafił. Ciągłe walczył z tym, by nieoczekiwany wstrząs nie cisnął nim o ścianę lub o którąś z maszyn.

Dla oszczędności energii, a także aby nie słuchać nieprzerwanego potoku skarg wyższego kolegi, R2D2 zablokował wszystkie funkcje zewnętrzne. Leżał bezwładnie na stosie drobnych części, wyniośle nie przejmując się swym przyszłym losem.

- Czy to nigdy się nie skończy? - jęknął Threepio, gdy kolejny gwałtowny podskok wstrząsnął brutalnie gromadką więźniów. Zdażył już stworzyć i odrzucić pół setki teorii dotyczących czekającego ich strasznego końca. Teraz została mu tylko pewność, że ich ostateczna zguba będzie straszniejsza niż cokolwiek, co potrafił sobie wyobrazić.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, nastąpiło coś bardziej niepokojącego niż najbardziej niemiłosierny wstrząs - wycie silnika piaskoczołgu ucichło. Wehikuł, jakby w odpowiedzi na pytanie Threepio,

zatrzymał się. W celi rozległo się nerwowe brzęczenie - to maszyny, które zachowały jeszcze ślad świadomości, snuły domysły, co do ich położenia i ewentualnego przyszłego losu. Threepio dowiedział się wreszcie czegoś na temat istot, które go schwytały oraz motywów, jakimi prawdopodobnie się kierowały. Miejscowi jeńcy wyjaśnili mu naturę tych quasi-ludzkich wędrowców, Jawów. Podróżując w gigantycznych domach-fortecach przemierzali najbardziej niegościnne regiony Tatoonie w poszukiwaniu cennych minerałów i zdatnych jeszcze do użytku maszyn. Nikt ich nie widział bez okrywających całe ciało oponczy i masek piaskowych. Nikt zatem nie wiedział dokładnie, jak wyglądają. Fama głosiła, że są wręcz niezwykle paskudni. Threepio nie trzeba było o tym przekonywać. Pochyliwszy się nad swym wciąż nieruchomym przyjacielem, zaczął miarowo potrząsać beczkowatym korpusem. Czujniki zewnętrzne Artoo działały i po chwili światła w przedniej części jego kadłuba zaczęły kolejno budzić się do życia.

- Zbudź się! - przynaglał Threepio. - Zatrzymaliśmy się gdzieś.

Podobnie jak kilka innych, obdarzonych bogatszą wyobraźnią robotów, badał zalęknionym spojrzeniem metalowe ściany oczekując, że lada chwila uchyli się ukryta kłapa i wielkie, stalowe ramię zacznie gmerać we wnętrzu celi, próbując go znaleźć.

- Nie ma wątpliwości, jesteśmy zgubieni - stwierdził żalonym głosem, gdy Artoo wyprostował się, powracając do stanu aktywności. - Myślisz, że nas przetopią? - milczał przez chwilę, po czym dodał: - To czekanie mnie dobija.

Nagle przeciwnie ściana komory odsunęła się i do wnętrza wpadło oślepiające światło poranka Tatoonie. Czułe fotoreceptory Threepio ledwie zdążyły przystosować się na czas, by uniknąć poważniejszych uszkodzeń.

Do komory wskoczyło zwinnie kilku wstrętne wyglądających Jawów, okrytych wciąż tym samym brudem i zawojami, które Threepio widział na nich poprzednim razem. Zaczęli poszturchiwać schwytane maszyny bronią dziwacznej konstrukcji. Threepio w myśli przełknął nerwowo ślinę zauważywszy, że kilka robotów nawet nie drgnęło. Ignorując nieruchomych jeńców, Jawowie popędzili pozostałych, wśród nich Artoo i Threepio, na zewnątrz. Tam ustawili ich w nierównym szeregu. Osłaniając oczy od blasku, Threepio zaobserwował, że robotów było pięć. Stały przy boku wielkiego piaskoczółgu. Myśl o ucieczce nawet nie zaświtała w jego umyśle. To pojęcie było maszynom najzupełniej obce - tym bardziej wstrętne i nie do pomyślenia, im wyższy był ich poziom inteligencji. Zresztą, gdyby tylko spróbował uciekać, wbudowane czujniki natychmiast wykryłyby to krytyczne zakłócenie funkcji logicznych i wytopiły wszystkie obwody jego mózgu.

Przyglądał się więc niewielkim kopułom i skraplaczom, wskazującym na istnienie podziemnej siedziby ludzi. Wprawdzie konstrukcje tego typu były mu obce, jednak wszystko wskazywało na porządne, choć odizolowane osiedle. Powoli przestał się obawiać, że zostanie rozebrany na części albo zmuszony do niewolniczej pracy w wysokich temperaturach jakiejś kopalni. Odpowiednio do tego poprawiło się też jego samopoczucie.

- Może nie będzie tak źle - mruknął z nadzieją. Jeśli tylko uda się nam przekonać te dwunogie paskudy, żeby nas tu wyładowały, to możemy znowu trafić do sensownej służby u ludzi zamiast skończyć jako żużel.

Artoo pisnął coś wymijająco. Obie maszyny umilkły, gdyż Jawowie zaczęli krzątać się wokół nich. Próbowali wyprostować nieszczęsnego robota z fatalnie skrzywionym grzbietem, przecierali i otrzepywali, maskując wgniecenia innych. Dwaj uwijali się wokół niego, czyszcząc zabrudzoną piaskiem powłokę. Threepio stłumił odruch wstrętu. Jedną z jego funkcji, jako analogonu człowieka, była naturalna reakcja na odrażające zapachy, a higiena była najwyraźniej pojęciem zupełnie wśród Jawów nieznanym. Postanowił nie uświadamiać im tego. Był pewien, że spotkałyby go same nieprzyjemności. Chmury drobnych owadów unosiły się wokół twarzy Jawów, ci jednak nie zwracali uwagi na te drobne utrapienia. Najwyraźniej traktowali je tak, jakby były jeszcze jedną częścią ich ciała, w rodzaju dodatkowej ręki czy nogi. Obserwacja pochłonęła Threepio tak dalece, że nie zauważył dwóch postaci, zbliżających się ku nim od strony największej z kopuł. Artoo musiał go lekko szturchnąć, aby uniósł głowę.

Twarz pierwszego z mężczyzn wyrażała posępne, nieomal wieczne znużenie, wryte w rysach przez zbyt wiele lat zmagania z wrogim środowiskiem. Jego splątane, siwiejące włosy przypominały gipsowe loki posągu. Kurz pokrywał mu twarz, ubranie, ręce i myśli. Ciało jednak, w przeciwieństwie do ducha, było potężne.

Luke wydawał się niski przy godnej zapaśnika sylwetce wuja. Przygarbiony kroczył w jego cieniu, zniechęcony raczej niż zmęczony. Myślał o wielu sprawach nie mających wiele wspólnego z rolnictwem. Zastanawiał się nad swoją przyszłością, a także nad decyzją swego najlepszego przyjaciela, który tak niedawno odszedł poza błękitne niebo, by poświęcić się trudniejszej, lecz piękniejszej karierze. Wyższy z ludzi zatrzymał się przed grupką robotów i zaczął dziwny zgrzytliwy dialog z przywódcą Jawów. Jeżeli chciały, stworzenia te pozwalały się zrozumieć.

Luke stał z boku i przysłuchiwał się obojętnie. Zbliżył się, gdy wuj zaczął inspekcję piątki robotów. Z rzadka tylko rzucał jakąś uwagę do swego siostrzeńca. Młody człowiek zdawał sobie sprawę, że powinien się uczyć, lecz trudno mu było się skupić.

- Luke! Hej, Luke! - rozległo się wołanie. Pozostawiając szefa Jawów, wynoszącego pod niebiosa zalety wszystkich maszyn, i wuja, który je wyśmiewał, chłopiec odwrócił się i podszedł do krawędzi podziemnego dziedzińca. Spojrzał w dół. Tęga kobieta o wyrazie twarzy zagubionego wróbla krzątała się wśród ozdobnych roślin. Uniosła głowę i popatrzyła na niego. - Luke, nie zapomnij powiedzieć Owenowi, że jeśli będzie kupował tłumacza, to niech się upewni, że zna Bocce. Luke spojrzął przez ramię na pstrą kolekcję wymęczonych robotów.

- Wygląda na to, że nie mamy zbyt wielkiego wyboru - zawołał. - Ale powiem mu.

Kiwnęła głową, a Luke odszedł, by dołączyć do wuja. Owen Lars najwyraźniej podjął już decyzję. Wybrał niewielkiego robota semirolniczego, podobnego sylwetką do R2D2. Jego liczne ramiona pomocnicze przeznaczone były do spełniania najrozmaitszych funkcji. Na rozkaz wystąpił z szeregu i podążył za Owenem i milczącym chwilowo Jawą. Doszli do końca szeregu. Farmer zmrużonymi oczami przypatrywał się porysowanej, lecz ciągle lśniącej brązem powłoce wysokiego, humanoidalnego Threepio.

- Zakładam, że funkcjonujesz - burknął. - Czy znasz protokół i etykietę?

- Czy znam protokół? - powtórzył Threepio, gdy Owen badał go wzrokiem od stóp do głów. - Czy znam protokół! To moja zasadnicza funkcja. Jestem także...

- Niepotrzebny mi android od protokołu - rzucił sucho człowiek.

- Trudno się dziwić, sir = przytaknął pospiesznie Threepio. - W pełni się z panem zgadzam. Czy w tym klimacie można sobie wyobrazić bardziej bezużyteczny przedmiot? Dla kogoś o pańskich zainteresowaniach, sir, android protokołarny byłby jedynie niepotrzebną stratą pieniędzy. Nie, sir, moim drugim imieniem jest uniwersalność. Ce U Threepio - U znaczy uniwersalność - do pańskich usług.

Zaprogramowano mnie na ponad trzydzieści dodatkowych funkcji, wymagających jedynie...

- Potrzebuję - przerwał farmer, okazując wielkopańskie lekceważenie, dla nie nazwanych jeszcze dodatkowych funkcji Threepio - androida, który wiedziałby coś o binarnym języku niezależnie programowanych skraplaczy wilgoci.

- Skraplacze! Obaj mamy szczęście! - zawołał robot. - Moim pierwszym zajęciem postzasadniczym było programowanie podnośników binarnych. Konstrukcją i działaniem pamięci bardzo przypominały pańskie skraplacze. Można niemal powiedzieć...

Luke klepnął wuja w ramię i szepnął mu coś do ucha. Ten skinął głową i znów zwrócił się do słuchającego uważnie Threepio.

- Czy znasz Bocce?

- Oczywiście, sir - odparł robot, pewny siebie z powodu tej uczciwej, tym razem, odpowiedzi. - To jakby mój drugi język. Mówię Bocce płynnie jak...

Owen Lars najwyraźniej postanowił ani razu nie pozwolić mu dokończyć.

- Zamknij się - powiedział i zwrócił się do Jawy. - Tego też wezmę.

- Już się zamykam, sir - odpowiedział szybko Threepio, z trudem kryjąc radość, że został wybrany.
- Zabierz je do garażu, Luke - polecił chłopcu wuj. - Chcę, żebyś je oczyścił do kolacji.

Luke spojrzał na niego pytająco.

- Przecież miałem jechać do stacji Tosche po nowe konwertory energetyczne i...

- Nie bujaj, Luke - przerwał surowym tonem Owen Lars. - Nie mam nic przeciw temu, żebyś marnował czas ze swymi kolegami-nierobami, ale najpierw musisz zrobić to, co do ciebie należy. A teraz bierz się do roboty. I pamiętaj, do kolacji.

Luke wiedział, że spór z wujem nie ma sensu. Przygnębiony spojrzał na Threepio i małego robota rolniczego.

- Chodźcie za mną, wy dwaj.

Ruszyli w stronę garażu. Owen rozpoczął z szefem Jawów negocjacje w sprawie ceny. Pozostali Jawowie prowadzili roboty do piaskoczołgu, gdy nagle rozległ się rozpaczliwy niemal gwizd. Luke obejrzał się i zobaczył, jak jednostka R2 wyrywa się z szeregu i sunie w jego stronę. Natychmiast powstrzymał ją jeden ze strażników, trzymający urządzenie sterujące, którym zaktywizował krążek, przymocowany do płyty czołowej robota. Luke z zainteresowaniem przyglądał się buntowniczej maszynie. Threepio chciał coś powiedzieć, lecz po chwili zastanowienia zrezygnował. Milcząc patrzył wprost przed siebie.

Minutę później coś obok nich skrzypnęło głośno. Luke spojrzał w dół i zobaczył, że w górnej części robota rolniczego odskoczyła płyta czołowa. Z odsłoniętego wnętrza dobiegały zgrzytliwe dźwięki. Po chwili części maszyny sypnęły się na piaszczysty grunt.

Luke pochylił się i zajrzał do plującej podzespołami maszyny.

- Wujku Owenie! - zawołał. - Rozleciał się centralny serwomotor tego kultywatora! Popatrz...
Sięgnął do wnętrza, próbował podregulować urządzenie i szybko cofnął rękę, gdy coś zaczęło silnie iskrzyć. W czystym powietrzu pustyni rozszedł się zapach przypiekanej izolacji i skorodowanych obwodów - woń mechanicznej śmierci. Owen Lars zmierzył wzrokiem zdenerwowanego Jawę.

- Co za złom chcecie nam wepchnąć?

Jawa odpowiedział coś głośno i z oburzeniem, jednocześnie przezornie odsuwając się na kilka kroków od potężnego człowieka. Niepokoiło go to, że ów człowiek stał pomiędzy nim a wejściem do bezpiecznego wnętrza piaskoczołgu.

Tymczasem R2D2 odłączył się od grupy robotów prowadzonych w stronę ruchomej fortecy. Było to niezbyt trudne, jako że uwaga Jawów skupiona była na dowódcy kłócącym się z wujem Luke'a. Nie posiadając wyposażenia pozwalającego na gwałtowną gestykulację, Artoo po prostu wydał z siebie wysoki gwizd. Przerwał wtedy, gdy był już pewien, że zwrócił na siebie uwagę Threepio. Wysoki android delikatnie klepnął Luke'a w ramię.

- Jeśli mogę coś zasugerować, sir... - szepnęła konspiracyjnie. - Ta jednostka R2 to prawdziwa okazja. W idealnym stanie. Nie wierzę, żeby te stwory miały pojęcie, jaka jest dobra. Nie pozwól, żeby piasek i kurz wprowadziły cię w błąd.

Nastrój Luke'a sprzyjał szybkim decyzjom, nieważne - słusznym czy nie.

- Wujku Owenie!

Farmer spojrzał na Luke'a, starając się nie tracić Jawy z pola widzenia. Chłopiec machnął ręką w stronę R2D2.

- Nie róbmy sobie problemów. Może wymienimy to... - wskazał wypalonego robota rolniczego - na tego?

Owen Lars zmierzył Artoo okiem profesjonalisty i zastanowił się. Jawowie, ci mali śmieciarze, byli urodzonymi tchórzami, mogli jednak zareagować gwałtownie. Mogli zmiażdżyć piaskoczołgiem budynki, nawet ryzykując krwawy odwet ze strony ludzkiej społeczności.

Widząc, że sytuacja nie gwarantuje wygranej żadnej ze stron, Owen kłócił się jeszcze przez chwilę, dla porządku, po czym burkliwie wyraził zgodę. Przywódca Jawów z ociąganiem przystał na

zamianę i obaj w myślach odetchnęli z ulgą, zadowoleni, że udało się uniknąć aktów wrogości. Jawa pochylił się niecierpliwie i pomrukiwał z chciwości, gdy człowiek wyliczał mu pieniądze.

Tymczasem Luke poprowadził roboty do wykopu w wyschłym gruncie. Po chwili schodzili już w dół rampą, którą elektrostatyczne wymiatacze chroniły od przysypującego piasku.

- Nie zapomnij, co dla ciebie zrobiłem - mruknął Threepio, pochylając się nad niewysokim kadłubem Artoo. - Sprawiasz mi same kłopoty i przekracza moją zdolność pojmowania, dlatego nadstawiam za ciebie karku.

Przejście rozszerzyło się, przechodząc we właściwy garaż zarzucony narzędziami i podzespołami maszyn rolniczych. Wiele wyglądało na mocno zużyte, czasem do granic rozpadu, jednak światła dodały robotom otuchy. Pomieszczenie wydało im się domem, obiecywało spokój, którego nie zaznały od tak dawna. W pobliżu środka garażu stała wielka wanna. Unoszący się z niej zapach przyprawił o drżenie główne czujniki olfaktoryczne Threepio.

Luke uśmiechnął się zauważywszy reakcję robota. - Tak, to kąpiel smarownicza - zmierzył wzrokiem wysokiego androida. - I sądząc z tego, jak wyglądasz, mógłbyś w niej siedzieć przez tydzień. Ale na to nie możemy sobie pozwolić. Musi ci wystarczyć jedno popołudnie. Zajął się teraz R2D2. Podszedł do niego i szybkim ruchem otworzył panel, odsłaniając liczne wskaźniki. Gwizdnął zdumiony.

- Co do ciebie - powiedział - to nie mam pojęcia, jak możesz się jeszcze poruszać. Nie ma się co dziwić, jeśli się zna niechęć Jawów do rozstawania się z każdym ułamkiem erga. Czas na doładowanie - wskazał wielki blok energetyczny.

R2D2 podążył we wskazanym kierunku, pisnął i zakołysał się nad skrzyniową konstrukcją. Znalazł właściwy kabel, po czym automatycznie odrzucił pokrywę i wetknął potrójną wtyczkę do gniazdka w górnej części korpusu. Threepio podszedł do wielkiej kadzi, wypełnionej niemal po brzegi aromatycznym smarem. Z zadziwianiem ludzkim westchnieniem wolno opuścił się do pojemnika.

- A teraz zachowujcie się przyzwoicie - polecił Luke, idąc w stronę małego, dwumiejscowego skoczka. Ten potężny, suborbitalny pojazd znajdował się w hangarowej sekcji garażu. - Mam swoją robotę do zrobienia.

Na nieszczęście myślał wciąż o swym spotkaniu z Biggsem, więc nie dokonał zbyt wiele w ciągu najbliższych kilku godzin. Wspominając odlot przyjaciela, pieszczotliwie pogładził uszkodzony lewy statecznik skoczka - ten, który nadwerężył, gdy wykonując ostre zwroty i pętle, ścigał w wąskim kominie wyimaginowanego Tie-Fightera. Wystający kawał skały ściał go równie skutecznie, co strumień energii. Nagle coś w nim zawrzało. Z nietypową dla siebie gwałtownością cisnął na stół klucz wspomagający.

- To po prostu świństwo - oświadczył, nie zwracając się do nikogo konkretnego. Głos załamał mu się rozpaczliwie. - Biggs ma rację. Nigdy się stąd nie wydostanę. On planuje bunt przeciw Imperium, a ja siedzę na tej nieszczęsnej farmie.

- Przepraszam bardzo, sir.

Luke obejrzał się szybko, lecz dostrzegł jedynie tego wysokiego androida, Threepio. Jego wygląd mocno kontrastował z tym, co zobaczył widząc go po raz pierwszy. Złocisty stop pobłyskiwał w świetle lamp, oczyszczony z kurzu i zadrapań przez silnie działające oleje.

- Czy mógłbym w czymś pomóc, sir?

Patrząc na niego Luke poczuł, że jego gniew ulatnia się. Nie było sensu krzyczeć na robota i to jeszcze tak, że nic nie rozumiał.

- Wątpię - odparł. - Chyba że potrafisz zmienić upływ czasu i przyspieszyć zbiory. Albo wyteleportować mnie z tej kupy piachu, spod samego nosa wuja Owena.

Ironia jest rzeczą trudną do wykrycia, nawet dla bardzo skomplikowanego robota. Threepio zastanowił się więc obiektywnie nad pytaniem.

- Nie sędzę, sir, bym to potrafił - powiedział wreszcie. - Jestem tylko androidem trzeciego stopnia i o takich sprawach, jak fizyka transatomowa, nie mam wielkiego pojęcia. - Nagle jakby zdał sobie sprawę z wydarzeń ostatnich kilku dni. - Szczerze mówiąc, sir - mówił dalej, rozglądając się dookoła ze świeżo rozbudzoną ciekawością - nie jestem pewien nawet, na jakiej planecie się znajduję.

Luke prychnął kpiąco.

- Jeżeli istnieje jakiegokolwiek centrum tego wszechświata - stwierdził ironicznie - to trafiłeś na planetę, która leży od niego najdalej.

- Tak, panie Luke.

Chłopiec z irytacją potrząsnął głową.

- Zostaw tego pana. Po prostu Luke. A ta planeta nazywa się Tatooine.

- Dziękuję, pa... Luke - robot kiwnął głową. - Jestem C-3PO, specjalista od stosunków ludzkie - roboty. A to - niedbale wskazał metalowym kciukiem zestaw ładowania - jest mój towarzysz, R2D2.

- Miło cię poznać, Threepio - rzekł swobodnie Luke. - Ciebie także Artoo.

Przeszedł przez garaż i sprawdził wskaźnik na płycie czołowej mniejszego robota. Mruknął coś z satysfakcją i zaczął odłączać kabel ładowania, gdy dostrzegł coś, co sprawiło, że zmarszczył czoło i pochylił się.

- Coś nie w porządku, Luke? - zainteresował się Threepio.

Luke podszedł do szafy z narzędziami i wyjął niewielki, wielokońcówkowy przyrząd.

- Jeszcze nie wiem, Threepio.

Wrócił do zestawu ładującego i pochylony zaczął zeszkrobywać niklowanym ostrzem jakieś wypukłości z górnej części głowicy Artoo. Od czasu do czasu odsuwał się, gdy drobne narzędzie wyrzucało w powietrze strzępki całkowicie skorodowanego metalu. Threepio z zaciekawieniem przyglądał się jego pracy.

- Jest tu masa jakichś zwęgleń. Nie potrafię ich rozpoznać. Wygląda na to, że oglądaliście sporo niezwykłych wydarzeń.

- Istotnie, sir - przyznał Threepio, zapomniawszy o opuszczeniu grzecznościowego "sir". Luke był zbyt zajęty, by go poprawiać. - Czasem sam się dziwię, że jesteśmy jeszcze w tak dobytym stanie - a obawiając się gradu pytań Luke'a dodał tonem refleksji: - A jeszcze ta rebelia i cała reszta...

Wydało mu się, że mimo ostrożności musiał wyznać coś ważnego, gdyż oczy Luke'a rozblęły jak u Jawy.

- Wiesz coś o powstaniu przeciwko Imperium?

- W pewnym sensie - przyznał niechętnie Threepio. - To rebelia jest odpowiedzialna za to, że znaleźliśmy się tutaj. Rozumiesz? Jesteśmy uciekinierami.

Nie powiedział, skąd. Zresztą Luke nie robił wrażenia, że go to interesuje.

- Uciekinierzy! A więc widziałem bitwę - podniecony zarzucił robota gradem pytań. - Powiedz, gdzie byliście? W ilu potyczkach? Jak idzie rebeliantom? Czy Imperium traktuje ich poważnie? Widzieliście zniszczone statki? Ile?

- Trochę wolniej, sir - poprosił Threepio. - Nieprawidłowo ocenia pan nasz status. Byliśmy przypadkowymi świadkami. Nasze zaangażowanie w rebelię miało charakter całkowicie marginalny. Co do bitew, to przypuszczam, że uczestniczyliśmy w kilku. Trudno powiedzieć, jeśli się nie ma bezpośredniego kontaktu ze sprzętem bojowym - wzruszył ramionami. - Poza tym nie ma wiele do opowiadania. Proszę pamiętać, sir, że jestem jedynie czymś nieco ważniejszym nie ozdobnie wykonany tłumacz. Nie potrafię opowiadać ani powtarzać historii, a tym bardziej ich upiększać. Jestem bardzo dosłowną maszyną.

Rozczarowany Luke powrócił do czyszczenia Artoo. Dalsze oszkrobywanie odsłoniło coś na tyle dziwnego, że przyciągnęło to jego uwagę - niewielki metalowy element został mocno wbity między dwa pręty przewodzące, które normalnie powinny się łączyć. Luke odłożył delikatne ostrze i sięgnął po solidniejszy przyrząd.

- No, mój mały przyjacielu - mruknął. - Coś ci się tam wklinowało na głucho.

Nie przestając szarpać i podważać, znowu zwrócił się do Threepio.

- Byliście na frachtowcu, czy...

Z głośnym trzaskiem metal ustąpił i Luke, nagle pozbawiony oparcia, potoczył się po podłodze. Wstał, otworzył usta, by zakląć i... zamarł w bezruchu. Przednia część korpusu Artoo rozjarzyła się, emitując trójwymiarowy obraz o boku nie dłuższym niż jedna trzecia metra, ale bardzo wyraźny. Wyświetlony w sześcianie portret był tak cudowny, że po kilku minutach Luke spostrzegł, że brakuje mu tchu - ponieważ zapomniał oddychać.

Mimo sztucznej ostrości obraz migotał i rozpływał się, jakby zapisu dokonywano w pośpiechu. Luke, wpatrzony w obce barwy wyświetlone na szarym tle ścian garażu, próbował sformułować pytanie, lecz nigdy go nie wypowiedział. Usta portretu poruszyły się i dziewczyna przemówiła - a raczej zdawało się, że przemówiła.

Chłopiec wiedział, że tło dźwiękowe generowane jest gdzieś we wnętrzu przysadzistego kadłuba R2D2.

- Pomóż mi, Obi-wan Kenobi - błagał metalowy głos. - Jesteś moją ostatnią nadzieją.

Twarz znikła w pasmach zakłóceń. Po chwili pojawiła się znowu. .

- Obi-wan Kenobi, jesteś moją ostatnią nadzieją - powtórzył jeszcze raz głos.

Hologram trwał wśród zgrzytliwego trzasku. Luke siedział nieruchomo, przez dłuższą chwilę rozmyślając o tym, co zobaczył. Potem zamrugał i zwrócił się w stronę robota.

- Co to ma znaczyć, R2D2?

Krępy robot przesunął się nieco, a wraz z nim przesunął się sześcian obrazu.

Potem pisnął coś, co w pewien sposób przywodziło na myśl zakłopotanie. Threepio był równie zdumiony jak Luke.

- Co to jest? - spytał ostro, wskazując najpierw na mówiący wizerunek, a potem na Luke'a. - Zadano ci pytanie. Co i kto to jest i w jaki sposób to generujesz? I dlaczego?

Artoo gwizdnął zaskoczony, jakby dopiero teraz zauważył hologram. Potem nastąpił strumień wyjaśniających pisków.

Threepio przetrawił dane, bez powodzenia starał się zmarszczyć czoło i spróbował tonem głosu wyrazić swoje zaskoczenie.

- On twierdzi, że to nic ważnego, sir. Zwykła usterka, stare dane. Przegapiono taśmę, która powinna zostać skasowana. Sugeruje, by nie zwracać na to uwagi.

Z równym powodzeniem mógłby namawiać Luke'a, by nie zwracał uwagi na ukryty skarb, ogniki Durinda znalezione wśród pustyni.

- Kim ona jest? - spytał chłopiec, z zachwytem wpatrując się w hologram. - Jest piękna.

- Naprawdę nie wiem, kto to - wyznał szczerze Threepio. - Wydaje mi się, że była pasażerem podczas naszej ostatniej podróży. O ile pamiętam była dość ważną osobą. Może to wiązać się z faktem, że nasz kapitan był attache przy...

- Czy nagrano coś jeszcze? Zapis jest chyba niekompletny - przerwał mu Luke, chłonąc obraz zmysłowych warg, powtarzających wciąż ten sam fragment zdania.

Wstał i wyciągnął rękę w stronę Artoo. Robot cofnął się i wyemitował serię gwizdów pełnych tak szalonego niepokoju, że Luke zawahał się przed sięgnięciem do jego przełączników wewnętrznych. Threepio był wstrząśnięty.

- Zachowuj się, Artoo - skarcił kolegę. - Wpędzisz nas w kłopoty.

Już widział, jak pakują ich obu i jako niechętnych do współpracy odsyłają z powrotem do Jawów. To wystarczyło, by imitacja dreszczu zgrozy przebiegała mu po grzbiecie.

- Wszystko w porządku. On teraz jest naszym panem - Threepio wskazał na Luke'a. - Możesz mu zaufać. Czuję, że ma na względzie nasze najlepsze interesy.

Artoo zdawał się wahać, niepewny. Po chwili wygwizdał i wybuczał przyjacielowi długie, złożone zdanie.

- No? - pytał niecierpliwie Luke. Threepio milczał chwilę, nim odpowiedział.

- On mówi, że jest własnością Obi-wana Kenobiego, mieszkańca tej planety. A nawet tego regionu. Fragment zdania, który usłyszeliśmy, jest częścią prywatnego przekazu, adresowanego do owej osoby. - Threepio powoli pokręcił głową.

- Szczerze mówiąc, sir, nie mam pojęcia, o co mu chodzi. Naszym ostatnim panem był kapitan Colton. Nigdy nie słyszałem, żeby Artoo wspominał poprzedniego pana. A już na pewno nie słyszałem o Obi-wanie Kenobim.

Ale po wszystkim, co przeszliśmy... - dodał przeproszającym tonem: - Obawiam się, że jego obwody logiczne trochę się poplątały. Chwilami robi się zdecydowanie ekscentryczny.

A kiedy Luke rozważał taki obrót spraw, Threepio skorzystał z okazji, by rzucić Artoo wściekle, ostrzegawcze spojrzenie.

- Obi-wan Kenobi - powtórzył zamyślony Luke. Nagle jego twarz rozjaśniła się. -

Ciekawe... Zastanawiam się, czy on nie ma na myśli starego Bena Kenobiego.

- Przepraszam bardzo - wybełkotał Threepio, zdumiony ponad wszelką miarę. - Czyżby znał pan taką osobę?

- Niezupełnie - odparł chłopiec, bardziej już opanowanym głosem. - Nie znam nikogo o imieniu Obi-wan... a stary Ben żyje gdzieś na skraju Zachodniego Morza Wydm. Jest czymś w rodzaju miejscowej ciekawostki - pustelnikiem. Wuj Owen i jeszcze paru farmerów uważają go za czarownika. Zjawia się tu raz na jakiś czas, żeby coś kupić. Prawie z nim nie rozmawiałem. Wujek zwykle go odpędza - przerwał i znowu spojrzał na małego robota. - Ale nigdy nie słyszałem, żeby stary Ben miał jakiegoś androida. A jeśli nawet, to nikt o tym nie wie.

Hologram z nieodpartą mocą przyciągał spojrzenie Luke'a.

- Zastanawiam się, kim ona jest. Musi być kimś ważnym, szczególnie jeżeli to, co mówiłeś, Threepio, jest prawdą. Wygląda i mówi tak, jakby znalazła się w kłopotach. Może ta wiadomość naprawdę jest ważna. Trzeba przesłuchać ją do końca. Jeszcze raz sięgnął do wnętrza Artoo i jeszcze raz robot odskoczył, piszcząc smutnie.

- Mówi, że ma tam rozdzielający sworzeń ogranicznika, który wyłącza jego bloki automotywacyjne - przetłumaczył Threepio. - Sądzi, że gdyby go pan usunął, to może potrafiłby odtworzyć całą wiadomość. Sir! - dodał głośniejszym głosem, gdyż chłopiec ciągle wpatrywał się w holograficzny portret.

Luke drgnął.

- Co? A, tak - zastanowił się nad prośbą Artoo. Podeszedł do niego i zajrzał do wnętrza. Tym razem robot nie próbował uciekać.

- Zdaje się, że widzę. No dobrze, jesteś chyba za mały, żeby ode mnie uciec, kiedy to wyjmę. Zastanawiam się, po co ktoś miałby posyłać wiadomość do starego Bena.

Wybrawszy odpowiednie narzędzie, Luke sięgnął pomiędzy odsłonięte obwody i delikatnymi stuknięciami usunął ogranicznik. Pierwszym zauważalnym rezultatem tego działania było zniknięcie portretu.

Luke wyprostował się. - No, już.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Hologram wciąż się nie pojawiał. W końcu Luke zażądał wyjaśnień.

- Co się stało? Zrób tak, żeby wróciła! R2D2, odegraj całą wiadomość!

Z robota dobiegł gwizd, wyrażający niewinne zdziwienie.

- Powiedział: "Jaką wiadomość?" - przetłumaczył zakłopotany i zdenerwowany Threepio. Potem, zagniewany, zwrócił się do swego kolegi. - Jaką wiadomość!

Dobrze wiesz, jaką! Tę, której fragment odtworzyłeś przed chwilą. Tę samą, którą taszczysz w swoich krnąbrnych, przerdzewiających wnętrznościach, ty uparta sterto złomu!

Artoo przysiadł i zamruczał coś cicho do siebie. - Przepraszam, sir - rzekł powoli Threepio - ale on przejawia symptomy migotania w racjonalnościowym module posłuszeństwa. Może gdybyśmy...

Przerwał mu dobiegający z korytarza głos. - Luke! Luke, chodź na kolację!

Chłopiec zawahał się, po czym wstał i odwrócił się od niezwykłego małego robota.

- Dobrze! - zawołał. - Już lecę, ciociu Beru! - Zniżył głos. - Zobacz, co da się z nim zrobić - powiedział do Threepio. - Niedługo wrócę. Rzucił na stół wyjęty przed chwilą sworzeń i wybiegł z garażu.

Kiedy tylko człowiek wyszedł, Threepio rzucił się do swojego niewysokiego kolegi.

- Lepiej się zastanów, czy nie odtworzyć mu całego zapisu - warknął, skinąwszy znacząco głową w stronę warszkatatu zarzuconego rozmontowanymi częściami maszyn.

- W przeciwnym razie znowu weźmie się za to dłucho i zacznie go wygrzebywać. A jeśli uzna, że coś przed nim ukrywasz, to raczej nie będzie się przejmował, co przecina po drodze. Artoo pisnął płaczliwie.

- Nie - odrzekł Threepio. - Nie sądzę, żeby cię lubił.

Kolejny pisk nie wpłynął na zmianę surowego tonu wyższego robota.

- Nie. Ja też cię nie lubię.

Rozdział IV

Ciotka Beru przelewała z chłodzonego pojemnika C do dzbanka błękitny płyn. Z jadalni dobiegał cichy szmer rozmowy. Westchnęła ciężko. Prowadzone przy stole dyskusje pomiędzy jej mężem a Luke'em stawały się coraz bardziej zajadłe, w miarę, jak zapalczliwość chłopca pędziła go w innych kierunkach niż rolnictwo, dla których Owen, farmer z krwi i kości, o ile w ogóle tacy istnieli, nie miał zrozumienia.

Włożywszy pękaty pojemnik do chłodziarki, postawiła na tacy dzbanek i pospieszyła do jadalni. Beru nie była zbyt błyskotliwa, instynktownie jednak wyczuwała, jak ważna jest jej pozycja w tym domu. Działała jak pręty kadmowe w reaktorze atomowym. Jak długo była przy nich, Owen i Luke rozgrzewali się mocno, lecz gdyby tylko zostawiła ich zbyt długo samych, wtedy - bum! Wbudowane w dno każdego talerza układy kondensujące utrzymywały właściwą temperaturę potraw. Beru weszła. Obaj mężczyźni natychmiast zniżyli głosy do bardziej cywilizowanego poziomu i zmienili temat. Udała, że niczego nie zauważyła.

- Wiesz, wujku, wydaje mi się, że ten R2D2 jest kradziony - powiedział Luke tonem sugerując, że rozmawiali o tym przez cały czas.

Owen przysunął sobie dzbanek z mlekiem.

- Jawowie mają skłonność do zbierania wszystkiego, co nie jest przymocowane - wymamrotał z pełnymi ustami. - Ale pamiętaj, Luke, że na ogół boją się własnego cienia. Uciekając się do jawnej kradzieży, musieliby rozważyć jej konsekwencje, to znaczy, że będą ścigani i ukarani. Teoretycznie ich umysły nie są do tego zdolne. Czemu sądzisz, że ten robot jest kradziony?

- Przede wszystkim jest w zbyt dobytym stanie, jak na złom. Wygenerował hologram.

Akurat czyściłem... - Luke starał się ukryć swoje przerażenie. O mało co się nie wygadał. - Zresztą to nieważne - dodał pospiesznie. - Sądzę, że został skradziony, ponieważ twierdzi, że jest własnością kogoś, kogo nazywa Obi-wan Kenobi.

Może coś w jedzeniu albo w mleku spowodowało, że Owen zakrztusił się. A może powodem był wyraz niesmaku, którym zwykle wyrażał swą opinię o tej szczególnej postaci. W każdym razie jadał dalej, nie patrząc na siostrzeńca.

Luke udał, że ta plastyczna demonstracja niechęci w ogóle nie miała miejsca.

- Myślałem - ciągnął z determinacją - że może chodzi mu o starego Bena. Imię się nie zgadza, ale nazwisko jest to samo.

Gdy wuj uparcie zachowywał milczenie, Luke zaatakował wprost.

- Czy wiesz o kim on mówi, wujku Owenie?

Ku jego zdumieniu starszy mężczyzna sprawiał wrażenie raczej zakłopotanego niż zagniewanego.

- O nikim - burknął, wciąż unikając wzroku Luke'a. - To imię z innego czasu - nerwowo kręcił się na krześle. - Imię, które może oznaczać tylko kłopoty.

Luke nie przyjął skrywanego ostrzeżenia i naciskał dalej.

- Więc to ktoś spokrewniony ze statym Benem? Nie wiedziałem, że ma krewnych.

- Masz się trzymać z dala od tego starego czarownika, słyszysz!? - wybuchnął Owen, bez specjalnego efektu próbując zastąpić groźbą rozsądne argumenty.

- Owen... - spróbowała się wtrącić ciotka, ale potężny farmer przerwał jej surowo.

- Czeka, Beru, to ważne. Znowu zwrócił się do siostrzeńca.

- Rozmawiałem już z tobą o Kenobim. To stary wariat. Jest niebezpieczny i sprowadza biedę. Najlepiej zostawić go w spokoju.

Błagalne spojrzenie żony sprawiło, że uspokoił się trochę.

- Ten robot nie ma z nim nic wspólnego - burknął jakby do siebie. - Nie może mieć. Zapis, co? Dobrze, chcę, żebyś jutro zabrał go do Anchorhead i kazał wyczyścić mu pamięć. - Prychnąwszy, z determinacją pochylił się nad talerzem. - I koniec z tymi bzdurami. Nie obchodzi mnie, co się tej maszynie wydaje. Ani skąd pochodzi. Zapłaciłem za nią twarde kredyty i teraz jest nasza.

- Ale przypuśćmy, że należy do kogoś innego - nie ustępował Luke. - Co będzie, jeśli ten Obi-wan zacznie szukać swojego robota?

Twarz Owena wyrażała coś pośredniego pomiędzy kpina a żalem.

- Nie zacznie. Nie sądzę, żeby ten człowiek żył jeszcze. Zginął mniej więcej w tym samym czasie, co twój ojciec.

- A więc istniał naprawdę - szepnął Luke, zapatrzonego w swój talerz. - Czy znał mojego ojca? - spytał powoli.

- Powiedziałem, zapomnij o tym - warknął Owen. - Jeżeli chodzi o te dwa roboty, to masz się martwić tylko, żeby były jutro gotowe do pracy. Pamiętaj, wydaliśmy na nie nasze ostatnie oszczędności. Nie kupiłbym ich, gdyby nie to, że zbiory są już tak blisko. - Pogroził siostrzeńcowi łyżką. - Chcę, żeby od rana zajęty się zespołami irygacyjnymi na Południowej grani.

- Wiesz - powiedział nieobecny tonem Luke. - Wydaje mi się, że te roboty będą świetnie się spisywać. Dlatego... - rzucił wujkowi ukradkowe spojrzenie - ...pomyślałem o naszej umowie, że zostanę tu jeszcze przez jeden sezon. - Owen nie reagował, więc Luke parł naprzód: - Jeśli te maszyny się sprawdzą, to chciałbym wysłać moje podanie, żeby w przyszłym roku przyjęli mnie do Akademii.

Owen nachmurzył się. Przetykał w skupieniu, starając się ukryć swe niezadowolenie.

- Chcesz powiedzieć, że masz zamiar wysłać podanie w przyszłym roku. Po zbiorach.

- Masz teraz dość robotów i wszystkie są w niezłym stanie. Wytrzymają.

- Roboty tak - zgodził się wuj. - Ale roboty nie zastąpią człowieka. Wiesz o tym, Luke. Właśnie w czasie żniw jesteś mi najbardziej potrzebny. To tylko jeszcze jeden sezon.

Odwrócił wzrok. Surowość i gniew zniknęły. Luke bawił się sztuczkami. Nie jadł. Milczał.

- Posłuchaj - mówił Owen. - Po raz pierwszy mamy szansę zrobienia majątku. Zarobimy dosyć, żeby wynająć dodatkową pomoc. Nie roboty. Ludzi. Wtedy możesz wstąpić na Akademię - ważył każde słowo, nie przyzwyczajony do proszenia. - Potrzebuję cię, Luke. Rozumiesz to, prawda?

- To jeszcze jeden rok - stwierdził ponuro chłopak. - Jeszcze jeden rok.

Ileż razy słyszał to samo? Ile razy powtarzali identyczną grę z identycznym wynikiem?

Raz jeszcze pewny, że Luke zrozumiał jego problemy, Owen wzruszeniem ramion zbył obiekcje chłopca.

- Czas minie szybko, nawet nie zauważysz.

Nagle Luke wstał. Odsunął ledwie zaczęte jedzenie.

- To samo mówiłeś w zeszłym roku, kiedy wyjechał Biggs! - zawołał. Odwrócił się i prawie wybiegł z pokoju.

- Luke, dokąd lecisz? - krzyknęła za nim zmartwiona Beru.

- Wygląda na to, że nigdzie nie lecę - odpowiedział z goryczą. Po czym dodał, mając na względzie uczucia ciotki: - Muszę skończyć czyszczenie tych robotów, jeśli jutro mają być gotowe do pracy.

W jadalni zapadła cisza. Mąż i żona jedli mechanicznie, aż w końcu Beru przestała popychać jedzenie dookoła talerza i stwierdziła poważnie:

- Owen, nie możesz wiecznie go tu trzymać. Większość jego przyjaciół wyjechała. Wszyscy, z którymi dorastał. Akademia tak dużo dla niego znaczy.

- Załatwię to do przyszłego roku - odpowiedział apatycznie mężczyzna. - Obiecuję. Będziemy mieli pieniądze... no, może jeszcze następnego.

- Luke nie jest farmerem - ciągnęła zdecydowanym tonem Beru. - I nigdy nie będzie. Niezależnie od tego, jak bardzo starasz się go nim zrobić - wolno pokręciła głową. - Za bardzo jest podobny do swojego ojca.

Po raz pierwszy tego wieczoru Owen wydawał się zamyślony i zmartwiony, gdy spoglądał w korytarz, którym wyszedł Luke.

- Tego właśnie się boję - szepnął.

Luke wyszedł na powierzchnię. Stał na piasku i obserwował podwójny zachód, gdy najpierw jedno, a potem drugie słońce Tatooine kryło się za odległym pasmem wydm. W słabnącym świetle piaski stały się złote, rdzawe, płomiennie czerwonepomarańczowe, aż nadchodząca noc uspiła jaskrawe barwy do następnego dnia. Już wkrótce piaski te zakwitną, po raz pierwszy, jadalnymi roślinami. Była pustynia zobaczy erupcję zieleni. Myśl ta powinna wzbudzić u Luke'a dreszcz oczekiwania. Powinien dostać wypieków z podniecenia, jak wuj, gdy mówił o nadchodzących zbiorach. Zamiast tego czuł jedynie wszechogarniającą pustkę obojętności. Nawet perspektywa posiadania - pierwszy raz w życiu - dużej sumy pieniędzy nie wydawała mu się pociągająca. Co można zrobić z pieniędzmi w Anchorhead... czy zresztą gdziekolwiek na Tatooine?

To poczucie niespełnienia sprawiało, że część jego umysłu, i to coraz większa, stawała się bardziej i bardziej niespokojna. Nie była to rzecz niezwykła wśród młodych ludzi owych czasów, lecz z niezrozumiałych dla Luke'a powodów uczucie to było w nim silniejsze niż w któymkolwiek z jego przyjaciół. Gdy chłód nocy przekradł się po piasku, Luke otrzepał spodnie i skierował się do garażu. Może praca przy robotach pomoże choć trochę głębiej skryć w duszy żal...

W pomieszczeniu nie dostrzegł żadnego ruchu. Żadnej z nowych maszyn nie było w polu widzenia. Marszcząc brwi chłopiec odczepił od pasa niewielkie urządzenie kontrolne i pstryknął kilkoma osadzonymi w plastiku przełącznikami. Z pudełka wydobyło się niskie buczenie. Wołacz ujawnił wyższego z dwóch robotów,

Threepio, który krzyknął zaskoczony, wychodząc zza skoczka. Zdziwiony Luke ruszył w jego stronę. - Po co się tam chowasz?

Robot potykając się okrążył dziób pojazdu. Jego postawa wyrażała głęboką rozpacz. Luke zdał sobie sprawę, że mimo sygnału wołacza jednostki R2 ciągle nie było widać. Powód tej nieobecności - a raczej coś w rodzaju powodu - wyjawiał bez pytania Threepio.

- To nie moja wina. Proszę mnie nie wyłączać - błagał rozgorączkowany. - Mówiłem mu, żeby nie wychodził, ale on się zepsuł. Musiał się zepsuć. Coś wypaliło mu obwody logiczne. Ciągłe paplał o jakiejś misji. Nigdy dotąd nie słyszałem o robocie z manią wielkości. Takich rzeczy nie ma chyba nawet w kogitatywnej teorii jednostek tak podstawowych jak R2...

- Chcesz powiedzieć.. ? - Luke otworzył usta. - Tak, sir. On uciekł.

- A ja sam usunąłem mu sprzężenie ograniczające - mruknął chłopiec. Wyobrażał sobie twarz wuja, gdy się o tym dowie. Wydali na te roboty ostatnie oszczędności, tak powiedział.

Wybiegając z garażu Luke szukał w myślach nie istniejących powodów, dla których może zwariować jednostka R2. Threepio następował mu na pięty.

Z niewysokiego grzbietu, będącego najwyżej położonym punktem w okolicy domu, Luke zlustrował okolicę. Podniósłszy do oczu swą bezcenną makrolornetkę zbadał szybko ciemniejącą linię horyzontu. Starał się wysledzić coś małego, metalicznego i trójnogiego, co postradało mechaniczne zmysły. Threepio brnąc przez piach dotarł w końcu do Luke'a.

- Ten Artoo zawsze sprawiał same kłopoty - stękał. - Roboty astromechaniczne czasami stają się nazbyt ikonoklastyczne. Nawet ja tego nie rozumiem. Luke opuścił lornetkę.

- Nigdzie go nie widać - oświadczył krótko. Ze złością kopnął nogą w piasek. - Niech to... Jak mogłem być takim durniem i dać się tak wykiwać? Sam wyjąłem mu ogranicznik. Wuj Owen mnie zabije.

- Przepraszam bardzo, sir, czy nie mażemy go gonić? - zaryzykował Threepio; figury Jawów tańczyły w jego wyobraźni.

Luke obejrzał się i uważnie przyjrzał zbliżającej się ku nim ścianie czerni.

- Nocą nie. Jest zbyt niebezpiecznie. Za dużo tu rabusiów. Jawowie specjalnie mnie nie obchodzą, ale ludzie piasku... nie, nie po ciemku. Zaczekamy do rana i wtedy spróbujemy go wytropić.

Z dołu, z wnętrza domu, dobiegło wołanie:

- Luke! Luke! Skończyłeś już z tymi automatami? Chcę wyłączyć zasilanie na noc.

- Dobrze! - odkrzyknął chłopiec, kwitując pytanie milczeniem. - Za parę minut będę z powrotem. Odwrócił się i raz jeszcze skierował wzrok ku niewidocznej już linii horyzontu.

- Rany, ale wpadłem - mruknął do siebie. - Ten mały robot narobi mi masę kłopotów.
- Och, on w tym celuje, sir - zgodził się Threepio z ironiczną uprzejmością. Luke spojrział na niego ponuro. Razem ruszyli w dół, do garażu.

- Luke... Luke! - ścierając z oczu resztki snu, Owen rozglądał się, próbując odprężyć mięśnie szyi. - Gdzie ten chłopak się włóczy? - zastanawiał się głośno, nie słysząc żadnej odpowiedzi. W obojętności nie zauważył najmniejszego poruszenia, a na górze już sprawdzał.

- Luke! - krzyknął jeszcze raz. - Luke, Luke, Luke... - imię odbiło się echem od ścian wykopu. Zawrócił zagniewany i skierował się do kuchni, gdzie Beru szykowała śniadanie.

- Nie widziałas Luke'a dziś rano? - zapytał najciszej, jak potrafił.

Zmierzyła go wzrokiem i znowu zajęła się gotowaniem.

- Widziałam. Powiedział, że zanim wyjedzie na południową grań, musi jeszcze załatwić parę spraw, więc wychodzi wcześniej.

- Przed śniadaniem? - zaszepczał Owen. - To do niego niepodobne. Zabrał ze sobą nowe roboty?

- Chyba tak. Jestem pewna, że widziałam przynajmniej jednego.

- Hm - Owen był niespokojny, lecz nie mógł znaleźć żadnego powodu, by się rozżłościć. - Lepiej niech naprawi do południa te zestawy z grani. W przeciwnym razie trzeba będzie płacić diablo dużo.

Niewidoczna pod maską z białego metalu twarz wysunęła się z wnętrza na pół zasypanej kapsuły ratowniczej, tworzącej teraz kościec nieco wyższej od sąsiednich wydmy. Głos brzmiał pewnie, lecz czuło się w nim zmęczenie.

- Nic - rzucił - żołnierz w stronę grupki kolegów. - Żadnych taśm, żadnego śladu życia.

Potężne miotacze ręczne opadły na wiadomość, że kapsuła jest pusta. Jeden z okrytych zbrojami ludzi odwrócił się, wzywając stojącego w pewnej odległości oficera.

- To na pewno szalupa ze statku rebeliantów, sir, ale na pokładzie nie ma niczego.

- A jednak wylądowała w całości - mruknął do siebie oficer. - Mogła lądować automatycznie, ale jeżeli rzeczywiście nastąpiło zwarcie, to automatyka nie powinna się włączyć. Coś tu się nie zgadzało.

- To dlatego nikogo nie ma na pokładzie, sir - rozległ się głos. - Ani żadnego śladu życia. Oficer podszedł kilka kroków do miejsca, gdzie kłęczał na piasku inny szturmowiec, trzymający w ręku lśniącą w słońcu blaszkę. Oficer przyjrzał się jej.

- Płytką robota - stwierdził.

Zwierzchnik i podwładny wymienili znaczące spojrzenia. Potem równocześnie zwrócili wzrok ku wysokim płaskowzgórzom na północy.

Szumiące repulsory wyrzucały spod śmigacza chmurę piasku i drobnego żwiru, gdy sunął nad sfałdowaną powierzchnią Tatoonie. Czasem, gdy napotykał brudę lub podjazd, kołysał się lekko, by zaraz powrócić do płynnej jazdy, gdy pilot kompensował zmianę nawierzchni. Luke rozparł się w fotelu. Rozkoszował się niezwykłym poczuciem odprężenia. Threepio umiejętnie prowadził potężny pojazd, omijając wydmy i skalne odnogi. - jak na maszynę znakomicie sobie radzisz ze śmigaczem - zauważył z podziwem Luke.

- Dziękuję, sir - odparł zadowolony Threepio, nie odrywając wzroku od roztaczającego się przed nimi krajobrazu. - Nie kłamałem pańskiemu wujowi twierdząc, że uniwersalność to moje drugie imię. Prawdę mówiąc zdarzało się, że zmuszony okolicznościami wykonywałem funkcje, które moich konstruktorów wprawiłyby w osłupienie. Coś stuknęło z tyłu, potem jeszcze raz. Luke zmarszczył czoło i odsunął dach kabiny. Kilka chwil dłubania w sekcji silnikowej wyeliminowało metaliczne trzaski.

- jak tam? - krzyknął.

Threepio dał znak, że dostrojenie jest wystarczające. Luke powrócił do kokpitu i zasunął owiewkę. W milczeniu odgarnął z czoła zwichrzoną grzywę i znów skupił uwagę na ciągnącej się przed niani pustyni.

- Stary Ben Kenobi mieszka podobno gdzieś w tych stronach. Nikt dokładnie nie wie gdzie. Zresztą i tak nie rozumiem, w jaki sposób ten Artoo mógł zająć tak daleko w tak krótkim czasie. Musieliśmy go gdzieś przegapić - oświadczył przygnębiony. - Może teraz być gdziekolwiek. A wuj Owen pewnie się już zastanawia, czemu się jeszcze nie odezwałem z południowej grani.

Threepio zastanawiał się przez chwilę.

- Czy pomogłoby coś, sir - zapytał - gdyby powiedzieć, że to moja wina?

Luke rozjaśnił się.

- Pewno... Teraz potrzebuje cię dwa razy bardziej. Prawdopodobnie zdezaktywowałby cię tylko na dzień czy dwa, albo częściowo skasował pamięć.

Dezaktywacja? Kasacja pamięci? Threepio dodał pośpiesznie:

- Po zastanowieniu trzeba jednak stwierdzić, sir, że Artoo byłby na miejscu, gdyby mu pan nie usunął modułu ogranicznika.

Luke jednak miał na względzie coś ważniejszego niż ustalenie odpowiedzialności za zniknięcie robota.

- Zatrzymaj na chwilę - polecił i wbił wzrok w tablicę rozdzielczą. - Czujnik metali coś wskazuje, wprost przed nami. Z tej odległości trudno rozpoznać kształt, ale sądząc tylko po rozmiarach, może to być nasz automatyczny włóczykij. Ruszaj.

Threepio przycisnął akcelerator i śmigacz skoczył do przodu. Jego pasażerowie nie wiedzieli, że czyjeś oczy pilnie przypatrują się, jak pojazd zwiększa prędkość.

Te oczy nie były organiczne, nie były także w pełni mechaniczne. Nikt nie wiedział dokładnie jakie, gdyż nikt nie zdołał wystarczająco dokładnie zbadać Jeźdźców Tusken, samotnym farmerom znanych pod mniej oficjalną nazwą ludzi piasku.

Tuskenowie nie pozwalali na studia nad sobą, zniechęcając potencjalnych badaczy metodami równie skutecznymi, co mało cywilizowanymi. Kilku badaczy sądziło, że muszą być spokrewnieni z jarami. Mniejsza ich grupka wysunęła hipotezę, że Jawowie są dojrzałą formą ludzi piasku, lecz większość poważnych naukowców odrzucała tę teorię.

Obie rasy używały szczelnych okryć dla ochrony przed podwójną dawką promieniowania bliźniaczych słońc Tatoonie, lecz na tym kończyły się podobieństwa. Zamiast nosić, jak Jawowie, ciężkie, grube opończe, ludzie piasku owijali się jak mumie nieskończonymi taśmami, bandażami i luźnymi kawałkami materiału.

Podczas gdy Jawowie bali się wszystkiego, Tuskenowie nie odczuwali lęku przed niczym. Byli więksi, silniejsi i o wiele bardziej agresywni. Na szczęście dla ludzkich mieszkańców Tatoonie, nie byli zbyt liczni i woleli prowadzić życie nomadów w najbardziej niedostępnych regionach planety. Kontakty między nimi a ludźmi były więc niełatwe i nieczęste. Mordowali nie więcej niż garstkę kolonistów rocznie. A że ludzie także przyznawali się do swojej porcji Tuskenów, nie zawsze zgodnie z prawdą, obie strony utrzymywały coś w rodzaju pokoju - dopóki któraś z nich nie uzyskała przewagi.

Jeden z dwójki Jeźdźców uznał właśnie, że pozostająca w chwiejnej równowadze sytuacja przechyliła się na jego korzyść i postanowił w pełni wykorzystać tę przewagę, kierując lufę w stronę śmigacza. Jego towarzysz jednak chwycił broń i pochylił ku ziemi zanim zdążyła wystrzelić. Czyn ten spowodował burzliwą dyskusję. A kiedy obaj wrzaskliwie wymieniali poglądy w składającym się głównie ze spółgłosek języku, śmigacz pomknął swoją drogą.

Czy to dlatego, że pojazd zniknął z pola widzenia, czy też drugi Tusken przekonał pierwszego, w każdym razie przerwali kłótnię i zbiegli po zboczach wydmy. Dwa banthy zasapały i poruszyły się, widząc zbliżających się panów. Każdy z nich był wielkości niedużego dinozaura; miały jasne oczy i długą, gęstą sierść. Syczały nerwowo, gdy ludzie piasku wskoczyli na siodła. Na sygnał dany

kopnięciem banthy wstały. Poruszając się wolno, lecz olbrzymimi krokami, dwa potężne, rogate stwory ruszyły wzdłuż poszarpanego urwiska, popędzane przez swoich zapalczywych i równie jak one odrażających kornaków.

- Zgadza się, to on - stwierdził Luke. Poczul jednocześnie gniew i satysfakcję, kiedy drobna, trójnożna postać zjawiła się w polu widzenia. Śmigacz skręcił i znalazł się na dnie wielkiego, wyłobionego w piaskowcu kanionu.

- Zjedź go od przodu, Threepio - polecił Luke. - Z przyjemnością, sir.

Artoo na pewno ich zauważył, ale nie próbował uciekać, zresztą pewnie i tak nie prześcignąłby śmigacza. Gdy tylko ich zobaczył, po prostu zatrzymał się i czekał, aż pojazd zatoczy wokół niego płynny łuk. Threepio zahamował ostro, unosząc niewielką chmurę piasku z prawej strony małego robota. Potem wycie silnika ucichło, zastąpione przez ciche szum systemu parkowania. Ostatnie westchnięcie - i śmigacz znieruchomiał.

Uważnie zbadawszy wzrokiem kanion, Luke wyprowadził swego towarzysza na pokrytą żwirem powierzchnię, a później w górę, do R2D2.

- Gdzie się wybrałeś? - spytał ostro.

Robot wydał ciche, przepraszające gwizdnięcie, lecz nie on, a Threepio wybuchnął lawiną słów.

- Pan Luke jest teraz twoim właścicielem, Artoo. Jak mogłeś w ten sposób odejść od niego? Teraz, kiedy cię znalazł, lepiej już nie wracaj do tych bzdur o Obi-wanie Kenobim. Nie mam pojęcia, skąd je wytrzasnąłeś... albo ten melodramatyczny hologram.

Artoo zabuczał tonem protestu, lecz Threepio był zbyt oburzony, by przyjmować jakiegokolwiek usprawiedliwienie.

- I nie mów mi więcej o swojej misji. Co za nonsens. Masz szczęście, że pan Luke nie rozwalił cię na milion kawałeczków.

- To raczej niemożliwe - wtrącił Luke, nieco zaskoczony zapalczywością Threepio.

- Chodźmy. Robi się późno - spojrzał na wschodzące szybko słońca. - Mam nadzieję, że zdążymy wrócić, zanim wuj Owen naprawdę się wścieknie.

- Jeśli pozwoli pan sobie poradzić, sir... - Threepio najwyraźniej nie chciał dopuścić, by Artoo tanim kosztem wykręcił się ze sprawy. - Sądzę, że należałoby zdezaktywować tego małego uciekiniera do czasu, gdy bezpiecznie znajdzie się w garażu.

- Nie. Nie będzie już więcej próbował - Luke zmierzył popiskującego cicho robota surowym wzrokiem. - Mam nadzieję, że ta lekcja nie poszła na marne. Nie ma potrzeby...

Nagle, bez ostrzeżenia, Artoo wyskoczył w górę - wyczyn bez wątpienia godny uwagi, jeśli wziąć pod uwagę jak słabe były mechanizmy sprężynowe w jego trzech grubych nogach. Cylindryczny korpus kołysał się i wirował; wydobywała się z niego istna symfonia gwizdów, pohukiwań i elektronicznych wykrzykników. Luke był raczej znudzony niż zaniepokojony. - O co chodzi? Co się z nim teraz dzieje? Zaczynał rozumieć, dlaczego Threepio tracił cierpliwość. Sam miał już dosyć tego zdefektowanego urządzenia.

Niewątpliwie Artoo zdobył przypadkiem holo tej dziewczyny i wykorzystał je, by skłonić jego, Luke'a, do usunięcia modułu ogranicznika. Threepio najprawdopodobniej odgadł prawidłowo. Mimo wszystko, gdy dostroi mu się obwody i przeczyści złącza logiczne, będzie z niego bardzo użyteczna jednostka rolnicza.

Tylko... jeżeli to prawda, to dlaczego Threepio tak nerwowo się rozgląda?

- Oj, sir, Artoo twierdzi, że z południowego wschodu zbliża się tu kilka

stworzeń nieznanego typu. Być może Artoo chciał w ten sposób odwrócić ich uwagę, lecz Luke nie mógł ryzykować. Zdjął z ramienia strzelbę i zaktywizował baterię. Zlustrował horyzont, nie zauważył jednak niczego. No, ale ludzie piasku byli mistrzami w sztuce czynienia się niewidocznymi. Nagle Luke zdał sobie sprawę, jak daleko się znalazł, jaką odległość przebył śmigacz tego ranka.

- Nigdy nie zapuszczałem się w tę stronę tak daleko od farmy - oświadczył. - Żyje tu sporo strasznie dziwnych stworzeń. Nie wszystkie jeszcze zostały sklasyfikowane. Lepiej, dopóki nie okaże się inaczej, uznać je wszystkie za niebezpieczne. Oczywiście, jeżeli to coś zupełnie nowego...

- ciekawość nie dawała mu spokoju. Zresztą i tak był to zapewne kolejny podstęp R2D2.

- Przyjrzyjmy się im - postanowił.

Ostrożnie, trzymając w pogotowiu broń, poprowadził Threepio na szczyt pobliskiej wydmy. Równocześnie starał się nie spuszczać oka z Artoo. Na górze położył się płasko na brzuchu i zamienił strzelbę na makrolornetkę. Przed nim ciągnął się kolejny kanion, zamknięty wygładzoną przez wiatry ścianą barwy brązu i ochry. Badając wolno jego dno, dostrzegł nieoczekiwanie parę spętanych zwierząt. Banthy - i to bez jeźdźców.

- Czy pan coś mówił, sir? - wysapał Threepio, gramoląc się za Luke'em. Jego lokomotory nie były projektowane do takich wspinaczek.

- Banthy - szepnął przez ramię Luke, zapominając w podnieceniu, że Threepio być może nie wie, czym różni się bantha od pandy.

Znów spojrzął w szkła, zmieniawszy nieco ogniskową.

- Czekaj... ludzie piasku, na pewno. Widzę jednego.

Nagle coś ciemnego przesłoniło pole widzenia. Przez chwilę zdawało mu się, że to jakiś kamień potoczył się przed nim. Zirytowany opuścił lornetkę i wyciągnął rękę, by odsunąć przeszkadzający obiekt. Jego palce trafiły na coś, co przypominało elastyczny metal. Była to obandażowana noga, gruba jak obie nogi chłopca. Zaskoczony podniósł głowę wyżej... i jeszcze wyżej - wznosząca się nad nim postać nie była Jawą. Zdawało się, że wyskoczyła wprost spod piasku. Threepio cofnął się przerażony. Jego stopa nie znalazła oparcia. Żyroskopy zawyły protestujące i wysoki robot runął w dół. Zmartwiały Luke słyszał stuki i grzechotania cichnące w miarę, jak android odbijając się od ziemi staczał się coraz niżej. Chwila zaskoczenia minęła i Tusken, wydawszy z siebie przeraźliwe warknięcie furii, a jednocześnie rozkoszy, zadał cios swym ciężkim gaderffii. Podwójne ostrze topora rozplątałoby czaszkę Luke'a, gdyby ten nie zasłonił się strzelbą w instynktownym raczej niż świadomym geście. Broń odbiła uderzenie, lecz był to ostatni pożytek, jaki przyniosła. Zrobione z płyty pancerza rozbitego frachtowca ostrze rozkruszyło lufę i zamieniło w metalowe confetti delikatne układy wewnętrzne strzelby.

Luke cofał się krok za krokiem, aż stanął na krawędzi urwiska. Jeździec szedł za nim, trzymając broń wzniesioną wysoko nad owiniętą szmatami głową. Zachichotał makabrycznie; głos wydobywający się przez okratowany piaskofiltr wydawał się jeszcze bardziej nieludzki.

Luke próbował obiektywnie ocenić swoją sytuację, jak go uczono na kursach przetrwania. Problem polegał na tym, że czuł suchość w ustach, ręce mu drżały, a strach paraliżował ruchy. Przed nim stał Jeździec, z tyłu czekał prawdopodobnie śmiertelny upadek. W umyśle chłopca zwyciężyła ta cząstka, która poszukiwała jakiegoś mniej bolesnego rozwiązania. Zemdlał.

Zaden z Jeźdźców nie zauważył R2D2, gdy mały robot wcisnął się w płytkie zagłębienie w skale. Jeden z nich niósł bezwładne ciało Luke'a. Zwalił nieprzytomnego chłopca na piasek i przyłączył się do swych towarzyszy, pracujących już przy otwartym śmigaczu.

Na wszelkie strony wylatywały zapasy i części zamienne pojazdu. Od czasu do czasu napastnicy przerywali pładrowanie, gdy kilku z nich kłóciło się lub biło o jakąś szczególnie atrakcyjną część łupu.

Nagle podział zawartości pojazdu został wstrzymany. Jeźdźcy, rozglądając się na wszystkie strony, z przerażającą szybkością wtopili się w pustynny krajobraz. Wąwozem przemknął jakiś zabłąkany, roztargniony powiew. Daleko na zachodzie coś zawyło. Wznosząc się i opadając narastająca fala dźwiękowa odbiła się echem od skał. Przez chwilę ludzie piasku trwali nieruchomo. Potem, z głośnymi warknięciami i jękami przerażenia, czym prędzej oddalili się od z daleka widocznego śmigacza. Budzące dreszcz lęku wycie rozległo się ponownie, tym razem bliżej. Tuskenowie byli

już jednak w połowie drogi do miejsca, gdzie czekały banthy. Te także pochylały się i w napięciu szarpały pęta.

Dla Artoo dźwięk nie oznaczał niczego. Mimo to mały robot próbował jeszcze głębiej wtłoczyć kadłub do niby grotu. Źródło ogłuszającego wycia zbliżało się. Sądząc z reakcji ludzi piasku, głos ten wydawało z siebie coś niewyobrażalnie straszliwego. Straszliwego i morderczego, co może nie ma dość rozumu, by odróżnić jadalne organizmy od niejadalnych maszyn. Nawet ślad kurzu nie pozostał, by zaznaczyć miejsce, gdzie jeszcze kilka minut temu Jeźdźcy Tusken dokonywali rozbioru zawartości śmigacza. R2D2 wyłączył wszelkie funkcje prócz absolutnie niezbędnych, starając się do minimum ograniczyć poziom emitowanego światła i dźwięku. Źródło świszczącego odgłosu było coraz bliżej. Wreszcie zdążający w stronę pojazdu potwór wynurzył się zza pobliskiej wydmy...

Rozdział V

Był wysoki, ale nie bardzo straszny. Artoo skoncentrował się, kontrolując układy wzroku i reaktywując swe systemy wewnętrzne. Potwór był bardzo podobny do starego człowieka. Miał na sobie podniszczony płaszcz, z luźnej szaty zwisały różne rzemyki, paczki i trudne do rozpoznania instrumenty. Artoo na wszelki wypadek przeszukał otoczenie przybysza, lecz nie wykrył żadnych śladów ścigającego go koszmaru. Zresztą człowiek także nie sprawiał wrażenia, by coś go goniło. Przeciwnie, pomyślał robot, wyglądał raczej na zadowolonego.

Trudno było dostrzec granicę, gdzie kończyły się zachodzące na siebie warstwy stroju niezwyklego przybysza i zaczynała się jego własna skóra. Wiekowe oblicze zlewało się ze zniszczoną przez piasek materią, a broda zdawała się przedłużeniem luźnych pasm, pokrywających górną część klatki piersiowej. Na pokieszowanej twarzy odbiły się ślady ostrych klimatów, innych niż klimat pustyni, ślady straszliwego mrozu i wysokiej wilgotności. Spośród morza zmarszczek i blizn, niczym skała ostańca, sterczał badawczo podobny do dzioba nos. Z obu jego stron błyszczały oczy, niby dwa kryształy płynnego lazuru. Mężczyzna uśmiechał się zza pokrytej piaskiem i pyłem brody. Zmrużył oczy na widok bezwładnej postaci, leżącej obok śmigacza. Artoo był przekonany, że ludzie piasku padli ofiarą jakiegoś złudzenia dźwiękowego i dla wygody zapomniał, że on także go doświadczył. Pewien, że obcy nie zrobi Luke'owi krzywdy przesunął się nieco, by lepiej widzieć. Poruszony przy tym maleńki kamyk wydał dźwięk ledwie słyszalny nawet dla elektronicznych czujników robota, lecz człowiek odwrócił się tak gwałtownie, jakby rozległ się wystrzał. Spoglądał teraz prosto w niszę, będącą kryjówką Artoo. Wciąż uśmiechał się łagodnie.

- Hej tam! - zawołał, zadziwiająco przyjemnym głosem. - Chodź tutaj, mój mały przyjacielu. Nie ma się czego bać.

Ton głosu był bezpośredni i uspokajający. Zresztą i tak kontakt z nieznanym był lepszy od samotności na tym pustkowiu. Kołysząc się z boku na bok Artoo wyszedł na słońce i zbliżył się do rozciągniętego na piasku Luke'a. Pochylił baryłkowaty korpus, przyglądając się nieruchomej postaci. Z jego wnętrza dobiegły zatroskane gwizdy i popiskiwanie.

Stary człowiek zbliżył się, przykucnął obok Luke'a i wyciągniętą ręką dotknął jego czoła. W chwilę potem nieprzytomny chłopiec poruszył się i zaczął pomrukiwać coś, jakby przez sen.

- Nie martw się - pocieszył robota obcy. - Nic mu nie będzie.

Jakby dla potwierdzenia tej opinii, Luke otworzył oczy, zdziwiony spojrzał w górę i wymamrotał:

- Co się stało?

- Wypoczywaj, synu - polecił mu przybysz, przysiadając na piętach. - Miałeś ciężki dzień - znowu ten chłopięcy uśmiech. - Masz wielkie szczęście, że twoja głowa trzyma się jeszcze całej reszty.

Luke rozejrzał się i jego spojrzenie spoczęło na pochylonej nad nim twarzy. Rozpoznał ją, co znakomicie wpłynęło na jego stan.

- Ben... to musiałeś być ty! - nagle wspomnienie sprawiło, że rozejrzał się przestraszony, lecz wokół nie było ani śladu ludzi piasku. Powoli unióś ciało do pozycji siedzącej. - Ben Kenobi... tak się cieszę, że cię widzę!

Starzec wstał i zbadał wzrokiem kanion oraz nierówne krawędzie otaczających go urwisk. Zaczął rysować stopą jakieś linie na piasku.

- Nie należy lekkomyślnie zapuszczać się w pustkowia Jundlandu. Zbłąkany podróżny wystawia na próbę gościnność Tuskenów. - Spojrzał pytająco na chłopca.

- Czy możesz mi wytłumaczyć, młody człowieku, z jakiej przyczyny zapuściłeś się tak daleko w tę ziemię niczyją?

Luke wskazał na R2D2.

- To przez niego. Najpierw zdawało mi się, że zwariował, bo ciągle twierdził, że szuka swego poprzedniego właściciela. Teraz już tak nie myślę. Nigdy jeszcze nie spotkałem się z takim poświęceniem u robota, obojętnie: szalonego czy nie. Chyba nie ma sposobu, żeby go powstrzymać.

Posunął się nawet do oszustwa - Luke uniósł głowę. - Twierdzi, że jest własnością kogoś, kto nazywa się Obi-wan Kenobi - chłopiec przyglądał się bacznie, lecz starszy mężczyzna nie zareagował. - Czy to twój krewny? Wuj uważa, że ktoś taki istniał naprawdę. Ale może to tylko jakiś nic nie znaczący strzęp przekłamanej informacji, który trafił do jego wyjściowego banku danych wykonawczych?

Zmarszczka na czole czyniła zdumiewające rzeczy ze starą, wysmaganą przez piaski twarzą. Kenobi zdawał się rozważać pytanie w zamyśleniu gładząc zmierzwioną brodę.

- Obi-wan Kenobi - powtórzył. - Obi-wan... cóż, dawno już nie słyszałem tego imienia. Bardzo dawno. Interesująca historia.

- Wuj mówi, że on umarł - podpowiedział skwapliwie Luke.

- Ależ wcale nie umarł - poprawił go swobodnie Kenobi. - Jeszcze nie, jeszcze nie.

Luke wstał podniecony. Całkiem już zapomniał o Jeźdźcach Tusken.

- Więc go znasz?

Przewrotnie młodzieńczy uśmiech rozciął na dwie części collage pomarszczonej skóry i brody.

- Oczywiście, że go znam. To ja. Z pewnością tak właśnie przypuszczałeś. Chociaż przestałem używać imienia Obi-wan, zanim jeszcze się urodziłeś.

- Zatem - oświadczył chłopiec wskazując R2D2 - ten robot należy do ciebie, tak jak mówił. - Wiesz, to właśnie jest najdziwniejsze - wyznał Kenobi obserwując milczący automat. - Jakoś nie mogę sobie przypomnieć, żebym kiedyś był właścicielem robota, a już zwłaszcza nowoczesnej jednostki R2. Bardzo, bardzo ciekawe.

Nagle jego spojrzenie powędrowało ku krawędzi urwiska.

- Chyba najlepiej będzie, jeżeli teraz skorzystamy z twojego śmigacza. Ludzi piasku łatwo jest przestraszyć, ale wkrótce wrócą w większej liczbie. Taki pojazd nie jest łupem, z którego rezygnuje się bez walki. W końcu to nie Jawowie.

Uniósł do ust przedziwnie ułożone dłonie, odetchnął głęboko i wydał z siebie niezemskie wycie. Luke aż podskoczył.

- To powinno ich odpędzić jeszcze na jakiś czas - oświadczył starzec z głęboką satysfakcją.

- Przecież to głos krayt-smoka! - zdumiony Luke otworzył usta. - Jak to zrobiłeś?

- Kiedyś ci pokażę, synu. To niezbyt trudne. Wymaga właściwego podejścia, wyrobionych strun głosowych i mocnych płuc. No, gdybyś był imperialnym urzędnikiem, pokazałbym ci od razu. Ale nie jesteś. Zresztą - znów spojrzał w stronę urwiska - nie sądzę, żeby to był odpowiedni czas i miejsce.

- Nie mam zamiaru się upierać - Luke rozmasował sobie kark. - Ruszajmy.

Wtedy Artoo zabuczał rozpaczliwie i zawrócił. Luke nie potrafił zinterpretować elektronicznego pisku, lecz bez trudu pojął, co się za nim kryło.

- Threepio! - krzyknął zatroskany. Artoo oddalał się już od śmigacza tak szybko, jak tylko potrafił. - Chodźmy, Ben.

Mały robot doprowadził ich do skraju głębokiej jamy i tu się zatrzymał. Wychylony w dół piszczał żałością. Luke spojrzał we wskazanym kierunku, po czym zaczął ostrożnie zsuwać się po sypkim piasku. Kenobi podążał za nim bez wysiłku.

Threepio leżał na dnie w miejscu, gdzie stoczył się ze skarpy. Jego obudowa była porysowana i fatalnie powyginana. W pobliżu leżało wyłamane i skrzywione ramię.

- Threepio! - krzyknął Luke.

Robot nie zareagował. Potrząsanie rum także nie przyniosło rezultatów. Chłopiec otworzył klapę na plecach androida i kilkakrotnie przełączył w obie strony ukrytą pod nią manetkę. Coś zabuczało nisko i ucichło, wreszcie rozległ się normalny cichy pomruk. Pomagając sobie ocalałą ręką Threepio przetoczył się na plecy i usiadł.

- Gdzie ja jestem? - mruczał czekając, aż oczyszczą się jego fotoreceptory. Po chwili zdołał rozpoznać Luke'a. - Przepraszam, sir, ale musiałem się potknąć.

- Masz szczęście, że podstawowe układy jeszcze działają - chłopiec znacząco wskazał ruchem głowy szczyt wydmy. - Możesz wstać? Musimy się stąd wynieść, zanim wrócą ludzie piasku. Serwomotory wyły protestujące, póki Threepio nie zaprzestał prób powrotu do pozycji pionowej.

- Nie sędzę, żebym sobie poradził. Proszę iść, panie Luke. Nie ma sensu, żeby się pan dla mnie narażał. Jestem skończony.

- Wcale nie jesteś - zaprzeczył Luke czując nie wyjaśnioną sympatię do tej dopiero co poznanej maszyny. No, ale Threepio nie był jednym z typowych, niekomunikatywnych urządzeń agrofunkcyjnych, do jakich był przyzwyczajony. - Co to za głupie gadanie? - Logiczne - oświadczył Threepio.

- Defetysta!

Z pomocą Luke'a i Bena Kenobiego pokiereszowany android zdołał jakoś stanąć na nogi i ruszyć w górę. Mały Artoo przyglądał się temu znad skraju jamy.

W połowie drogi Kenobi zatrzymał się i podejrzliwie pociągnął nosem.

- Szybciej, synu. Oni znowu nadchodzą.

Starając się obserwować jednocześnie okoliczne skały i powierzchnię pod nogami, Luke zaczął ciągnąć Threepio w górę.

Styl wyposażenia wnętrza jaskini Bena Kenobiego był wprawdzie spartański, lecz nie sprawiał wrażenia braku wygod. Zbyt skromny dla większości ludzi był odbiciem niezwykłych, eklektycznych gustów właściciela. Powierzchnia mieszkalna promieniowała aurą oszczędnego komfortu, w którym większą wagę przykładano do potrzeb umysłowych niż do niezgrabnego ludzkiego ciała. Udało im się opuścić kanion, zanim Jeźdźcy Tusken zdążyli wrócić w większej sile. Pod kierunkiem Kenobiego Luke pozostawił tak splątane ślady, że nawet obdarzeni hiperczułym węchem Jawowie nie zdołaliby za nimi podążyć. Ignorując stwarzane przez jaskinię Kenobiego pokusy, Luke spędził kilka godzin w kącie, gdzie znalazł niewielki, lecz dobrze wyposażony warsztat naprawczy. Zajął się więc urwaną ręką Threepio. Na szczęście automatyczne wyłączniki przeciążeniowe zadziałały pod wpływem gwałtownego naprężenia, blokując elektroniczne gangliony i nerwy. Naprawa ograniczała się więc do umocowania ramienia i uruchomienia autouszczelniaczy. Gdyby ręka zamiast w stawie uległa złamaniu w środku "kości", reperacja poza warsztatem fabrycznym byłaby niemożliwa.

W czasie, gdy Luke pracował nad Threepio, Kenobi skoncentrował swe wysiłki na R2D2. Przysadzisty robot siedział nieruchomo na chłodnej powierzchni spągu, a stary człowiek majstrował w jego wnętrznościach. Po pewnym czasie wyprostował się, usatysfakcjonowany.

- Uff - westchnął, zamykając pootwierane w okrągłej głowie robota kłapy. - Zaraz się przekonamy, mały przyjacielu, czy zdołasz nam powiedzieć, czym jesteś i skąd się tu wziąłeś.

Luke prawie skończył i słowa Bena wystarczyły, by rzucił pracę.

- Widziałem część przekazu - zaczął. - L..

W pustej przestrzeni przed robotem znowu ukazał się frapujący portret. Chłopiec urwał, raz jeszcze oczarowany tajemniczą pięknnością.

- Tak, chyba coś w tym jest - mruknął w zamyśleniu Kenobi.

Falowanie obrazu wskazywało, że nagranie przeprowadzono w pośpiechu. Jednak, jak z uznaniem spostrzegł Luke, portret był teraz o wiele ostrzejszy i wyraźniejszy.

Było oczywiste, że Kenobi jest ekspertem także w sprawach bardziej skomplikowanych, niż włóczęga po pustyni.

"- Generale Obi-wan Kenobi - rozległ się melodyjny głos. - Staję przed tobą w imieniu rodziny planet Alderaan i Sprzymierzenia Odrodzenia Republiki. Naruszam twoją samotność z polecenia mojego ojca Baila Organy, wicekróla i Pierwszego Przewodniczącego systemu Alderaan.

Kenobi spokojnie słuchał tego niezwykłego oświadczenia, zaś oczy Luke'a robiły się coraz większe i większe, aż niemal wyskakiwały z orbit.

- Dawno temu, generale - kontynuowała dziewczyna - służyłeś Starej Republice w Wojnach Klonów. Teraz, w najczarniejszej godzinie, mój ojciec błaga cię, byś znów nam pomógł. Chce, abyś przybył do niego na Alderaan. Musisz tam polecieć. Żałuję, że nie mogę osobiście przekazać ci prośby ojca. Moja misja, której celem było spotkanie z tobą, poniosła klęskę. Musiałam zatem skorzystać z zastępczych metod komunikacji. Decydujące dla przetrwania Sprzymierzenia informacje zostały zabezpieczone w mózgu tego robota. Błagam cię, byś bezpiecznie dostarczył go na Alderaan. - Przerwała, by po chwili znowu przemówić, tym razem jakby w pośpiechu i mniej oficjalnie. - Musisz mi pomóc, Obi-wanie Kenobi. Jesteś moją ostatnią nadzieją. Za chwilę zostanę schwytana przez agentów Imperium. Niczego się ode mnie nie dowiedzą. Wszystko, co istotne, zakodowane jest w komórkach pamięciowych tego robota. Nie zawieź nas, Obi-wanie Kenobi. Nie zawieź mnie."

Niewielka chmura trójwymiarowych zakłóceń przesłoniła delikatną twarz, po czym obraz zniknął zupełnie. R2D2 popatrzył na Kenobiego wyczekująco.

Przez głowę Luke'a przebiegały myśli tak niewyraźne i mętne, jak staw pełen ropy naftowej. Wzburzony, szukał uspokojenia w obrazie siedzącej spokojnie obok postaci.

Starzec. Szalony czarownik. Pustynny włóczęga i wagabunda, człowiek do wszystkiego, którego wuj, i w ogóle wszyscy, znali od tak dawna, jak tylko Luke sięgał pamięcią. Jeżeli posłanie, pospiesznie i nerwowo wypowiedziane wśród chłodu jaskini przez nieznaną kobietę wywarła na Kenobim jakiegokolwiek wrażenie, to nie dał tego po sobie poznać. Oparty o skałę w zamyśleniu gładził swoją brodę i pykał z fajki, zrobionej ze zmatowiałego rodzimego chromu. Luke odtworzył w pamięci pełen prostoty, a przy tym tak piękny wizerunek.

- Ona jest taka... taka... - wychowany na farmie nie potrafił znaleźć odpowiedniego słowa. Nagle przypomniał sobie jedno z wypowiedzianych przez nieznaną zdań i z niedowierzaniem spojrzał na Bena. - Generale Kenobi, walczył pan w Wojnach Klonów? Ale... to było tak dawno...

- Hmm tak - przyznał Kenobi tonem tak obojętnym, jakby dyskutował o przepisie na gulasz z shanga. - Minęło już trochę czasu. Byłem kiedyś rycerzem Jedi. Tak samo jak... - spojrzał na chłopca badawczo - ...jak twój ojciec.

- Rycerzem Jedi... - powtórzył Luke. Potem, zakłopotany, powiedział tonem wyjaśnienia: - Ale mój ojciec nie walczył w Wojnach Klonów. Nie był żadnym rycerzem... tylko zwykłym nawigatorem na frachtowcu kosmicznym.

Ustnik fajki skrył się w szerokim uśmiechu Bena. - Tak mówił ci wuj - stwierdził. - Owen Lars nie zgadzał się z ideałami, opiniami ani filozofią życia twojego ojca. Uważał, że powinien zostać na Tatooine, i nie mieszać się do... - znów pozornie obojętne wzruszenie ramion. - No, powinien zostać tutaj i pilnować swojej farmy.

Luke słuchał w napięciu jak starzec przekazuje mu urywki historii, którą znał dotąd jedynie w zniekształconej wersji wuja.

- Owen zawsze się bał, że pełne przygód życie twojego ojca może wyrzucić na ciebie pewien wpływ i skłonić do porzucenia Anchorhead - wolno pokiwał głową, jakby wspominając smutne wydarzenia. - Obawiam się, że twój ojciec nie miał duszy farmera.

Luke odwrócił się i gorliwie zaczął czyścić gojącą się powłokę Threepio z ostatnich cząsteczek piasku. - Szkoda, że go nie znałem - szepnął po chwili. - Był najlepszym pilotem, jakiego kiedykolwiek spotkałem - mówił dalej Kenobi. - I świetnym myśliwcem. Moc... instynkt był w nim silny - przez krótką chwilę wydawał się naprawdę stary. - Był też dobytym przyjacielem. - W jego przenikliwych oczach znowu zapaliły się młodzińcze iskry. Wraz z nimi powrócił zwykły dobry humor. - Jak wiem, sam jesteś niezłym pilotem. Pilotaż i nawigacja nie są cechami dziedzicznymi, ale parę innych rzeczy, które razem mogą stworzyć dobrego pilota - owszem. I te mogłeś odziedziczyć. No, ale nawet kaczkę trzeba nauczyć pływać.

- Co to jest kaczka? - zainteresował się Luke.

- Mniejsza z tym. Jesteś bardzo podobny do ojca - Kenobi bez skrupowania obrzucił Luke'a taksującym spojrzeniem. - Sporo urosłeś od czasu, kiedy widziałem cię ostatnio.

Luke nie wiedział, co na to odpowiedzieć; milczał więc, a stary człowiek zatonął w rozmyślaniach. Po chwili drgnął, jakby podjął ważną decyzję.

- To mi coś przypominało - oświadczył z pozorną niedbałością. - Mam tu coś dla ciebie.

Wstał, podszedł do pękatej staromodnej skrzyni i zaczął przetrząsać jej zawartość. Najrozmaitsze interesujące drobiazgi wyjmował i oglądał tylko po to, by wrzucić je z powrotem. Luke zdołał rozpoznać kilka z nich. Kenobi najwyraźniej szukał czegoś ważnego, więc chłopiec powstrzymał się od pytania o inne intrygujące przedmioty.

- Twój ojciec życzył sobie - mówił Kenobi - żebyś, kiedy już dorośniesz, miał ten... jeżeli w ogóle znajduję tę piekielną maszynkę. Już raz chciałem ci go dać, ale wuj nie pozwolił. Uważał, że zaczną przychodzić ci do głowy różne zwiariowane pomysły i że skończysz, maszerując za statym Obiwanem na jakąś idealistyczną krucjatę. Widzisz, Luke, w tym właśnie nie zgadzali się twój ojciec i Owen. Lars nie jest człowiekiem, który pozwoliłby, żeby idealizm przeszkadzał mu w interesach. Twój ojciec natomiast uważał, że ten problem nie wart jest dyskusji. Decyzje w takich sprawach podejmował instynktownie, tak jak w pilotażu. Luke pokiwał głową. Oczyszczył już robota z resztek kamiennego pyłu i właśnie rozglądał się za ostatnim brakującym podzespołem, by wmontować go w otwartą pierś Threepio. Znalazł moduł ograniczniki, otworzył zaczepy i zaczął wkładać go na miejsce. Zdawało się, że przyglądający się temu android drgnął. Luke przez długą chwilę patrzył w jego metalicznoplastikowe fotoreceptory. Potem zdecydowanym ruchem odłożył moduł na stolik i zatrzasnął płytę. Threepio milczał.

Z tyłu dobiegło chrząknięcie. Luke obejrzał się i spostrzegł zbliżającego się Kenobiego. Starzec wręczył chłopcu niewielki, niewinnie wyglądający aparat, który ten obejrzał z zainteresowaniem.

Urządzenie składało się głównie z krótkiej, grubej rękojeści, w którą wbudowano kilka drobnych przełączników. Ponad walcem umieszczono okrągły metalowy dysk, niewiele większy niż rozwartą dłoń. W dysk i w uchwyt wbudowano kilka nieznanych, klejnotopodobnych układów, wśród nich coś, co wyglądało na najmniejsze ogniwo energetyczne, jakie Luke w życiu widział. Odwrotna strona dysku była wypolerowana i gładka jak zwierciadło. Najbardziej jednak intrygowało chłopca ogniwo. Jego dane znamionowe świadczyły, że ta rzecz - czymkolwiek była - zużywała sporo energii.

Zabawka wydawała się zupełnie nowa. Najwyraźniej Kenobi przechowywał ją bardzo starannie. Jedyne kilka maleńkich rys na rękojeści dowodziło, że była już używana.

- Sir? - dobiegł znajomy, tak dawno nie słyszany głos.

- Co? - Luke drgnął, odrywając się od badania aparatu.

- Jeżeli nie jestem potrzebny - powiedział Threepio - to może wyłączę się na chwilę. Unerwienie pancerza lepiej się wtedy zrośnie, a i tak powinienem przeprowadzić wewnętrzne oczyszczenie.

- Jasne, nie przeszkadzaj sobie - zgodził się z roztargnieniem Luke, powracając do badania owego fascynującego czegoś. Threepio ucichł, na pewien czas zgasło lśnienie jego oczu. Chłopiec zauważył, że Kenobi przygląda mu się z zainteresowaniem.

- Co to jest? - spytał wreszcie, gdy mimo najszczerszych wysiłków nie zdołał zidentyfikować aparatu.

- Miecz świetlny twojego ojca - wyjaśnił stary człowiek. - Swego czasu były w powszechnym użytku. Jeszcze i teraz są w pewnych regionach Galaktyki.

Luke przyjrzał się przełącznikom w rękojeści, po czym na próbę dotknął przycisku jaskrawej barwy, umieszczonego tuż przy dysku ochraniacza. Z uchwytu natychmiast wytrysnął błękitno-biały promień grubości kciuka. Był tak zagęszczony, że aż nieprzejrzysty i długi nieco ponad metr. Nie rozpraszał się, na końcu był równie jaskrawy i intensywny jak tuż przy dysku. Dziwne, ale Luke zupełnie nie czuł promieniującego z niego ciepła. Mimo to pilnie baczył, żeby go nie dotknąć.

Wprawdzie jeszcze nigdy nie widział miecza świetlnego, wiedział jednak, do czego jest zdolny. Mógłby nim przewiercić dziurę wprost przez skalną ścianę jaskini Kenobiego. Albo przez ludzkie ciało.

- To oficjalna broń rycerza Jedi - wyjaśnił Kenobi. - Nie tak ciężka i niezgrabna jak miotacz. Żeby jej używać potrzebne jest coś więcej niż tylko dobre oko. Elegancka broń. A także symbol. Każdy potrafi strzelać z miotacza czy blastera, ale żeby dobrze posługiwać się mieczem świetlnym, trzeba być kimś, kto wyrasta ponad przeciętność.

Zaczął tam i z powrotem przechadzać się po jaskini. - Przez ponad tysiąc pokoleń, Luke, rycerze Jedi byli najpotężniejszą i najbardziej szanowaną siłą w Galaktyce. Gwarantowali i strzegli pokoju i sprawiedliwości w Starej Republice.

Gdy Luke zapytał, co stało się z nimi potem, Kenobi przyjrzał mu się uważnie. Chłopiec nieobecny wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń i zapewne niewiele usłyszał z jego wykładu. Niektórzy zapewne zbesztaliby go za brak szacunku, lecz Ben do nich nie należał. Bardziej wrażliwy niż większość ludzi czekał cierpliwie, aż będzie mógł mówić dalej, gdy cisza stanie się dla Luke'a dostatecznie nie do zniesienia.

- Jak... - powiedział powoli chłopiec. - jak zginął mój ojciec?

Kenobi zawahał się i Luke wyczuł, że starzec wolałby o tym nie mówić. Lecz, w przeciwieństwie do wuja Owena, Obi-wan nie potrafił ukryć prawdy za dogodnym kłamstwem.

- Został zdradzony i zamordowany - oświadczył z powagą. - Przez bardzo młodego Jedi o imieniu Darth Vader. - Nie patrzył na Luke'a. - Ten chłopiec szkolił się u mnie. Był jednym z moich najzdolniejszych uczniów... i największą pomyłką. - Znowu podjął swój spacer po jaskini. - Vader użył wiedzy, którą mu dałem i mocy, którą miał w sobie, dla zła. Pomógł późniejszemu Imperatorowi. Rycerze Jedi byli rozproszeni, dezorganizowani lub martwi i niewielu mogło mu się przeciwstawić. Dziś prawie ich nie ma. - Na jego twarzy pojawił się trudny do rozszyfrowania wyraz. - W wielu wypadkach byli zbyt dobrzy, zbyt ufni w swą siłę. Za bardzo wierzyli w stabilność Republiki. Nie rozumieli, że choć ciało jest zdrowe, głowa może stać się słaba i chora, dająca sobą manipulować takim ludziom jak Imperator.

- Chciałbym wiedzieć, do czego dążył Vader - podjął po chwili milczenia. - Mam przeczucie, że odlicza czas, przygotowując jakieś niewyobrażalne okropieństwa. Takie jest przeznaczenie kogoś, kto opanował moc i kogo pochłonęła jej ciemna strona.

- Moc? - zdziwił się Luke. - Już drugi raz wspominasz o tym.

Kenobi kiwnął głową.

- Czasem zapominam, w czyjej obecności tak się rozgadałem. Powiedzmy w skrócie, że moc jest rzeczą, z którą musi obcować Jedi. Nigdy wprawdzie nie wyjaśniono dokładnie jej istoty, lecz naukowcy sugerują, że to jest pewnego rodzaju pole energii, generowane przez żywe stworzenia. Człowiek od dawna podejrzewał jej istnienie, lecz przez całe tysiąclecia nie potrafił zdać sobie sprawy z jej potencjału. Niektórzy tylko rozpoznawali w mocy to, czym jest naprawdę. Bezlitośnie uznawano ich za oszustów, szarlatanów i mistyków. Jeszcze bardziej nieliczni umieli ją wykorzystywać, a że często była dla nich zbyt potężna, wymykała się spod kontroli. Współcześni nie rozumieli ich; albo co gorsza... -

Kenobi zatoczył ramionami szeroki wszechogarniający krąg. - Moc otacza wszystkich i każdego. Niektórzy wierzą, że kieruje naszymi czynkami, nie na odwrót. Znajomość mocy i wiedza, jak nią manipulować, dawały Jedi ich specyficzną siłę.

Wzniesione ramiona opadły. Kenobi wpatrywał się w Luke'a tak intensywnie, że ten zaczął niespokojnie wiercić się na krześle. Gdy starzec odezwał się znowu, jego głos zabrzmiał tak młodo i dźwięcznie, że chłopiec mimowolnie podskoczył.

- Ty, Luke, także musisz poznać istotę mocy, jeżeli chcesz wyruszyć ze mną na Alderaan.

- Alderaan! - oszołomiony chłopiec zeskoczył z krzesła. - Nie lecę na Alderaan. Nie wiem nawet, gdzie to jest.

Skraplacze, roboty, zbiory - zdawało się, że nagle otoczyły go te wszystkie zwykłe, codzienne sprawy, a intrygujące kiedyś urządzenia i wytwory obcych cywilizacji stały się odrobinę przerażające. Rozejrzył się gwałtownie, próbując uniknąć przenikliwego wzroku Bena Kenobiego... starego Bena... zwariowanego Bena... generała Obi-wana... Usłyszał swój głos.

- Muszę wracać do domu. Robi się późno. Dobrze mi tak, jak jest. -

Przypomniawszy sobie coś, wskazał na nieruchomy korpus R2D2. - Możesz zatrzymać tego robota. Wydaje się, że on tego chce. Coś wymyślę, żeby to wytłumaczyć wujowi... mam nadzieję - dodał ponuro.

- Jesteś mi potrzebny, Luke - powiedział Kenobi tonem, w którym smutek mieszał się ze zdecydowaniem. - Jestem już za stary na takie rzeczy. Sam mogę nie dać rady doprowadzić tej sprawy do końca. Ta misja jest bardzo ważna - skinął głową w stronę R2D2. - Słyszałeś i widziałeś przekaz.

- Ale... ja nie mogę się mieszać do czegoś takiego - zaprotestował Luke. - Mam dużo roboty; jestem potrzebny przy zbiorach, nawet jeśli wuj Owen się złamie i wynajmie dodatkowych ludzi. To znaczy jednego, najwyżej. Ale nic na to nie poradzę. Nie teraz. A poza tym, to tak daleko. Cała ta sprawa to naprawdę nie mój interes.

- Mówisz zupełnie tak, jak twój wuj - zauważył nie urażony Kenobi.

- Och! Wuj... Jak ja mu to wszystko wytłumaczę? Stary człowiek uśmiechnął się skrycie, świadom, że los Luke'a jest już przesądzony. Został zdeterminowany na pięć minut przed tym, jak dowiedział się o śmierci ojca. Zapisany, nim jeszcze usłyszał pełny przekaz wiadomości. Odcisnięty w naturze rzeczy, gdy po raz pierwszy zobaczył wzruszający portret pięknej senator Organy niezbyt czysto wyświetlony przez małego robota. Kenobi w myślach wzruszył ramionami. Prawdopodobnie los Luke'a został zakreślony, zanim jeszcze chłopiec przyszedł na świat. Nie żeby Ben wierzył w przeznaczenie, ale wierzył w dziedziczność - i w moc.

- Pamiętaj, Luke, cierpienie jednego człowieka jest cierpieniem wszystkich. Odległość nie ma znaczenia, gdy mamy do czynienia z niesprawiedliwością. Zło nie zatrzymane w porę dosięga w końcu i pochłania wszystkich, niezależnie od tego, czy mu się sprzeciwili, czy ignorowali je.

- Wydaje mi się - wyznał zakłopotany Luke - że mógłbym cię zabrać do Anchorhead. Tam złapiesz jakiś transport do Mos Eisley czy gdziekolwiek chcesz się dostać.

- Doskonale - zgodził się Kenobi. - To na razie wystarczy. Potem będziesz musiał zrobić to, co uznasz za słuszne.

Luke, teraz już wyraźnie zbity z tropu, odwrócił wzrok.

- W porządku. W tej chwili nie czuję się zbyt dobrze...

W celi panował mrok śmierci. Przewidziano tu jedynie niezbędne minimum oświetlenia, zaledwie wystarczające, by dostrzec czarne metalowe ściany i sufit wysoko nad głową. Komorę zaprojektowano tak, by maksymalnie wzmocnić u więźnia poczucie bezradności - i cel ten został osiągnięty na tyle dobrze, że jedyna przebywająca tu istota zadrżała, słysząc dobiegający szum. Metalowe drzwi, które właśnie zaczęły się odsuwać, były grube jak jej tułów - jakby się bali, pomyślała z goryczą, że gołymi rękami zdoła przebić się przez coś mniej masywnego.

Wyteżając wzrok starała się zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Dostrzegła kilku strażników, ujmujących stanowiska tuż przy wejściu. Spoglądając na nich wyzywająco, Leia Organa cofnęła się pod przeciwległą ścianę celi.

Jej pewność siebie prysnęła w chwili, gdy straszna czarna postać sunąca gładko, jakby na gąsienicach, wkroczyła do pomieszczenia. Obecność Vadera skruszyła jej ducha równie pewnie, jak słoń mógłby zgnieść skorupkę jajka. Za tamtym łotrem podążał inny, podobny do podstarzałego naganiacza, i mimo niegroźnego na pozór wyglądu jedynie odrobinę mniej przerażający od Czarnego Lorda.

Darth Vader skinął ręką komuś w korytarzu. Coś brzęczącego jak wielka pszczoła zbliżyło się i wśliznęło do środka. Na widok tej ciemnej metalicznej kuli Leia poczuła, że nagle brakuje jej tchu.

Kula wisiała na własnych niezależnych repulsorach - zbiorowisko sterczących na wszystkie strony metalowych ramion zakończonych najrozmaitszymi delikatnymi instrument. Leia z trwogą obserwowała aparat. Słyszała wprawdzie plotki o takich maszynkach, lecz sama nigdy nie mogła uwierzyć, że technicy Imperium naprawdę skonstruowali taką potworność. Wbudowali w jej bezdusność każde barbarzyństwo, każdy udokumentowany gwałt, jaki znała ludzkość - a także kilka innych ras.

Vader i Tarkin czekali w milczeniu, dając jej czas na przyjrzenie się wiszącemu w powietrzu koszmarowi. Gubernator nie próbował w sobie wmawiać, że sama obecność aparatu przerazi więźnia na tyle, żeby przekazał potrzebne informacje. Nie znaczy to, zreflektował się, że oczekująca ich sesja będzie nieprzyjemna. Takie spotkania zawsze owocują wiedzą i doświadczeniem, a senator zdawała się być niezwykle interesującym obiektem. Kiedy minęła odpowiednio długa chwila, skinął na maszynę.

- A teraz, senatorze Organa, księżniczko Organa, porozmawiamy o lokalizacji głównej bazy rebeliantów.

Aparat, brzęcząc coraz głośniejszymi dźwiękami, podpływał powoli. Jego obojętna kulista sylwetka przesłoniła Vadera, gubernatora, pozostałą część celi... światło...

Zduszony krzyk przenikał ściany celi i potężne drzwi, docierając do korytarza. Prawie nie zakłócał spokoju i ciszy chodnika prowadzącego obok zamkniętego szczelnie pomieszczenia. Mimo to ustawieni obok wejścia strażnicy potrafili wymyślić powody, by odsunąć się na wystarczającą odległość, tak by dziwnie modulowane dźwięki przestały być słyszalne.

Rozdział VI

-Spójrz tam, Luke - Kenobi wskazywał na południowy wschód. Śmigasz sunął płynnie ponad powierzchnią pustyni. - To chyba dym.

Luke rozejrzał się. - Nic nie widzę, sir.

- Mimo to skręćmy w tamtą stronę. Ktoś chyba ma kłopoty.

Luke zawrócił pojazd. Po chwili sam już widział wznoszące się w niebo pasma dymu, które Kenobi w jakiś sposób zauważył wcześniej.

Pokonawszy niewysokie wzniesienie, śmigasz zjechał łagodnym zboczem w szeroką, płytką kotlinę. Jej powierzchnię zaścielały poskręcane, popalone kształty.

Niektóre z nich były nieorganiczne. Ale nie wszystkie. W samym środku tej janki, niczym wyrzucony na brzeg żelazny wieloryb, stał rozbity kadłub piaskoczołgu Jawów.

Luke zatrzymał śmigasz. Kenobi zeskoczył za nim na piasek i razem zaczęli badać rozrzucone szczątki. Uwagę chłopca zwróciło kilka niewielkich wgłębień. Podszedł bliżej i przyglądał się im przez chwilę, zanim przywołał Kenobiego.

- Wygląda na to, że dokonali tego ludzie piasku. Tu są ślady banthów... - Luke dostrzegł błysk częściowo przysypanego piaskiem metalu. - A tu jest odłamek tego ich podwójnego topora - pokręcił głową z niedowierzaniem. - Nigdy nie słyszałem, by Jeźdźcy atakowali coś tak wielkiego - obejrzał się na potężny, wypalony kadłub piaskoczołgu.

Kenobi podszedł bliżej i przyjrzał się szerokim śladom na piasku.

- I nie zrobili tego - oświadczył niedbałym tonem. - Ktoś chciał, żebyśmy my - i ktokolwiek inny, kto mógłby tu trafić - tak właśnie pomyśleli.

Luke wyprostował się. - Nie rozumiem, sir.

- Przyjrzyj się dobrze tym śladom - starszy mężczyzna wskazał na najbliższy, potem na następny trop. - Nie widzisz w nich nic dziwnego?

Luke pokręcił głową.

- Ktokolwiek je zostawił, prowadził banthy obok siebie. Ludzie piasku zawsze jeżdżą rzędem, jeden za drugim, by ukryć przed niepowołanymi swą liczbę.

Gdy Luke wpatrywał się w równoległe ciągi śladów, Kenobi zwrócił się w stronę piaskoczołgu. Wskazał ręką miejsca, gdzie ogień pojedynczej broni porozbijał wejścia, gąsienice i wsporniki.

- Zauważ, z jaką precyzją użyto siły ognia. Ludzie piasku nie są tacy dokładni. Prawdę mówiąc, nikt na Tatooine nie strzela i nie niszczy tak efektywnie - obejrząwszy się, zbadał wzrokiem horyzont. Jedno z tych widocznych w pobliżu urwisk skrywało tajemnicę... i groźbę. - Tylko żołnierze Imperium potrafią dokonać ataku na piaskoczołg z tego rodzaju chłodną precyzją. Luke podszedł do niewielkiego skurczonego ciała i nogą przewrócił je na plecy. Skrzywił się z niesmakiem, widząc, co pozostało z nieszczęsnego stworzenia.

- To ci sami Jawowie, którzy sprzedali wujowi Owenowi Artoo i Threepio. Poznają płaszcz tego tutaj. Po co żołnierze Imperium mieliby mordować Jawów i ludzi piasku? Musieli przecież zabić kilku jeźdźców, żeby zdobyć banthy.

Jego umysł pracował gorączkowo. Z nienaturalnym napięciem spoglądał ponad szybko rozkładającymi się ciałami Jawów na śmigacz.

- Ale... jeśli doszli do tego, że roboty trafiły do Jawów, to musieli również ustalić, komu zostały sprzedane. A to zaprowadzi ich do... - Luke szaleńczym pędem ruszył w stronę śmigacza.

- Luke, zaczekaj... Czeka, Luke! - krzyczał Kenobi. - To zbyt niebezpieczne. Nigdy nie...

Luke nie słyszał niczego prócz szumu w uszach, nie czuł niczego prócz płomieni w sercu. Wskoczył do pojazdu i natychmiast przerzucił akcelerator na pełny ciąg.

Wśród eksplozji żwiru i piasku śmigacz wystartował, pozostawiając Kenobiego i dwa roboty stojących samotnie między tłącymi się ciałami, na tle dymiącego ciągle wraku piaskoczołgu.

Dym, który zauważył Luke, zbliżywszy się do miejsca, gdzie stał jego dom, miał konsystencję całkowicie różną od tego, który wydobywał się z pojazdu Jawów. Chłopiec ledwie pamiętał, by wyłączyć silnik, zanim odrzucił owiewkę i zeskoczył na piasek. Ciemne kłęby w jednostajnym tempie wypływały z licznych dziur w ziemi.

Te dziury były jego domem, jedynym, jaki znał. Teraz można by je wziąć za kraterę niewielkich wulkanów. Raz za razem próbował sforsować wejście do podziemnego kompleksu i raz za razem, krztusząc się i kaszląc, musiał cofać się przed żarem.

Zrezygnował. Był osłabiony, potykał się, a oczy łzawiły mu nie tylko od dymu. Na wpół oślepiiony ruszył w stronę zewnętrznego wejścia do garażu. Tu także się paliło. Może jednak udało im się uciec drugim śmigaczem...

- Ciociu Beru! Wujku Owenie!

Trudno było cokolwiek dostrzec poprzez bijące w oczy kłęby. Dwa tłące się kształty, ledwie widoczne przez dym i łą, leżały u wejścia do tunelu. Wyglądały prawie jak...

Przyjrzał się uważniej, nerwowo trąc nieposłuszne oczy.

- Nie!

A potem biegł, padał i wciskał twarz w piasek, by nie widzieć już niczego więcej.

Trójwymiarowy pełny ekran pokrywał całą ścianę dużej sali od podłogi do sufitu. Ukazywał miliony gwiazdnych systemów. Była to zaledwie niewielka część Galaktyki, lecz pokazana w ten sposób robiła odpowiednie wrażenie. Niżej, dużo niżej, widać było potężną sylwetkę Dartha Vadera. Obok niego stał gubernator Tarkin, z drugiej strony zaś admirał Motti i generał Tagge, którzy w tej uroczystej chwili zapomnieli o osobistych animozjach.

- Zakończono ostatnią kontrolę - poinformował Motti. - Wszystkie systemy gotowe do akcji. Jaki będzie nasz pierwszy cel?

Vader, zdawało się, nie słyszał.

- Ona posiada zdumiewającą zdolność samokontroli - mruzczał na pół do siebie. - Godny uwagi jest opór, jaki stawia aparaturze przesłuchującej - spojrzął na Tarkin. - Trochę potrwa, zanim wyciągniemy z niej jakies użyteczne informacje.

- Wiesz, Vader, zawsze uważałem twoje metody za nieco osobliwe.

- Są skuteczne - odparł łagodnie Czarny Lord. - Jednak dla przyspieszenia całej procedury gotów jestem wysłuchać pańskich sugestii.

Tarkin zamyślił się.

- Taki opór często daje się przełamać poprzez użycie groźby wobec obiektu innego niż zainteresowana osoba.

- Co pan ma na myśli?

- Tylko to, że czas już zademonstrować całą potęgę tej stacji. I to tak, by przyniosło to podwójny efekt. Proszę polecić swoim programistom, by ustalili kurs na system Alderaan - polecił przysłuchującemu się uważnie Mottiemu.

Poczucie własnej godności nie przeszkodziło Kenobiemu w zakryciu ust i nosa statym szalem, który miał zatrzymać choć część obrzydliwego smrodu unoszącego się z ogniska. R2D2 i Threepio, chociaż wyposażone w aparaturę olfaktoryczną, nie potrzebowały takiej osłony. Nawet Threepio, zdolny do podziwiania pięknych aromatów, jeżeli zechciał, potrafił odbierać zapachy ze sztuczną selektywnością.

Oba roboty pomogły człowiekowi wrzucić na płonący stos ostatnie ciała, po czym stanęły nieruchomo, patrząc na palące się trupy. Pustynni grabarze równie skutecznie potrafili oczyścić z mięsa wypalony piaskoczołg, Kenobi jednak zachował zasady, które większość współczesnych uznalaby za archaiczne. Nikogo, nawet brudnych Jawów, nie chciał zostawić na pastwę ogryzaczy kości i zwirowych robaków.

Słyszac narastajacy szum, mężczyzna odwrócił się. Dostrzegł nadjeżdżający śmigacz, który - przeciwnie nie przy odjeździe - poruszał się teraz z rozsądną szybkością. Pojazd zwolnił i zawisł w miejscu, lecz wewnątrz nie było widać najmniejszego ruchu. Skinawszy na roboty, Kenobi ruszył w jego stronę. Owiewka odsunęła się, odsłaniając Luke'a siedzącego nieruchomo w fotelu pilota. Chłopiec nie podniósł głowy, gdy starzec spojrział na niego badawczo. To wystarczyło, by zrozumiał, co się stało.

- Rozpaczam wraz z tobą, Luke - powiedział cicho. - Nic nie mogłeś poradzić. Gdybyś był na miejscu, byłbyś trupem, a roboty wpadłyby w ręce Imperium. Nawet moc...

- Do diabła z twoją mocą! - warknął Luke z nieoczekiwaną gwałtownością. Podniósł głowę i spojrział na Kenobiego. Jego twarz była twarzą kogoś starszego o wiele lat. - Zabiorę cię do kosmoportu w Mos Eisley, Ben. Chcę lecieć z tobą na Alderaan. Teraz nic mi już nie zostało - odwrócił wzrok, wpatrzony w coś poza piaskiem, skałami i ścianami kanionu. - Chcę się nauczyć, jak być Jedi, jak mój ojciec. Chcę... - przerwał, jakby słowa nie mogły przecisnąć się przez gardło. Kenobi wśliznął się do kokpitu i łagodnie położył dłoń na ramieniu chłopca. Po chwili schylił się, by zrobić miejsce dwóm robotom.

- Zrobię, co w mojej mocy, byś osiągnął to, czego pragniesz, Luke. Na razie ruszajmy do Mos Eisley. Chłopiec kiwnął głową i zasunął owiewkę. Śmigacz ruszył na południowy wschód, pozostawiając w tyle tłący się jeszcze piaskoczołg, stos pogrzebowy Jawów i jedyne życie, jakie Luke kiedykolwiek znał.

Pozostawiając śmigacz zaparkowany niedaleko krawędzi urwiska, Luke i Ben zbliżyli się i spojrzeli w dół na maleńkie regularne wybrzuszenia rozrzucone po spieczonej słońcem równinie. Przypadkowa mieszanina betonowych, kamiennych i plastoidalnych konstrukcji niby szprychy koła rozbiegała się od centralnej siłowni i stacji dystrybucji wody. W rzeczywistości miasto było o wiele większe, niż mogłoby się wydawać, jako że duża jego część leżała pod ziemią. Cały pejzaż oznaczony był gładkimi, okrągłymi zagłębieniami stanowisk startowych, z tej odległości przypominającymi leje po bombach. Mocny wiatr huczał nad monotonną równiną, uderzając w nogi Luke'a drobinami piasku. Chłopiec dopasował okulary ochronne.

- To tam - mruknął Kenobi, wskazując na niczym nie wyróżniające się zbiorowisko budynków. - Kosmoport Mos Eisley, idealne miejsce, żeby się ukryć, póki nie znajdziemy kogoś, kto nas zabierze z tej planety. Nigdzie na Tatooine nie trafisz na nędzniejszą zbieraninę łajdackich i podejrzanych typów. Imperium nas szuka, Luke, musimy więc być bardzo ostrożni. Wśród mieszkańców Mos Eisley będziemy dobrze zamaskowani.

Luke był zdecydowany.

- Jestem gotów na wszystko, Obi-wan. Zastanawiam się - pomyślał Kenobi - czy on zdaje sobie sprawę, co to może oznaczać. Skinął jednak głową i ruszył z powrotem do śmigacza. Mos Eisley, w przeciwieństwie do Anchorhead, miało populację na tyle liczną, że ruch nie zamierał nawet w pełnym żarze dnia. Miasto zbudowane było od podstaw w celach komercyjnych, więc nawet najstarsze budynki były tak zaprojektowane, by zapewnić ochronę przed promieniowaniem bliźniaczych słońc. Z zewnątrz wydawały się ptymitywne i wiele było takich naprawdę, lecz często kamienne mury i haki kryły podwójne ściany z dorastali, między którymi swobodnie krążyło chłodziwo.

Luke wjeżdżał właśnie na przedmieścia, gdy kilka wysokich, lśniących postaci wyrosło jakby spod ziemi i zaczęło zacieśniać krąg wokół pojazdu. Przez krótką chwilę ogarnięty paniką rozważał możliwość ucieczki zatłoczoną ulicą. Powstrzymał go i odprężył zadziwiająco silny uścisk dłoni na ramieniu. Spojrział w bok i zobaczył uśmiechniętego spokojnie Bena.

Jechali dalej z normalną w mieście prędkością. Luke miał nadzieję, że szturmowcy zmierzają gdzie indziej, lecz zawiodł się. Jeden z żołnierzy podniósł ukrytą w pancernej rękawicy dłoń i chłopiec mógł tylko posłuchać. Zatrzymawszy pojazd, zauważył, że przechodnie spoglądają na nich z

zaciekawieniem, Co gorsza, uwagę żołnierzy, jak się zdawało, zwróciły dwa siedzące z tyłu roboty, a nie on sam czy Kenobi.

- Jak długo masz te maszyny? - warknął szturmowiec, który podniósł rękę. Było jasne, że nie ma co liczyć na formalne grzeczności.

Luke na chwilę poczuł zmieszanie.

- Jakież trzy, cztery sezony - powiedział w końcu. - Jeśli was interesują, to możemy je sprzedać. Za uczciwą cenę - wtrącił Kenobi. Niezwykle łatwo udawał pustynnego łazęcę, próbującego wyłudzić od nie znających się na rzeczy wojaków parę kredytów.

Dowódca szturmowców nie raczył odpowiedzieć. Zajęty był dokładnym badaniem spodu śmigacza.

- Przybywacie z południa? - spytał.

- Nie... nie - zapewnił nerwowo Luke. - Mieszkamy na zachodzie w pobliżu Bestine.

- Bestine? - mruknął żołnierz, okrążając pojazd, by obejrzeć go od przodu. Luke starał się patrzeć prosto przed siebie. Wreszcie opancerzona postać zakończyła inspekcję.

- Pokaż kartę identyfikacyjną.

Na pewno, pomyślał przerażony chłopiec, szturmowiec wyczuł jego zdenerwowanie i lęk. Niedawne postanowienie, że będzie gotów na wszystko, stopniało pod nieruchomym spojrzeniem tego zawodowego żołnierza. Luke wiedział, co się stanie, gdy tylko ś tamten spojrzy na jego oficjalną ID z wypisanymi na niej lokacją miejsca zamieszkania i nazwiskami najbliższych krewnych.

Coś zabrzęczało w głowie. Poczuł, że słabnie. Wychylony niedbale Kenobi odezwał się:

- Jego karta nie jest ci potrzebna - poinformował żołnierza dziwnie brzmiącym głosem.

Oficer spojrzał na starca tępo.

- Twoja karta nie jest mi potrzebna - powiedział, jakby było to zupełnie oczywiste. Reagował przeciwnie do Kenobiego: głos miał normalny, za to zachowywał się nienaturalnie.

- To nie są roboty, których szukacie - powiadomił go uprzejmie Kenobi.

- To nie są roboty, których szukamy. - On może jechać swoją drogą.

- Możesz jechać swoją drogą - zezwolił oficer zza metalowej maski.

Ulga na twarzy chłopca była równie wymowna, jak jego uprzednie zdenerwowanie, lecz szturmowiec zignorował ją.

- Ruszaj - szepnął Kenobi. - Ruszaj - polecił oficer.

Nie wiedząc, czy powinien zasałutować, skinać głową, czy podziękować, Luke ograniczył się do wciśnięcia akceleratora. Śmigacz ruszył do przodu, pozostawiając za sobą krąg żołnierzy. Kiedy już skręcali za róg, chłopiec zaryzykował szybkie spojrzenie do tyłu. Oficer zdawał się sprzeczać ze swymi kolegami, choć z tej odległości trudno było mieć pewność.

Luke zerknął na swego towarzysza i zaczął coś mówić, lecz Kenobi tylko wolno pokręcił głową i uśmiechnął się. Chłopiec powściągnął swoją ciekawość i skupił się na prowadzeniu śmigacza po wąskich uliczkach.

Jak się zdawało, Kenobi wiedział, dokąd się kierują. Luke przyglądał się zniszczonym budynkom i równie jak one nieprzyjemnym indywiduom mijanym po drodze. Wjechali w najstarszą część Mos Eisley, a więc tam, gdzie najbujniej plenił się występek.

Na polecenie Bena Luke zatrzymał śmigacz przed czymś, co wyglądało na jeden z pierwszych budynków kosmoportu. Zamieniono go na kantinę, o której klientach wiele mówiły zaparkowane przed wejściem najrozmaitsze środki transportu. Luke rozpoznał niektóre z nich, o innych słyszał tylko. Sam lokal, jak zorientował się z konstrukcji budowli, musiał znajdować się częściowo pod ziemią.

Kiedy tylko zakurzony, lecz wciąż jeszcze Lśniący pojazd zatrzymał się w wolnym miejscu, jakby spod ziemi zmaterializował się Jawa i zaczął obmacywać rękami metalowe burty. Luke wychylił się i warknął ostro coś, co sprawiło, że antropoid odszedł pospiesznie.

- Nie znoszę tych Jawów - mruknął z głęboką pogardą Threepio. - Odrażające stworzenia.

Luke miał umysł zbyt zaprzątnięty ich nieprawdopodobnym wywinieniem się szturmowcom, by komentować odczucia robota.

- Wciąż nie rozumiem, jak oni mogli nas przepuścić - powiedział. - Myślałem, że już po nas.

- Moc tkwi w umyśle, Luke, i czasem można jej użyć, by wpłynąć na innych. To potężny sprzymierzeniec. Ale kiedy już ją poznasz, przekonasz się, że może być także niebezpieczna.

Luke nie zrozumiał dokładnie, o co chodziło starcowi, lecz kiwnął głową. Skinął ręką w stronę wejścia do niezbyt eleganckiej wprawdzie za to najwyraźniej popularnej kantyny.

- Czy naprawdę pan sądzi, że znajdziemy tu pilota, który mógłby nas zabrać na Alderaan?

Kenobi wysiadł ze śmigacza.

- Większość dobrych, niezależnych pilotów odwiedza to miejsce, choć wielu stać na lepsze lokale. Tutaj mogą rozmawiać swobodnie. Powinieneś już wiedzieć, że nie zawsze wygląd odpowiada wartości.

Luke spojrzął na wystrzępiony ubiór Kenobiego i zawstydził się.

- Uważaj na siebie - dodał starzec. - Może tu być gorąco.

Wszedłszy do środka, Luke stwierdził, że mało co widzi. Wewnątrz było ciemniej, niż by mu to odpowiadało. Być może stali bywalcy nie byli przyzwyczajeni do światła dnia, a może nie chcieli, by widziano ich zbyt wyraźnie. Chłopcu nie przyszło do głowy, że mroczne wnętrza w połączeniu z jaskrawo oświetlonym wejściem pozwalało gościom obejrzeć nowo przybyłego, zanim on mógł ich zobaczyć.

Idąc dalej, zdumiewał się różnorodnością stojących przy barze istot. Były tu stworzenia jednookie i o tysiącu oczu, stworzenia pokryte łuską, porośnięte futrem i takie, których skóra zdawała się marszczyć i zmieniać konsystencję zależnie od aktualnego nastroju. Nad samym barem górował olbrzymi insektoid.

Luke zdołał dostrzec jedynie groźną sylwetkę. Jego przeciwieństwem były dwie kobiety, chyba najwyższe, jakie kiedykolwiek widział. Były to najnormalniej wyglądające istoty w tym odrażającym zbiorowisku ludzi przemieszanych luźno z obcymi. Macki, szpony i ręce zaciskały się na naczyniach najrozmaitszych kształtów i rozmiarów, słychać było jednostajny szum głosów mówiących ludzkimi i obcymi językami.

Pochyliwszy się w jego stronę, Kenobi wskazał przeciwległy koniec baru. Zebrała się tam grupa niezbyt przyjemnie wyglądających ludzi. Pili, śmiali się i opowiadali sobie historie o wątpliwym prawdopodobieństwie.

- Korelianie. Zapewne piraci.

- Myślałem, że szukamy niezależnego kapitana frachtowca z własnym statkiem do wynajęcia.

- Tak jest, chłopcze, tak właśnie jest. Tyle, że w terminologii Korelian ustalenie, kto jest właścicielem którego ładunku, jest czasem niezbyt precyzyjne. Zaczekaj tutaj.

Chłopiec kiwnął głową i przyglądał się, jak Kenobi przeciska się przez tłum przy barze. Podejrzliwość Korelian rozbudzona jego przybyciem znikła, gdy tylko zaczął rozmowę.

Coś chwyciło Luke'a za ramię i odwróciło. - Hej!

Z trudem utrzymując równowagę stwierdził, że stoi naprzeciw wielkiego mężczyzny o odrażającym wyglądem. Po stroju poznał, że jest to barman, jeśli nie sam właściciel kantyny.

- Nie obsługujemy tu takich - warknęła groźna figura.

- Co? - spytał niezbyt inteligentnie Luke, który jeszcze nie otrząsnął się z wrażenia, jakie wywarło na nim zanurzenie się w tę mieszaninę kilkudziesięciu ras. Ten lokal daleko odbiegał od sali bilardowej na tyłach siłowni w Anchorhead.

- Twoje roboty - wyjaśnił niecierpliwie barman, wskazując grubym kciukiem kierunek. - Luke spojrzął i zobaczył Artoo i Threepio stojące spokojnie w pobliżu. - Muszą poczekać na zewnątrz. Nie obsługujemy tu androidów. Mam drinki tylko dla organicznych, a nie dla... mechanicznych - zakończył z niesmakiem.

Luke'owi niezbyt podobał się pomysł wyrzucenia za drzwi Threepio i Artoo, nie miał jednak pojęcia, w jaki inny sposób mógłby rozwiązać ten problem. Barman nie wyglądał na człowieka skłonnego wysłuchać rozsądnej argumentacji. Ben pogrążony był w rozmowne z kótymś z Korelian. Tymczasem spór zwrócił uwagę kilku szczególnie odrażających typów, którzy przypadkiem znaleźli się w zasięgu głosu.

Wszyscy oni spoglądali na chłopca i dwa roboty w sposób zdecydowanie mało przyjemny.

- Tak, oczywiście - powiedział w końcu Luke, rozumiejąc, że nie jest to odpowiednia chwila na podnoszenie sprawy praw robotów. - Przepraszam. Obejrzał się na Threepio.

- Lepiej będzie, jeśli poczekacie na zewnątrz, koło śmigacza. Wolę nie wywoływać tu awantur.

- Z całego serca się z panem zgadzam - oświadczył Threepio, patrząc w stronę nieprzyjaznych bywalców baru. - I tak nie odczuwam chwilowo potrzeby smarowania.

Po czym, z Artoo przy boku, ruszył w stronę wyjścia. To zamknęło kwestię, przynajmniej jeśli chodzi o barmana. Luke stwierdził jednak, że stał się obiektem niepożądanego zainteresowania. Nagle zdał sobie sprawę ze swej izolacji; poczuł, że wszystkie oczy przyglądają mu się, że istoty ludzkie i nie tylko one nabijają się z niego i wygłaszają za jego plecami nieprzychylnie komentarze. Starając się zachować przynajmniej pozory spokoju i pewności siebie, Luke spojrzał w stronę starego Bena i drgnął, zobaczywszy, z kim właśnie rozmawia.

Korelianin odszedł, a jego miejsce zajął olbrzymi antropoid ukazujący w uśmiechu masę białych zębów.

Luke słyszał o Wookich, nie sądził jednak, że kiedykolwiek zdoła zobaczyć któregoś z nich. A tym bardziej, że się z nim spotka. Pomimo komicznej, niemal małpiej twarzy, osobnikowi temu trudno byłoby przypisać łagodny wygląd. Jedynie żółte oczy, duże i błyszczące, łagodziły nieco przerażający wizerunek. Potężny tors całkowicie porastało miękkie, gęste brunatne futro. Strojem, robiącym zdecydowanie mniej przyjemne wrażenie, były dwa bandolierki zawierające śmiertelne pociski nie znanego Luke'owi typu. Poza tym Wookie nie miał na sobie prawie nic. Luke domyślił się, że mało kto pozwala sobie na drwiny ze sposobu ubierania się tego stworzenia. Zauważył, jak goście kantyny poruszają się i okrążają potężną postać, nigdy nie podchodząc zbyt blisko. Wszyscy, oprócz Bena - Bena, który rozmawiał z Wookieem w jego własnym języku, klócił się i pohukiwał cicho, jakby sam należał do jego rasy.

W trakcie rozmowy starzec wskazał ręką na Luke'a. Olbrzymia istota rzuciła chłopcu krótkie spojrzenie i wybuchnęła przerażającym, głośnym śmiechem. Niezadowolony z roli, jaką najwyraźniej przyszło mu odgrywać w dyskusji, Luke odwrócił się, udając, że cała sprawa go nie dotyczy. Być może krzywdził tego stwora, wątpił jednak, by ten budzący dreszcze rehot miał wyrażać szczerą życzliwość. Nie mógł zrozumieć, czego Ben może chcieć od tego monstrum i czemu marnuje czas na gardłowe konwersacje z nim właśnie, zamiast z nieobecny chwilowo Korelianinem. Usiadł więc i w dumny milczeniu sączył swój napój. Obserwował tłum z nadzieją, że ktoś odpowie mu spojrzeniem nie wyrażającym wrogości.

Coś pchnęło go nagle z tyłu tak, że nieomal upadł. Odwrócił się poirytowany, lecz gniew rozwiął się, zastąpiony zdumieniem. Stało przed nim wielkie, krępe okropieństwo o nieokreślonym pochodzeniu i mnóstwie oczu.

- Negola dewagi wooldugger? - wybełkotało wyzywająco.

Luke nigdy nie widział niczego podobnego, nie znał ani tego gatunku, ani języka. Ten bełkot mógł być wyzwaniem do walki, zaproszeniem na drinka albo oświadczeniami. Pomimo swej nieświadomości domyślał się, ze sposobu, w jaki stwór chwiał się i kołysał na dolnych odnóżach, że wchłonął zbyt wiele tego, co było dla niego napojem wysokowym. Nie wiedząc, co zrobić, spróbował uprzejmie zignorować intruza i wrócić do swego drinka. Wtedy jednak jakiś potwór - skrzyżowanie kapibary z małym pawianem - przyskoczył i stanął czy kucnął obok nietrzeźwego wielooka. Zbliżył się także niski, niechlujny mężczyzna, który przyjaźnie otoczył ramieniem posapującą masę.

- On cię nie lubi - poinformował Luke'a zadziwiająco głębokim głosem.
- Przykro mi - odparł chłopiec, serdecznie pragnąc znaleźć się w jakimś innym miejscu. - ja też cię nie lubię - kontynuował z rozbijającą szczerością krępy mężczyzna.
- Powiedziałem, że mi przykro.

Czy to w rezultacie prowadzonej ze szczeropodobnym stworem rozmowy, czy też przedawkowania trunków, stos niesfornych gałek ocznych stawał się coraz bardziej nerwowy. Pochylił się do przodu, przewracając się niemal i rzygnął potokiem nieartykułowanego bełkotu. Luke czuł na sobie spojrzenia tłumu.

- Przykro... - mężczyzna skrzywił się drwiąco. Najwyraźniej także za dużo wypił.
- Chcesz nas obrazić? Lepiej uważaj na siebie. Wszyscy - wskazał na swych pijanych towarzyszy - jesteśmy poszukiwani. Ja sam mam wyroki śmierci w dwunastu różnych systemach.
- Będę ostrożny - mruknął Luke. Człowieczek uśmiechnął się szeroko. - Będziesz martwy.

W tym momencie szczer chrząknął głośno. Był to zapewne rodzaj sygnału ostrzegawczego, gdyż ludzie i obcy, którzy opierali się o bar, odstepili. Wokół Luke'a i jego przeciwników powstała wolna przestrzeń.

Próbując ratować sytuację, chłopiec uśmiechnął się blado. Szybko jednak spowaźniał, widząc, że cała trójka szykuje broń ręczną. Nie tylko nie mógł walczyć z nimi wszystkimi, ale nie miał też pojęcia, jak działa ów zestaw groźnie wyglądających aparatów.

- Ten mały nie jest wart zachodu - odezwał się spokojny głos. - Luke obejrzał się zdumiony. Nie słyszał, jak Kenobi się zbliża. - Chodźcie, postawię wam...

W odpowiedzi potężny stwór zarechotał ohydnie i machnął ciężką łapą, trafiając nie spodziewającego się ciosu chłopca w skroń. Luke poleciał przez salę, wywracając stoły i rozbijając wielki dzban z jakąś cuchnącą cieczą. Goście rozstąpili się szerzej. Z tłumu dobiegło kilka warknięć i ostrzegawczych pomruków, gdy pijane okropieństwo wyjęło z pochwy nieprzyjemnie wyglądający pistolet i zaczęło potrząsać nim groźnie. To pchnęło do akcji neutralnego dotąd barmana. Wymachując rękami wybiegł zza lady, uważając jednak, by trzymać się w bezpiecznej odległości.

- Bez blasterów! Żadnych blasterów! Nie w moim lokalu!

Szczerowaty stwór zatrajkotał groźnie, a trzymający broń wielooki tylko warknął ostrzegawczo.

W ułamku sekundy, gdy miotacz i uwaga jego właściciela zwrócone były w inną stronę, Kenobi sięgnął do wiszącego mu u pasa dysku. W półmroku kantyny błysnęło jaskrawe, błękitnobiałe światło. Krępy mężczyzna zaczął coś krzyczeć. Nigdy nie skończył tego krzyku. Świetlny promień zamigotał, a kiedy znieruchomiał, mężczyzna leżał plackiem na ladzie, jęczał i kwiczał, wpatrzony w kikut swego ramienia.

W czasie pomiędzy początkiem krzyku a znieruchomieniem promienia, szczerowaty stwór został rozcięty przez środek. Jego dwie połowy padały teraz w przeciwne strony. Gigantyczna wielooka istota wpatrywała się w starego człowieka, który stał przed nią nieruchomo z mieczem świetlnym trzymany nad głową w niezwykle sposób. Chromowany pistolet potwora wystrzelił, wypalając dziurę w drzwiach. A potem tors stwora rozpadł się rozcięty na dwie części, które osobno upadły na zimne kamienie podłogi. Dopiero wtedy z piersi Kenobiego wydobyło się coś w rodzaju westchnienia ulgi.

Rozluźnił mięśnie i opuścił świetlny miecz, by jeszcze raz unieść go w górę w geście salut. Potem przypiął do pasa zdezaktywowaną broń. Ten ruch skruszył panującą na sali absolutną ciszę. Znowu rozległ się gwar rozmów, znowu zaszurały po blatach kufle, puchary i inne przyrządy do picia. Pojawił się barman z kilkoma pomocnikami, którzy wywlekli gdzieś nieprzyjemnie wyglądające zwłoki. Okaleczony mężczyzna, niewątpliwie uważający się za szczęściarza, znikł w tłumie, podtrzymując lewą ręką kikut prawej. Kantyna powróciła do poprzedniego stanu. Z jednym wyjątkiem: Ben Kenobi miał więcej od innych miejsca przy barze.

Podjęte na nowo rozmowy ledwie docierały do świadomości Luke'a. Chłopiec był wstrząśnięty szybkością starcia i niesamowitymi umiejętnościami swego towarzysza. Gdy uspokoił się nieco i

ruszył z miejsca, by dołączyć do Kenobiego, słyszał urywki prowadzonych dyskusji - klienci lokalu z podziwem omawiali czystość i efektywność walki.

- Jesteś ranny, Luke - zauważył z troską Kenobi.

Chłopiec wyczuł zadrapanie w miejscu, gdzie trafił go cios wielookiego stwora.

- Ja... - zaczął, lecz Ben przerwał mu i jak gdyby nic nie zaszło wskazał ręką kosmatą masę przepychającą się do nich przez tłum gości.

- To jest Chewbacca - powiedział, gdy antropoid stanął obok nich przy barze. - Pierwszy oficer na statku, który być może będzie odpowiadał naszym potrzebom. Zaprowadzi nas teraz do kapitana i właściciela.

- Tędy - burknął Wookie. Luke'owi w każdym razie wydawało się, że tak właśnie to zabrzmiało. Zresztą wykonany przez olbrzyma gest "chodźcie za mną" był wystarczająco zrozumiały. Ruszyli w głąb kantyny. Chewbacca rozcinał tłum w sposób, w jaki burza piaskowa rozcina płytkie jary.

Na zewnątrz Threepio spacerował nerwowo wokół śmigacza. Na pozór obojętny R2D2 wdał się w ożywioną elektroniczną konwersację z jasnoczerwoną jednostką R2, należącą do któregoś z bywalców lokalu.

- Czemu ich tak długo nie ma? Mieli przecież wynająć jeden statek, nie całą flotę. Threepio zatrzymał się nagle i dyskretnie kiwnął na swego towarzysza, żeby się uspokoił. Na ulicy zjawili się dwaj szturmowcy Imperium. Równocześnie z głębi kantyny wynurzył się jakiś rozczochrany człowiek i podszedł do nich pospiesznie.

- Nie podoba mi się to - mruknął do siebie robot.

Kiedy przesuwali się na tyły kantyny, Luke porwał z tacy przechodzącego kelnera czyjś drinka i wypił go z uczuciem, że oto znalazł się pod ochroną sił wyższych. Nie był może aż tak bezpieczny, miał jednak pewność, że w towarzystwie Kenobiego i ogromnego Wookie nikt w lokalu nie ośmieli się urazić go nawet niechętnym spojrzeniem.

Przy jednym z dalszych stolików siedział młody człowiek o ostrych rysach, starszy od Luke'a, może dziesięć lat. Zachowywał się z otwartością kogoś absolutnie pewnego siebie, lub też szalenie lekkomyślnego. Kiedy ich zauważył, odesłał siedzącą mu na kolanach humanoidalną dziwkę, szepnąwszy coś, co wywołało na jej twarzy szeroki, choć odrobinę nieludzki uśmiech.

Wookie Chewbacca warknął, a mężczyzna skinął głową i spojrzał uprzejmie na nowo przybyłych.

- Jesteś całkiem niezły z mieczem, staruszk. W tych okolicach Imperium nieczęsto można spotkać taką szermierkę - łyknął solidną porcję tego, co wypełniało jego naczynie. - Jestem Han Solo, dowódca "Sokoła Millenium" - powiedział rzeczowym tonem. - Chewie twierdzi, że szukacie przewoźnika do systemu Alderaan.

- Zgadza się, synu. O ile statek jest szybki - odparł Kenobi. Solo nie zareagował na owo "synu".

- Szybki? Chcesz powiedzieć, że nie słyszałeś o "Sokole Millenium"?

- A powinienem? - Ben wydawał się rozbawiony. - To statek, który zrobił trasę na Kessel poniżej dwunastu jednostek standardowych! - oburzył się Solo. - Jest szybszy niż okręty Imperium i krążowniki Korelian! Sądzę, staruszk, że jest wystarczająco szybki na twoje potrzeby. - Jego gniew rozviał się szybko. - Jaki ładunek? - spytał rzeczowym tonem.

- Tylko pasażerowie. ja, chłopiec i dwa roboty. I żadnych pytań.

- Żadnych pytań... - Solo wpatrywał się w swój kubek. Wreszcie podniósł głowę. - Czy to jakieś lokalne problemy?

- Powiedzmy, że wolelibyśmy uniknąć kontaktów z Imperium - odparł niedbale Kenobi.

- W tych czasach jest to nieco kłopotliwe. I będzie was trochę więcej kosztować... - obliczył coś w pamięci. - Wszystko razem jakieś dziesięć tysięcy. Z góry. I żadnych pytań - dodał z uśmiechem. Luke patrzył na niego oszołomiony.

- Dziesięć tysięcy! To prawie tyle, że moglibyśmy kupić sobie własny statek!

Solo wzruszył ramionami.

- Może byście mogli, a może i nie. A czy potrafiłbyś nim polecieć?

- Możemy się założyć - Luke zerwał się z krzesła. - Nie jestem takim złym pilotem. I nie...

Znów poczuł uścisk na ramieniu.

- Nie mamy tyle przy sobie - wyjaśnił Kenobi. - Ale możemy zapłacić dwa tysiące teraz i następne piętnaście po przybyciu na Alderaan.

- Piętnaście... - Solo pochylił się niepewnie. - Naprawdę stać was na taką forszę?

- Obiecuję... w imieniu rządu Alderaan. W najgorszym razie dostaniesz dwa tysiące, to uczciwa zapłata.

Solo zdawał się nie słyszeć ostatniego zdania.

- Siedemnaście tysięcy... Dobrze, zaryzykuję. Znaleźliście statek. A co do unikania kontaktów z Imperium, to lepiej zmyjcie się stąd, bo nawet "Sokół Millenium" wam nie pomoże. - Skinął głową w stronę wyjścia i dodał szybko: - Platforma startowa pięćdziesiąt dwa, jutro o świcie.

Czterej szturmowcy wkroczyli do kantyny, obserwując uważnie stoliki i bar. W tłumie rozległy się niechętnie pomruki, lecz gdziekolwiek padło spojrzenie któregoś z uzbrojonych po zęby żołnierzy, głosy cichły z niezwykłą szybkością. Dowódca małego oddziału podszedł do lady i zadał barmanowi kilka pytań. Potężny mężczyzna wahał się przez chwilę, po czym ruchem głowy wskazał miejsce w głębi sali. W chwilę potem jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia: stolik był pusty.

Luke i Ben mocowali R2D2 w tylnej części śmigacza, Threepio zaś rozglądał się, czy nie nadchodzą szturmowcy.

- Jeżeli statek jest rzeczywiście tak szybki, jak przechwala się Solo, to może się nam udać - cieszył się starzec.

- Ale dwa tysiące... i jeszcze piętnaście na Alderaan!

- To nie te piętnaście tysięcy mnie martwi, ale te dwa - powiedział Kenobi. - Obawiam się, że będziesz musiał sprzedać śmigacz.

Luke spojrział na pojazd, lecz emocje, które ten kiedyś w nim budził, zniknęły... wraz z innymi rzeczami, o których lepiej nie pamiętać.

- W porządku - zapewnił obojętnie. - Nie sądzę, żebym go jeszcze potrzebował.

Siedząc przy jednym z dalszych stolików, Solo i Chewbacca przyglądali się krocącym przez salę szturmowcom. Dwóch z nich obrzuciło Korelian podejrzliwym spojrzeniem. Wookiee warknął krótko i żołnierze jakby przyspieszyli kroku.

Solo uśmiechnął się ironicznie.

- Chewie - powiedział. - Ten czarter może ocalić nasze karki. Siedemnaście tysięcy! - z niedowierzaniem pokręcił głową. - Ci dwaj naprawdę muszą być w rozpaczliwej sytuacji. Zastanawiam się, dlaczego są poszukiwani. Ale obiecałem: żadnych pytań. Płacą za to. Chodźmy już. "Sokół" sam nie załatwi formalności startowych.

- Wybierasz się gdzieś, Solo?

Korelianin nie potrafił rozpoznać głosu dobiegającego z elektronicznego tłumacza. Nie miał jednak żadnych problemów z identyfikacją mówiącego i pistoletu, który tamten przyciskał mu do boku.

Dwunożne stworzenie było mniej więcej wielkości człowieka, lecz jego głowa pochodziła z koszmarnego snu spowodowanego niestrawnością. Duże, mętne, fasetowe oczy sterczały z twarzy barwy zielonego groszku. Czaszkę wieńczył grzebień krótkich kolców, a usta i nos mieściły się w ryjku, jak u tapira.

- Prawdę mówiąc - odpowiedział wolno Solo - szedłem właśnie do twojego szefa.

Możesz powiedzieć Jabbie, że mam już tę forszę, którą byłem mu winien.

- To samo mówiłeś wczoraj... i w zeszłym tygodniu... i jeszcze tydzień wcześniej. Za późno, Solo. Nie mam zamiaru wracać do Jabby z jeszcze jedną bajeczką.

- Ale ja naprawdę mam te pieniądze - zaprotestował Korelianin.
 - Świetnie. Jeśli pozwolisz, zabiorę je od razu. Solo usiadł powoli - podwładni Jabby byli dziedzicznie obciążeni nerwowością palców na spustach. Obcy zajął miejsce naprzeciw, cały czas mierząc w pierś pilota z nieprzyjemnie wyglądającego małego pistoletu.
 - Nie mam przy sobie. Powiedz Jabbie...
 - Chyba już na to za późno. Jabba weźmie raczej twój statek.
 - Po moim trupie - oświadczył nieprzyjaźnie Solo. Na obcym nie zrobiło to wrażenia.
 - jeśli nalegasz... Wyjdiesz ze mną, czy mam kończyć tutaj?
 - Jeszcze jeden trup w tym lokalu pewnie nie będzie mile widziany - zauważył Solo.
- Z translatora dobiegł dźwięk, który mógł być śmiechem.
- Nawet nie zauważaj. Wstawaj, Solo, długo czekałem na tę chwilę. To już po raz ostatni narobiłeś mi kłopotów u Jabby swoimi obietnicami.
 - Chyba masz rację.

Błysnęło, rozległ się huk, a gdy zapadł spokój, z nieprzyjemnego stworzenia pozostała tylko tłusta, dymiąca plama na kamiennej posadzce.

Solo wyjął spod stołu dymiący miotacz. Goście lokalu patrzyli na niego zdziwieni, a ci bardziej znający się na rzeczy cmokali z podziwem. Wiedzieli, że istota popełniła fatalny błąd, pozwalając Korelianinowi schować ręce.

- Trzeba czegoś więcej niż takiego typu, żeby mnie wykończyć. Jabba Hut zawsze żałuje forsy, kiedy przychodzi do wynajmowania odpowiednich ludzi.

Wychodząc z Chewbaccą, pilot rzucił barmanowi garść monet. - Przepraszam za ten bałagan. Kiepski ze mnie klient.

Uzbrojeni po zęby żołnierze kroczyli wąską alejką, obrzucając badawczymi spojrzeniami małe, byle jak postawione stragany, gdzie ciemno odziane istoty handlowały artykułami egzotycznego pochodzenia. Tu, w wewnętrznych regionach Mos Eisley, mury były wysokie i stały blisko siebie, zmieniając uliczki w tunele.

Nikt nie rzucał szturmowcom gniewnych spojrzeń, nikt nie wykrzykiwał przekleństw ani nie burczał pod nosem. Ci, okryci pancerzami ludzie, chodzący z demonstracyjnie uaktywnioną bronią, byli uosobieniem władzy Imperium. Wszyscy wokół, ludzie, Nieludzie i roboty, kryli się w zaśmieconych bramach, gdzie wśród stosów odpadków i brudu wymieniali informacje i finalizowali transakcje o wątpliwej legalności.

Gorący wiatr zajączał między murami i szturmowcy zwarli szyk. Porządek i precyzja ich ruchów maskowały lęk przed tak ciasnymi zaułkami. Jeden z żołnierzy zatrzymał się i sprawdził drzwi jedynie po to, by stwierdzić, że są zamknięte i zaryglowane. Brudny człowiek włóczący się niedaleko wyrzucił z siebie bezsensowną lawinę słów. Żołnierz zmierzył szaleńca groźnym wzrokiem i pobiegł alejką, by dołączyć do swych towarzyszy.

Gdy tylko szturmowcy zniknęli za zakrętem, drzwi uchyliły się nieco, a ze szczeliny wyjrzała metalowa twarz Threepio. Beczułkowaty Artoo przepchał się tuż za nim, by także coś zobaczyć.

- Wolałbym raczej iść z panem Luke, niż zostać tu z tobą. Ale rozkaz to rozkaz. Niezupełnie rozumiem, skąd te wszystkie kłopoty, chociaż jestem pewien, że to twoja wina.

Artoo odpowiedział czymś, co było prawie niemożliwe: drwiącym gwizdnięciem.

- I uważaj, jak się do mnie zwracasz - ostrzegł go wyższy robot.

Ze stojących na parkingu środków transportu na palcach jednej ręki można było policzyć te, które mogły się jeszcze poruszać. Luke i Ben, targujący się z wysokim insektoidalnym właścicielem, nie przejmowali się tym. Nie przyszli tu kupować, lecz sprzedawać.

Żaden z przechodniów nie zaszczycił ich nawet przelotnym spojrzeniem. Podobne transakcje, nie obchodzące nikogo prócz bezpośrednio zainteresowanych, zdarzały się w Mos Eisley pięćset razy dziennie.

W końcu wymieniono już wszystkie dostępne prośby i groźby. Właściciel parkingu zakończył sprawę, wręczając Luke'owi kilka niewielkich, metalowych płytek. Zrobił to z takim bólem, jakby były to fiołki z jego własną krwią. Potem obaj pożegnali się uprzejmie i rozeszli, każdy przekonany, że zrobił dobry interes.

- Powiedział, że nie może dać więcej. Odkąd pokazały się XP-38 nie ma popytu na takie jak mój - westchnął Luke.

- Nie przejmuj się - pocieszył go Kenobi. - Wystarczy nam to, co dostałeś. Mam dosyć, żeby pokryć różnicę.

Skrecając z głównej ulicy w wąską alejkę, przeszli obok niedużego robota, poganiającego grupę stworzeń podobnych do wymęczonych mrówkojadów. Luke obejrzał się jeszcze, by pożegnać wzrokiem swój śmigacz - ostatnie ogniwo łączące go z dawnym życiem. Potem nie miał już czasu na spoglądanie wstecz.

Coś niskiego i ciemnego, co pod luźnym okryciem mogło być istotą ludzką, wyszło z cienia, gdy tylko oddalili się od zakrętu. To coś spoglądało za nimi, póki nie zniknęli za łukiem ulicy.

Wejście ze stanowiska startowego do niewielkiego statku w kształcie spodka było całkowicie zablokowane przez pół tuzina ludzi i obcych, z których ci pierwsi byli chyba bardziej groteskowi. Wielki ruchomy zwał mięśni i łoju, zwieńczony poznaczoną bliznami głową, z satysfakcją obserwował półokrąg uzbrojonych morderców. Przesunawszy się w stronę wjazdu, osobnik ten krzyknął głośno:

- Wyłaż, Solo! Jesteś otoczony!

- jeżeli tak, to powinniście się odwrócić - brzmiała spokojna odpowiedź.

Jabba Hut podskoczył, co samo w sobie było interesującym widokiem. Jego podwładni także odwrócili się. Z tyłu, za nimi, stali Chewbacca i Solo.

- jak widzisz, czekałem na ciebie, Jabba.

- Spodziewałem się tego - przyznał Hut, równocześnie zadowolony i zaniepokojony, że przynajmniej na pierwszy rzut oka, ani Solo, ani wielki Wookie nie mieli broni.

- Nie jestem z tych, co uciekają - oświadczył Korelianin.

- Uciekają? A przed czym? - zdziwił się Jabba. Wciąż nie mógł wypatrzyć żadnej broni i ten fakt martwił go bardziej, niż chciałby to przyznać. Coś tu było nie w porządku i lepiej będzie nie działać zbyt pośpiesznie, póki nie wykryje, co jest nie tak.

- Han, mój chłopcze, czasami rozczarowujesz mnie. Chciałem się tylko dowiedzieć, dlaczego mi nie zapłaciłeś... co powinieneś zrobić już dawno. I dlaczego tak przysmażyłeś biednego Greedo? W końcu niejedno razem przeszliśmy.

Solo uśmiechnął się drwiąco.

- Zostaw to, Jabba. W twoim cielsku nie ma nawet tyle uczucia, żeby ogrzało bakterię-sierotkę. A co do Greedo, to posłałeś go, żeby mnie zabił.

- No wiesz, Han! - zaprotestował Jabba. - Dlaczego miałbym to robić? Jesteś najlepszym przemytnikiem na rynku. Jesteś zbyt cenny, żeby cię likwidować.

Greedo miał tylko poinformować cię o moim zrozumiałym zaniepokojeniu zwłoką. Nie przyszedł cię zabijać.

- W każdym razie wydawało mu się inaczej. Następnym razem nie przysyłaj mi tych wynajętych tumanów. Jeśli masz do mnie sprawę, to pofatyguj się osobiście.

Jabba pokręcił głową.

- Han, Han... gdybyś nie wyrzucił tego ładunku przypraw... Sam rozumiesz... nie mogę robić wyjątków. Gdzie bym się znalazł, gdyby każdy pilot, który dla mnie pracuje, wywalał towar w próżnię na sam widok okrętu Imperium? A potem, kiedy żądam zwrotu kosztów, pokazywał puste kieszenie? To nie jest dobry interes. Potrafię być wielkoduszny i wybaczać, ale nie wtedy, kiedy prowadzi to do bankructwa.

- Wiesz dobrze, Jabba, że nawet ja mogę czasem wpaść. Myślisz, że wywaliłem te przyprawy, bo miałem dość ich zapachu? Tak samo chciałem je dostarczyć, jak ty chciałeś je odebrać. Nie miałem

wyboru - znów uśmiechnął się ironicznie. - Jak sam zauważyłeś, jestem zbyt cenny, żeby mnie likwidować. Ale teraz mam robotę i będę mógł oddać ci wszystko, nawet z pewną nadwyżką. Potrzeba mi tylko trochę czasu. Mogę dać ci teraz tysiąc zaliczki i resztę za trzy tygodnie.

Wielkie cielsko zdawało się zastanawiać, po czym zwróciło się nie do Korelianina, lecz do swych podwładnych.

- Schowajcie miotacze.

Obstawa wykonała polecenie, a Hut z drapieżnym uśmiechem spojrzął na pilota.

- Han, chłopcze, robię to tylko dlatego, że jesteś najlepszy i kiedyś znowu będę cię potrzebował. A więc, powodowany wielkoduszością i skłonnością do przebaczenia, a także za pewien dodatek, powiedzmy dwadzieścia procent, dam ci jeszcze trochę czasu. Ale to już ostatni raz - w głosie Jabby zabrzmiał powściągany gniew. - jeżeli znów mnie zawiedziesz, jeśli z szyderczym uśmiechem podepczesz moją szlachetność, wyznaczę za twoją głowę cenę tak wielką, że przez resztę życia nie będziesz mógł się nawet zbliżyć do żadnego zamieszkanego układu. Twoje nazwisko i twarz wszędzie będą znali ludzie, którzy z radością wyprują ci flaki za jedną dziesiątą tego, co im obiecuję.

- Cieszę się, że mój los nam obu leży na sercu - odparł uprzejmie Solo i wraz z Chewbacą przeszli przez szereg najemnych morderców Huta. - Nie martw się, Jabba. Zapłacę ci. I to nie dlatego, że m: grozisz. Zapłacę ci, bo... mam taki kaprys.

- Przeszukujemy centralny kosmoport - mówił komandor, który, chcąc dotrzymać kroku Vaderowi, musiał co chwilę podbiegać kilka metrów. Czarny Lord w towarzystwie kilku adiutantów szedł zamyślony jednym z głównych korytarzy stacji bojowej.

- Właśnie zaczęły spływać raporty - mówił dalej komandor. - Odszukanie tych robotów jest tylko kwestią czasu.

- Jeżeli trzeba, to pošlijcie tam więcej ludzi. Nie przejmujcie się protestami gubernatora planety. Muszę mieć te roboty. To nadzieja, że zakodowane w nich dane zostaną użyte przeciwko nam, jest filarem oporu, jaki Organa stawia psychoprobnikom.

- Rozumiem, lordzie Vader. A póki co, musimy marnować czas na ten głupi plan, którym gubernator Tarkin ma nadzieję doprowadzić ją do załamania.

- Stanowisko startowe pięćdziesiąt dwa. To tam - powiedział Luke w stronę Kenobiego i robotów, które zdążyły do nich dołączyć. - O, jest Chewbacca. Wygląda na zdenerwowanego.

W istocie, Wielki Wookie wymachiwał rękami ponad głowami przechodniów i krzyczał coś głośno w ich stronę. Przyspieszyli kroku. Nikt z całej czwórki nie zauważył niskiego, ciemno ubranego stwora, idącego za nimi od parkingu, gdzie sprzedali śmigacz.

Istota skryła się w bramie i spod luźnej opończy wyjęła małeńki komunikator. Urządzenie było wyraźnie zbyt nowe i zbyt nowoczesne, by znaleźć się w posiadaniu tak brudnego osobnika, który jednak posługiwał się nim ze spokojem i pewnością.

Stanowisko startowe pięćdziesiąt dwa nie różniło się wyglądem od całej masy innych stanowisk startowych, czasem o dumnie brzmiących nazwach, rozrzuconych po całym Mos Eisley. Wszystkie one składały się z rampy wejściowej i olbrzymiej jamy, wykopanej w skalistym gruncie, służącej do pochłaniania radiacji napędu antigrav wynoszącego statki poza pole grawitacyjne planety.

Teoria kosmonapędu była rzeszą prostą, nawet dla Luke'a. Antigrav działał jedynie w pobliżu odpowiednio silnego pola grawitacyjnego - planetarnego, na przykład - od którego mógłby się odpychać. Natomiast prędkość nadświetlną można było osiągnąć dopiero wtedy, gdy statek oddalił się od tego pola. Stąd konieczność dwóch rodzajów napędu na każdym pozasystemowym środku transportu.

Jama tworząca stanowisko startowe pięćdziesiąt dwa była równie niestarannie wykopana i zniszczona, jak większość w Mos Eisley. Pochyłe ściany, które powinny być idealnie gładkie, tutaj kruszyły się miejscami. Luke uznał jednak, że doskonale pasują do statku, do którego prowadził ich

Chewbacca. Powgniatany elipsoid, który jedynie przy dużej dozie wyobraźni można było nazwać statkiem kosmicznym, poskładany był, jak się zdawało, ze starych fragmentów pancerza i elementów, które - jako nie nadające się do użytku - powyrzucano z innych statków. Zdumienie budził fakt, że wszystko to trzyma się w całości. Próba wyobrażenia sobie tego wehikułu jako zdolnego do podróży w przestrzeni wywołałaby u Luke'a atak histerycznego śmiechu, gdyby sytuacja nie była tak poważna. Ale myśl, że tym czymś mają lecieć na Alderaan...

- Ależ kupa złomu - mruknął, nie potrafiąc dłużej ukrywać swoich uczuć. Szli rampą w stronę otwartego włazu. - Nie wierzę, żeby to mogło wejść w hiperprzestrzeń. Kenobi zachował milczenie i tylko machnął ręką w stronę włazu, gdzie pojawił się Korelianin. Solo miał albo nadzwyczajnie czuły słuch, albo też był przyzwyczajony do reakcji, jaką w potencjalnych pasażerach wywoływał "Sokół Millennium".

- Może nie wygląda nadzwyczajnie - przyznał, ruszając im na spotkanie. - Ale ta tylko pozory. Sam wprowadziłem parę ulepszeń; poza pilotażem lubię czasem pomajsterkować. Bez problemów zrobi zero pięć powyżej prędkości światła.

Luke podrapał się w głowę, próbując pogodzić jako wygląd statku z zapewnieniami jego właściciela. Albo Korelianin, był największym kłamcą po tej stronie jądra galaktyki, albo jego „Sokół” był wart o wiele więcej, niż można by sądzić. Wspomniał radę starego Bena, by nie ufać powierzchownym wrażeniom, postanowił poczekać z osądem statku i jego pilota do chwili, kiedy zobaczy ich w akcji.

Chewbacca, który został z tyłu, przy wejściu na stanowisko startowe, teraz wbiegł rampą niby kosmata trąba powietrzna. Podszedł do Sola i zaczął tłumaczyć mu coś nerwowo. Pilot słuchał go spokojnie, kiwając od czasu do czasu głową, po czym warknął coś krótko w odpowiedni. Wookie popędził do statku, zatrzymując się tylko po to, by skinąć na pozostałych.

- Wydaje się, że mamy niewiele czasu - oświadczył niezbyt jasno Solo. - Jeżeli więc pospieszycie się z wejściem na pokład, będziemy startować.

Luke chciał jeszcze o coś spytać, lecz Kenobi już popychał go rampą w górę. Roboty ruszyły za nimi.

Chłopca zdumiał nieco widok potężnego Wooki'ego, który omijając przeszkody biegł w stronę fotela pilota, wciąż - mimo widocznych modyfikacji - zbyt małego dla jego ogromnej postaci. Chewbacca przeczcił kilka małych przełączników palcami za dużymi - pozornie - do tego celu. Jego wielkie łapy poruszały się nad tablicą kontrolną z zadziwiającą gracją. Gdzieś w głębi statku odezwało się głuche dudnienie - to Wookie uruchomił silniki. Luke i Ben zaczęli przypinać się do wolnych foteli w głównym korytarzu.

U wejścia na stanowisko startowe spomiędzy fałdów kaptura wysunął się długi ryj, a nieruchome oczy spoglądały uważnie. Gdy nadbiegła grupy ośmiu żołnierzy Imperium, tajemniczy osobnik obejrzał się, szybko szepnął coś dowódcy i skinął ręką.

Żołnierze uaktywnili broń i unosząc ją do strzału ruszyli na stanowisko startowe.

Solo dostrzegł zdradzający nieproszonych gości odbłask światła na metalu. Pilot nie sądził, by żołnierze wpadli tu na pogawędkę, a podejrzenie to potwierdziło się, nim zdążył otworzyć usta - kilku szturmowców przyklekło i otworzyło ogień w jego stronę. Odskoczył.

- Chwiej, osłony! Szybko, wiejemy! - wrzasnął do wnętrza statku i usłyszał w odpowiedzi gardłowy ryk potwierdzenia. Wyszarpnął pistolet i oddał kilka strzałów; kryjąc się w stosunkowo bezpiecznej komorze luku. Szturmowcy, stwierdziwszy, że ofiara nie jest bezbronna, przerwali ogień i rozbiegli się w poszukiwaniu osłony.

Głuche pulsowanie silnika przeszło w jęk, a potem w ogłuszające wycie, gdy dłoń Solo wduła przycisk wyzwalacza. Opadła pokrywa luku. Ziemia zadrżała. Szturmowcy w popłochu rzucili się do wejścia, by zaraz zderzyć się z kolejną grupą żołnierzy przywołanych tu przekazywanym coraz dalej sygnałem alarmu. Jeden z uciekinierów usiłował, gestykulując, zrelacjonować przybyłemu oficerowi przebieg wydarzeń na stanowisku startowym. Gdy tylko skończył, oficer wyjął mały komunikator.

- Startują! - krzyknął do mikrofonu. - Próbują uciec! Kontrola! Wszystko, co macie, poślijcie za tym statkiem!

Sygnal alarmu ogólnego, zataczając coraz szersze kręgi wokół stanowiska pięćdziesiąt dwa, obejmował z wolna całe Mos Eisley.

Do grupy żołnierzy przeszukujących jedną z uliczek dotarł w chwili, gdy ujrzeli wznoszący się w czyste niebo nad miastem niewielki frachtowiec. Zanim którykolwiek z nich zdążył choćby pomyśleć o podniesieniu broni, statek zmalął i stał się świetlnym punktem, nie większym niż główka od szpilki.

Luke i Ben tkwili już w fotelach przypięci pasami bezpieczeństwa, gdy minął ich Solo, zmierzający do kokpitu, spokojnym, luźnym krokiem doświadczonego pilota. Zwalił się raczej niż usiadł na fotel i jednym spojrzeniem objął rząd wskaźników i monitorów. Chewbacca pomrukiwał i warczał obok, niczym źle wyregulowany silnik śmigacza. Na chwilę oderwał się od przyrządów i dziabnął paluchem we wsteczny skaner. Solo spojrzał ponuro.

- Widzę, widzę - mruknął. - Dwa, może, trzy niszczyciele. Tym razem wzięliśmy gorący towar. Przytrzymaj ich jakoś, dopóki nie skończę programować stoku. Ustaw- deflektor na maksymalny zasięg.

Udzielwszy tych instrukcji zaprzestał konwersacji z olbrzymim Wookiem i zajął się komputerem. Nie odwrócił się nawet, gdy w drzwiach za jego plecami pojawiła się mała cylindryczna postać. R2D2 pisnął krótko, po czym spiesznie zawrócił.

Wsteczny skaner ukazywał złowrogie oko Tatooine, malejące szybko za ich plecami - - jednak nie na tyle szybko, by można było zlekceważyć trzy punkciki sygnalizujące obecność trzech ścigających ich okrętów bojowych imperium.

Solo zignorował Artoo, obejrzał się jednak, gdy w drzwiach pojawili się jego pasażerowie.

- Mamy towarzystwo - poinformował. - Próbują nas zablokować, zanim zdążymy dokonać skoku. Co nabroiliście, że tak was nie lubią?

- Nie potrafisz im uciec? - spytał sarkastycznym tonem Luke, puszczając mimo uszu pytanie pilota.

- O ile pamiętam, twierdziłeś, że ten statek jest szybki.

- Uważaj, co mówisz, smarkaczu. Jest ich zbyt wielu. Ale po skoku będziemy zupełnie bezpieczni - uśmiechnął się. - Nikt nie potrafi śledzić statku w nadprzestrzeni. Do tego znam parę sztuczek, dzięki którym powinniśmy zgubić nawet najbardziej wytrwałych łowców. Szkoda, że nie wiedziałem o waszej popularności.

- Dlaczego? - zapytał Luke wyzywająco. - Odmówiłbyś nam?

- Niekoniecznie - odrzekł Korelianin. - Ale na pewno zażądałbym wyższej ceny.

Luke chciał coś odpowiedzieć, lecz jedynie uniósł ręce, by osłonić się przed pomarańczowym błyskiem, który z siłą słońca - rozjaśnił czerń za iluminatorem. Kenobi, Solo i Chewbacca zrobili to samo, gdyż eksplozja przebiła niemal ekran optyczny

- Ciekawa sytuacja - mruknął Solo.

- Ile jeszcze czasu do skoku? - zapytał spokojnie Kenobi, jakby zupełnie nieświadomy tego, że lada chwila mogą zakończyć swą egzystencję.

- Jesteśmy jeszcze w polu grawitacyjnym Tatooine - wyjaśnił chłodno pilot. -

Naliczenie poprawek i ustalenie parametrów skoku zajmie jeszcze kilka minut. Mógłbym pominąć instrukcje komputera nawigacyjnego, ale po przejściu w nadprzestrzeń najpewniej rozdarłoby nas na strzępy.

- Kilka minut - wybuchnął wpatrzony w skanery Luke. - Przy tej szybkości dogonią...

- Podróż w nadprzestrzeni to nie młocka, chłopczyku. Próbowalesz kiedy przeliczyć skok nadświetlny? Luke pokręcił głową.

- To nie takie proste. Nie byłoby przyjemnie, gdyby nas doścignęli, ale jeszcze mniej, gdybyśmy w trakcie skoku przeszli przez gwiazdę czy też inny fenomen przestrzeni, na przykład czarną dziurę. Nasza wycieczka skończyłaby się bardzo szybko. Słowom pilota akompaniowały eksplozje - coraz

bliższe, mimo cudów zręczności, jakich dokonywał Chewbacca. Na konsoli rozblęskło czerwone światelko. - Co to jest? - zainteresował się Luke.

- Straciliśmy deflektor - wyjaśnił Solo z miną kogoś, kto cierpi na ostry ból zęba. - Przypnijcie się lepiej. Jesteśmy już prawie gotowi. Skok w nieodpowiednim momencie może być przykłym przeżyciem.

Threepio tkwił już na swoim miejscu przymocowany metalowymi ramionami silniejszymi od wszystkich pasów. Artoo chwiało się, targany wstrząsami coraz silniejszych eksplozji.

- Czy ta podróż naprawdę była konieczna? - jęknął z rozpaczą wysoki android. - Zdążyłem zapomnieć jak bardzo nie znoszę lotów kosmicznych.

Urwał, gdyż pojawili się Luke i Ben. Bez słowa zaczęli przypinać się pasami. Potężna siła szarpnęła kadłubem statku.

Admirał Motti wkroczył do niewielkiej salki, której linearne oświetlenie osttymi cieniami znaczyło jego twarz. Skinął głową stojącemu przed panoramicznym ekranem gubernatorowi.

- Weszliśmy w system Alderaan - poinformował służbiście, mimo że mały zielony punkt zawieszony w pustce niczym klejnot wyraźnie widać było na ekranie. - Oczekujemy rozkazów.

- Zaczekaj jeszcze chwilę, Motti - rzucił z fałszywą serdecznością Tarkin gdy od wejścia zadźwięczał melodyjny sygnał.

Drzwi rozsunęły się. W asyście dwóch strażników weszła Leia Organa w towarzystwie Dartha Vadera. - Jestem... - zaczął Tarkin.

- Wiem, kim jesteś - przerwała. - Powinam się spodziewać, że cię tu zastanę, Tarkin, trzymającego smycz Vadera. Wydawało mi się, że wyczuwam twój charakterystyczny smród, gdy tylko znalazłam się na pokładzie.

- Urocza jak zawsze - stwierdził Tarkin. - Nie masz pojęcia, jak mi było przykro, kiedy podpisywałam na ciebie wyrok śmierci - na jego twarzy pojawił się wyraz fałszywego współczucia.

- Naturalnie, gdybyś zechciała pomóc nam w poszukiwaniach, pewne decyzje mogłyby zostać zmienione... Lord Vader powiadomił mnie o oporze, jaki stawiasz naszym tradycyjnym metodom badań.

- Czyli torturom - wtrąciła drżącym nieco głosem.

- Och, nie kłóćmy się o słowa - uśmiechnął się gubernator.

- Dziwię się, że sam wzięłeś na siebie odpowiedzialność za ten rozkaz.

- Jestem człowiekiem pełnym poświęcenia - westchnął Tarkin. - A przyjemności, jakie zachowuję dla siebie, są bardzo nieliczne. Jedną z nich jest zaproszenie cię na skromną uroczystość, która potwierdzi pełną gotowość operacyjną tej stacji bojowej, rozpoczynając jednocześnie erę technicznej supremacji Imperium.

Ta stacja jest ostatnim ogniwem łańcucha, który na zawsze zwiąże w nierozzerwalną całość miliony systemów Imperium Galaktycznego. Twoje śmieszne Sprzymierzenie przestanie być jakimkolwiek problemem. Po dzisiejszej demonstracji nikt, nawet Senat; nie ośmieli się przeciwstawić woli Imperatora.

- Siłą nie powstrzymasz rozpadu Imperium - Leia spojrzała na niego z pogardą. - Siłą nie da się niczego powstrzymać. Im mocniej będziesz zaciskał pięść, tym więcej systemów prześliznie się między palcami. Jesteś głupcem, gubernatorze, a głupcy często dławią się własnymi urojeniami.

Uśmiech wykrzywił jakby pokrytą pergaminem twarz Tarkina.

- Ciekawe, sir jaki sposób Vader zamierza wykonać egzekucję. Jestem przekonany, że wymyśli coś, co będzie godne ciebie... i jego. Zanim jednak nas opuścisz, pokażemy ci pełną moc tej stacji. W pewien sposób ty sama zdecydowałaś o obiekcie tej demonstracji. Wobec twojej niechęci do wskazania nam lokalizacji bazy rebeliantów wyznaczyłem jako cel alternatywny twoją rodzinną planetę: Alderaan.

- Nie! Nie możesz! Alderaan to pokojowa planeta! Tam nie ma armii! Nie...

Oczy Tarkina zabłyśły.

- Wolałabyś inny cel? Może wojskowy? Proszę, podaj nazwę systemu - wystudiowanym gestem wzruszył ramionami. - Dość mam tej zabawy. Pytam po raz ostatni: gdzie jest główna baza rebelii? Głos z ukrytego głośnika poinformował, że stacja znalazła się na granicy interferencji grawitacyjnej Alderaan, około sześciu średnic planety od powierzchni. To wystarczyło, by metoda Tarkina wykazała swą wyższość nad diabelskimi sposobami Vadera.

- Dantooine - szepnęła Leia, spuszczać wzrok. - Są na Dantooine.

Tarkin westchnął z satysfakcją.

- No co, Lordzie Vader - zwrócił się do stojącej obok czarnej postaci. - Potrafi jednak być rozsądna. Wystarczy zadać właściwe pytanie, a uzyska się porządną odpowiedź - po czym dodał, odwracając się do zebranych oficerów: - Kontynuujcie operację, panowie. Po jej zakończeniu skierujemy się do systemu Dantooine.

Minęło kilka sekund, nim znaczenie słów gubernatora dotarło do świadomości więźnia.

- Co?

- Dantooine jest zbyt oddalony od głównych ośrodków Imperium - wyjaśnił Tarkin, studiując uważnie swe wypięłgnowane dłonie. - Nie byłby odpowiednim obiektem dla efektywnej demonstracji. Potrzebujemy niesfornej planety położonej bliżej centrum. Wtedy wieści o naszej potędze szybko rozejdą się po całej Galaktyce. Twoimi przyjaciółmi na Dantooine zajmiemy się najszybciej, jak tylko będzie to możliwe.

- Powiedziałeś przecież... - próbowała protestować Organa.

- Tylko ostatnie słowa mają znaczenie - oświadczył Tarkin. - Zgodnie z planem Alderaan zostanie zniszczony. Potem będziesz mogła podziwiać, jak wraz z Dantooine likwidujemy główny ośrodek tego głupiego i śmiesznego buntu.

Skinął na strażników.

- Odprowadźcie ją na główny poziom obserwacyjny - uśmiechnął się. - I przypilnujcie, żeby nic nie zasłaniało jej widoku.

Rozdział VII

Solo sprawdzał odczyty przyrządów w głównej kabine. Od czasu do czasu przesuwiał nad czujnikami nieduże pudełeczko, obserwował rezultat i mruczał do siebie z zadowoleniem.

- Możecie się nie martwić o waszych imperialnych przyjaciół - rzucił w stronę Luke'a i Bena. - Nie będą w stanie nas ścigać. Mówiłem, że ich zgubimy.

Kenobi zapewne skinąłby głową w odpowiedzi, gdyby akurat nie tłumaczył czegoś Luke'owi.

- Nie dziękujcie mi wszyscy naraz - mruknął nieco rozczarowany Solo. - Komputer nawigacyjny wyliczył, że koło drugiej wejdziemy na orbitę Alderaan. Obawiam się, że po tej historii będę musiał sfalszować sobie nową rejestrację.

Przeszedł obok okrągłego stolika, którego powierzchnię pokrywały niewielkie podświetlone kwadraty, a po obu stronach wbudowano klawiatury komputera. Projektor wyświetlał nad szachownicą maleńkie trójwymiarowe figurki. Po jednej stronie stołu siedział zgarbiony Chewbacca z głową opartą na masywnych dłoniach. Wyraz jego twarzy i błyszczące oczy wskazywały, że był bardzo zadowolony ze swego ostatniego posunięcia. W każdym razie do momentu, gdy R2D2 wysunął krótki, gruby manipulator i przycisnął kitka klawiszy. Jedna z figur przemaszerowała przez szachownicę i zatrzymała się w nowym kwadracie. Na twarzy Wookiego studiującego nową sytuację pojawiło się zdziwienie, potem wściekłość. Wpatrzony w stół wyrzucił z siebie potok obelżywych wrzasków i warknięć. Artoo mógł tylko pisnąć w odpowiedzi, lecz Threepio z radością ujął się za swym mniej elokwentnym towarzyszem.

- To był uczciwy ruch. Wrzaski nic tu nie pomogą.

Zaciekawiony kłótnią Solo obejrzał się przez ramię. - Ustąp mu. Twój przyjaciel i tak ma przewagę.

- Prywatnie zgadzam się z pańską opinią, sir - powiedział Threepio. - Chodzi jednak o zasadę. Istnieją reguły, do których musi stosować się każda istota, jeżeli nie chce stracić prawa do nazywania się inteligentną.

- Mam nadzieję, że będziecie o tym pamiętać - oświadczył Solo. - Zwłaszcza kiedy Chewie zacznie wrywać wam ręce.

- Z drugiej jednak strony - kontynuował android tym samym tonem - wykorzystywanie swej przewagi w chwili, gdy przeciwnik znalazł się w gorszej pozycji, jest oczywistym dowodem niesportowej postawy. Te słowa wywołały gwałtowny pisk sprzeciwu ze strony Artoo. Oba roboty pograżyły się w ostrej elektronicznej sprzeczce, a lśniące kwadraty ze spokojem oczekiwały na kolejny ruch.

Nieświadom zajścia Luke stał pośrodku kabiny, trzymając w dłoni świetlny miecz. Ze starodawnej broni wydobywał się głuchy pomruk, a chłopiec pod czujnym okiem Kenobiego wyprowadzał i odbijał wyimaginowane cięcia. Od czasu do czasu Solo oglądał się przez ramię, obserwując jego niezdarne ruchy.

- Nie, Luke, twoje cięcia powinny być płynne, nie tak szarpane - pouczał łagodnie Kenobi. - Pamiętaj, moc jest wszędzie, otacza cię i promieniuje. Rycerz Jedi odczuwał moc jako obiekt fizyczny.

- Więc to rodzaj pola magnetycznego? - zaciekawił się Luke.

- To jest pole energetyczne, lecz także coś więcej - wyjaśnił Kenobi z nutą mistycyzmu w głosie.

- Kontroluje, a jednocześnie jest posłuszne. Jeśli zechcesz, może dokonać cudów - przez chwilę patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. - Nikt, nawet naukowcy Jedi, nie potrafił wyjaśnić istoty mocy. W ich teoriach było niekiedy tyleż magii ile nauki. Być może nigdy się nie dowiemy. No, ale wracajmy do ćwiczeń.

Przez chwilę ważył w dłoni srebrzystą kulę wielkości pięści pokrytą misterną siecią anten delikatnych jak skrzydła motyla. Potem rzucił ją w stronę Luke'a i patrzył jak zawisa kilka metrów od twarzy chłopca.

Luke przyjął pozycję. Kula krążyła wolno wokół niego. Nagle skoczyła do przodu, jedynie po to, by znieruchomieć o metr bliżej. Chłopiec nie dał się zwieść tym pozorowanym atakiem i kula wróciła na poprzednie miejsce. Luke przesunął się na bok, by wyjść z pola widzenia przednich czujników kuli. Podniósł miecz do ciosu, lecz w tej samej chwili aparat błyskawicznym ruchem znalazł się za nim. Z jednej z anten trysnęła wiązka czerwonego światła, trafiając go w udo, zanim zdążył osłonić się mieczem. Zwalił się na pokład. Rozcierając zdrętwiałą nogę, Luke starał się nie słyszeć drwiącego śmiechu Solo.

- Religijne hokuspokus i archaiczna broń nie zastąpią dobrego miotacza - oświadczył pilot.
- Nie wierzysz w moc? - zapytał Luke, podnosząc się na nogi. Paraliżujące działanie czerwonego promienia nie trwało długo.

- Przeleciałem tę Galaktykę wzdłuż i wszerz - odrzekł Solo. - Widziałem wiele niezwykłych rzeczy. Zbyt wiele, by nie wierzyć, że może istnieć coś takiego jak "moc". Ale też zbyt wiele, by sądzić, że może ona wpływać na moje działania. Ja sam jestem panem swego losu, nie jakieś prawie mistyczne pole energii.

- Ruchem głowy wskazał Kenobiego. - Na twoim miejscu, mały, nie dałbym się tak prowadzić na smyczy. To sprytny staruszek i na pewno ma w zapasie całą masę różnych sztuczek. Bez trudu wykorzysta cię do swych własnych celów.

Ben uśmiechnął się tylko.

- Spróbuj jeszcze raz, Luke - powiedział spokojnie. - Uwolnij się od kontroli świadomości. Nie próbuj się koncentrować na niczym materialnym czy psychicznym. Daj się nieść swemu umysłowi; a będziesz w stanie ożyć mocy. Nie planuj swych ruchów, niech kierują nimi twoje zmysły i odruchy. Odrzuć myśl, odpręż się, uwolnij swój umysł, uwolnij...

Głos starca cichł, stając się hipnotyzującym szmerem. Gdy umilkł lśniąca kula ruszyła w stronę Luke'a. Jakby uśpiony głosem Kenobiego chłopiec nawet tego nie zauważył. Trudno powiedzieć, czy w ogóle coś widział. Mimo to, gdy tylko automat się zbliżył, zareagował z oszałamiającą prędkością. Błyskawicznie wznosił miecz, zatoczył krótki łuk i wykreślił klingą niezwykle wzór, odbijając wyemitowany przez kulę czerwony promień. Głuchy pomruk przycichł, a sam aparat uderzył bezwładnie o pokład.

Luke zamrugał oczami, jakby budząc się ze snu. Zdumiony spojrzał na nieruchomy aparat.

- Widzisz? Potrafiłeś tego dokonać - stwierdził Kenobi. - Każdy może się nauczyć. Teraz musisz opanować sztukę dopuszczenia do siebie mocy zawsze, kiedy tylko zechcesz. Nauczę cię także świadomego kierowania nią.

Zdjął z pobliskiej szafki wielki hełm i włożył go na głowę chłopca, całkowicie zasłaniając mu oczy.

- Nic nie widzę - poskarżył się Luke i odwrócił, zmuszając Kenobiego do szybkiego usunięcia się poza zasięg miecza. - Jak mam walczyć?

- Użyj mocy - wyjaśnił starzec. - Kiedy poprzednim razem szperacz zaatakował, też go naprawdę nie widziałeś, a jednak zdołałeś odparować cios. Spróbuj jeszcze raz wywołać u siebie tamto uczucie.

- Nie potrafię - jęknął Luke. - Wtedy to był przypadek.

- Nie potrafisz, jeśli sobie zaufasz - przekonywał go Kenobi. - Jedynie wtedy możesz całkowicie polegać na mocy. Zawahał się widząc, że spogląda na ruch sceptyczny Korelianin. Nie będzie dobrze, jeśli Luke po każdym błędzie usłyszy drwiący śmiech pilota... Nie mieli jednak zbyt wiele czasu, a przy tym nie należało przesadnie rozpieszczać chłopca.

Schyliwszy się, podniósł błyszczącą kulę i uruchomił ją. Automat zatoczył wysoki łuk w stronę chłopca i jak kamień runął w dół, by zatrzymać się gwałtownie o metr od pokładu. Luke poderwał miecz, lecz nie był nawet w połowie dość szybki, by odbić tryskającą z anteny ognistą igłę. Uderzenie nie było paraliżujące, chłopiec jednak krzyknął z bólu i machnął mieczem, próbując dosięgnąć niewidzialnego dręczyciela.

- Odpręż się - poradził Ben. - Uwolnij się od potrzeby wzroku i słuchu. Nie planuj. Rób to, co nakazuje ci umysł.

Chłopiec zamarł bez ruchu. Szperacz wisiał w powietrzu za jego plecami. Po chwili zanurkował znowu i błysnął ogniem. Jednocześnie jednak świetlny miecz zakreślił krótki łuk i odbił krwisty promień. Tym razem kula nie opadła na pokład, lecz odskoczyła o jakieś trzy metry i znieruchomiła.

Luko, nie słysząc cichego buczenia aparatu, zerknął ostrożnie spod hełmu. Z jego twarzy obficie ściekał pot.

- Czy..

- Mówiłem, że to potrafisz - powiedział Kenobi. - Gdy już raz zaufałeś swej jaźni, nic nie zdoła cię powstrzymać. Jesteś bardzo podobny do ojca.

- Moim zdaniem to tylko szczęśliwy przypadek - mruknął Solo.

- Z moich doświadczeń wynika, że to nie przypadek. To korzystny zbieg wielu czynników wywołanych dla ułatwienia własnych działań.

- Gadaj zdrow - burknął Korelianin. - Jeśli mi coś zagraża, używam tylko jednego sposobu.

W tym momencie Chewbacca wskazał na ostrzegawcze światelko, które zapłonęło w dalszej części ładowni.

Solo spojrzął na tablicę kontrolną.

- Zbliżamy się do Alderaan - poinformował swych pasażerów. - Niedługo wychodzimy z nadprzestrzeni. Chodź, Chewie.

Wookie wstał od szachownicy i poszedł za swym współnikiem. Luke odprowadził ich wzrokiem, lecz myślami był gdzie indziej. Rozpalało go jakieś nowe uczucie, zdające się rosnąć i dojrzewać w jego umyśle.

- Naprawdę coś czułem - zapewniał. - Zupełnie jakbym naprawdę go widział - wskazał wciąż unoszący się w powietrzu automat.

- Luke - głos Kenobiego brzmiał niezwykle uroczyście. - Zrobiłeś właśnie pierwszy krok na drodze prowadzącej w świat bardziej rozległy niż ten, który otaczał cię do tej pory.

Dziesiątki błyskających i popiskujących wskaźników sprawiały, że kokpit frachtowca wydawał się rojowiskiem podrażnionych os. Solo i Chewbacca skoncentrowali się na najistotniejszych przyrządach.

- Powoli... przygotuj się, Chewie - Solo przesunął dźwignię kompensatorów. - Gotów do przejścia w podświetlną... uwaga... Chewie, zejście.

Wookie wcisnął jakiś przycisk na konsoli, a jednocześnie Solo położył dłonie na sterach. Długie smugi zdeformowanego efektem Dopplera gwiazdowego światła zniknęły, łącząc się w dobrze znane kształty. Wskaźnik na tablicy rozdzielczej pokazał zero.

Gigantyczne rozżarzone odłamy skalne wynurzały się z pustki, by minąć statek lub, wprawiając go w drżenie, w ostatniej chwili zsunąć się po deflektorze.

- Co jest? - zaniepokoił się Solo. Siedzący obok Chewbacca powstrzymał się od komentarzy. Zamiast tego przerzucił kilka przełączników, uruchamiając jakieś przyrządy.

Swoje istnienie zawdzięczali jedynie ostrożności Hana. Odważny, lecz przezorny Korelianin zawsze wynurzał się z nadprzestrzeni z włączonym deflektorem - na wypadek spotkania z kimś, kto byłby mu nieprzyjazny. Jego doświadczenie nie pierwszy już raz ratowało statek od zguby.

W kabinie pojawił się z trudem utrzymujący się na nogach Luke.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Jesteśmy w normalnej przestrzeni - odparł Solo. - Ale wpadliśmy w sam środek najgorszej burzy asteroidów, jaką w życiu widziałem. Tego potoku nie ma na naszych mapach - skinął na wskaźniki.

- Zgodnie z atlasem galaktycznym nasza pozycja jest taka jak trzeba. Tyle, że zniknęła jedna rzecz: Alderaan. - Jak to zniknęła? Przecież to niemożliwe.

- Nie będę się kłócił - odrzekł ponuro Korelianin. - Sam popatrz - wskazał iluminator lewej burty. - Trzy razy sprawdzałem współrzędne, a komputer nawigacyjny jest sprawny. Powinniśmy znajdować się w odległości jednej średnicy planety od Alderaan. Powinien być akurat przed nami,

ale... nie ma. Oprócz tego śmiecia. Sądząc po wykrywalnym tutaj natężeniu promieniowania, można by przypuszczać, że Alderaan został zniszczony. Całkowicie.

- Zniszczony - szepnął Luke oszołomiony skalą katastrofy. - Ale... jak?

- Imperium - odpowiedział mu z tyłu spokojny głos. Ben Kenobi wszedł do kokpitu i obserwował roztaczającą się przed nimi pustkę.

- Nie - Solo pokręcił głową. Nawet on nie potrafił uwierzyć w takie okrucieństwo, w to, że człowiek miałby być odpowiedzialny za zagładę całej planety, wszystkich jej mieszkańców... - Nie. Cała flota Imperium nie byłaby do tego zdolna. Trzeba by mieć tysiące statków i moc ognia o wiele większą od tej, jakiej kiedykolwiek użyto.

- Ciekaw jestem, jak się stąd wydostaniemy - mruknął Luke. - Jeżeli to rzeczywiście robota Imperium...

- Do diabła - zaklął Solo. - Nie mam pojęcia, co tutaj zaszło. Ale jedno wam powiem: Imperium nie jest...

Dalsze słowa zagłuszył sygnał alarmowy. Na konsoli błysnęło światełko. Solo pochylił się nad ekranem.

- jeden statek - poinformował. - Za daleko, żeby można go było rozpoznać.

- Może ktoś ocalał - odezwał się nieśmiało Luke. - Ktoś, kto nam powie, co się tu wydarzyło...

Przez chwilę łudził się, że to prawda, lecz słowa Kenobiego rozwiały tę nadzieję.

- To myśliwiec Imperium.

Chewbacca warknął wściekle. Z lewej burty wykwitł nagle płomienny błysk eksplozji. Frachtowiec zadygotał. Obok kokpitu przemknął niewielki dwuskrzydłowy stateczek.

- Leciał za nami! - krzyknął Luke.

- Od Tatooine? Niemożliwe - sprzeciwił się Solo. - Nie w nadprzestrzeni.

Kenobi obserwował uważnie zarys sylwetki przeciwnika na ekranie kontrolnym.

- Masz całkowitą rację, Han. To myśliwiec krótkiego zasięgu. Klasa T.

- Ale skąd się tutaj wziął? - zdziwił się pilot. - W okolicy nie ma żadnej bazy Imperium. Nie, to nie mógł być T.

- Sam widziałeś, kiedy nas mijał.

- Fakt, wyglądał jak Tie-Fighter. Ale w takim razie gdzie jest jego baza?

- Oddała się z dużą prędkością - zauważył obserwujący ekrany Luke. - Nieważne, dokąd leci. Jeżeli nas zidentyfikuje, możemy mieć kłopoty.

- Niekoniecznie, jeśli tylko potrafię mu dołożyć - oświadczył Solo. - Chewie, zagłusz mu transmisję. Wchodźmy na kurs pościgowy.

- Chyba lepiej zostawić go w spokoju - wtrącił uprzejmie Kenobi. - Jest już zbyt daleko. Poza naszym zasięgiem.

- Wcale nie. Pomimo tej odległości.

Przez kilka minut w kokpicie panowało pełne napięcia milczenie. Wszyscy wpatrywali się w ekrany lub w czarną pustkę za szybami iluminatorów.

Z początku myśliwiec próbował złożonych manewrów, by się ich pozbyć, lecz bez skutku. Zaskakująco zwrotny frachtowiec reagował błyskawicznie i nieubłaganie zbliżał się do uciekiniera. Kiedy pilot przekonał się, że nie zdoła oderwać się od prześladowcy, wydusił całą moc ze swego niewielkiego silnika i ruszył wprost przed siebie.

Nagle blask jednej z błyszczących przed nimi gwiazd zaczął przybierać na sile. Luke zmarszczył czoło. Lecieli szybko, lecz nie aż tak, by jasność jakiegokolwiek ciała niebieskiego zmieniała się w takim tempie.

- To niemożliwe, żeby Tie-Fighter był sam jeden w dalekim kosmosie - zauważył Solo.

- Mógł się zgubić, oderwać od jakiegoś konwoju albo coś takiego - mruknął Luke.

- A więc nie ma komu przesłać swej wiadomości - ucieszył się Solo. - A za minutę, może dwie, będziemy go mieli.

Blask bijący od widocznej przed nimi gwiazdy nabrał kolistego kształtu i nadal zwiększał swą intensywność.

- On leci do tego księżycyca - zauważył Luke.

- Pewnie Imperium ma tu jakąś wysuniętą bazę - stwierdził Solo. - Co prawda, według atlasu Alderaan nigdy nie miał księżycyca - wzruszył ramionami. - Nigdy nie byłem zbyt dobry w topografii Galaktyki. Interesują mnie tylko te planety i księżycyca, na których mam klientów. Ale chyba go dorwę, zanim się tam dostanie. Mam go prawie w zasięgu.

Byli coraz bliżej. Zaczęli dostrzegać księżycowe góry i kratery. Było w nich jednak coś niesamowicie dziwnego. Kształty kraterów były zbyt regularne, zbocza gór pionowe, kaniony i doliny niemożliwie proste. Tego terenu nie mogło uformować nic tak kapryśnego jak działalność wulkanów.

- To nie jest księżyc - szepnął Kenobi. - To stacja kosmiczna.

- Ale to jest za wielkie, żeby być stacją - sprzeciwił się Solo. - Ten rozmiar!

Coś tak ogromnego nie może być sztuczne... nie może!

- Czuję w tym wszystkim coś dziwnego - stwierdził Luke.

Nagle opanowany zazwyczaj Kenobi krzyknął: - Zawracaj! Wynosimy się stąd!

- Tak, masz rację, staruszk. Chewie, cała wstecz. Wookie ustawił przyrządy i frachtowiec zwolnił nieco, zataczając szeroki łuk. Małeńki myśliwiec zbliżył się do stacji i po chwili zniknął w jej olbrzymim kadłubie.

Chewbacca warknął coś do Solo. Statek drżał i dygotał w uścisku niewidzialnych sił.

- Pełna moc rezerwowa! - rozkazał Solo. Wskaźniki jęknęły protestująco.

Pojedynczo i parami kolejne przyrządy na tablicy rozdzielczej dostawały szału.

Mimo wysiłków Solo, gigantyczna stacja rosła i rosła, aż w końcu pokryła całe niebo.

Luke spoglądał nerwowo na wielkie jak góry instalacje zewnętrzne, na dyski anten większe niż całe Mos Eisley.

- Dlaczego ciągle się zbliżamy?

Wyraz twarzy pilota pogłębił jego niepokój.

- Złapali nas w promień przyciągający - najsilniejszy, jaki w życiu widziałem. Ciągną nas do środka.

- To znaczy, że nic już nie da się zrobić? - Luke wciąż nie mógł uwierzyć we własną bezradność.

Solo przyjrzał się wskazaniom przeciążonych czujników i pokręcił głową.

- Przeciwko takiej sile nic. Nasze silniki, chłopcze, pracują pełną mocą, a nie potrafią zmienić kursu nawet o ułamek stopnia. To na nic. Muszę je wyłączyć, bo się wytopią. Ale nie uda im się wessać nas jak jakiegoś śmiecia, bez walki.

Chciał wstać z fotela pilota, lecz powstrzymała go wiekwa, ale wciąż silna dłoń. Twarz starca była zatroskana, można było dostrzec na niej jednak jakby ślad nadziei.

- Jeśli nie można wygrać takiej bitwy, mój chłopcze, to zawsze istnieje jakaś alternatywa dla walki.

Frachtowiec zbliżył się na tyle, że można już było ocenić prawdziwe rozmiary stacji. Pasma sztucznych gór ciągnęły się wzdłuż równika, a słuzy doków wyciągały swe chciwe palce niemal na dwa kilometry nad powierzchnię, "Sokół Millenium", Teraz już tylko niewielki punkcik na tle szarej bryły stacji, zbliżył się do jednej z tych stalowych ośmiornic. Został wessany do wnętrza, a stalowa płyta wielkości jeziora zasłoniła wejście. Frachtowiec zniknął, jak gdyby nigdy go nie było.

Vader spoglądał na usianą gwiazdami mapę wyświetloną na ekranie sali konferencyjnej. Tarkin i admirał Motti pogrążeni byli w rozmowie. To ciekawe, lecz pierwsze użycie najpotężniejszej maszyny niszczącej, jaką kiedykolwiek zbudowano, zdawało się nie mieć żadnego wpływu na tę mapę, choć przedstawiała ona tylko małeńki fragment skromnej Galaktyki.

Trzeba by mikroskopowo powiększyć fragment tej mapy, by zauważyć niewielką zmianę masy spowodowaną przez zniszczenie Alderaan. Alderaan z jego miastami, farmami, fabrykami i wsiami... i zdrajcami, dodał w myślach Vader.

Mimo postępu i skomplikowanych metod anihilacji, dzieła ludzkości pozostawały niezauważalne dla obojętnego, niewyobrażalnie wielkiego Wszechświata. Lecz zmieni się to, jeśli zrealizują się wspaniałe plany Czarnego Lorda. Aż nazbyt dobrze zdawał sobie sprawę, że ten ogrom i piękno nie robiły żadnego wrażenia na paplających obok niego ludziach, mimo ich oddania i inteligencji.

Tarkin i Motti mieli talent i ambicję, lecz pojmowali rzeczy jedynie w skali człowieczych drobin. Jaka szkoda, pomyślał Vader, że brak im rozmachu odpowiedniego dla ich możliwości. Cóż, w końcu żaden z nich nie był Czarnym Lordem. Trudno więc było oczekiwać od nich czegoś więcej. Obaj byli w danej chwili użyteczni - i niebezpieczni, lecz pewnego dnia trzeba będzie ich usunąć, tak jak Alderaan. Na razie jednak nie mógł ich zignorować. I choć wolałby towarzystwo równych sobie, to przecież musiał przyznać, że aktualnie nie miał sobie równych. Mimo wszystko postanowił włączyć się do ich rozmowy.

- Mimo zapewnień senatora Organy, systemy obronne Alderaan były równie silne, jak każdej innej planety Imperium. Trzeba stwierdzić, że nasza demonstracja była tak samo gruntowna, jak wielkie zrobiła wrażenie.

Tarkin spojrzął na niego i skinął głową.

- W tej chwili Senat został już poinformowany o naszej akcji. Już wkrótce będziemy mogli ogłosić likwidację Sprzymierzenia - gdy tylko zajmiemy się ich główną bazą wojskową. Teraz, kiedy usunęliśmy ich podstawowe źródło zaopatrzenia, Alderaan, wszystkie inne systemy ze skłonnościami secesjonistycznymi prędko nauczą się posłuszeństwa.

Do kabiny wszedł któryś z oficerów. Tarkin obejrzał się.

- O co chodzi, Cass?

Nieszczęśliwy żołnierz miał wyraz twarzy myszy, która postanowiła podrażnić kota.

- Gubernatorze, nasi zwiadowcy dotarli do Dantooine. Znaleźli resztki bazy rebeliantów... które, według ich oceny, zostały opuszczone jakiś czas temu. Może kilka lat. Kontynuują przeszukiwanie pozostałej części systemu.

Tarkin poczerwieniał z wściekłości. - Kłamała! Okłamała nas!

Nikt tego nie widział, lecz Vader uśmiechnął się zapewne pod maską.

- Mamy więc remis w pierwszej wymianie "prawd". Mówiłem, że ona nigdy nie zdradzi rebelii... chyba że uzna, iż jej wyznanie przyczyni się jakoś do naszej zguby.

- Natychmiast wykonać wyrok! - Gubernator z Trudem formułował słowa.

- Uspokój się, Tarkin - poradził Vader. - Chcesz tak po prostu zrezygnować z naszej jedynej szansy dotarcia do prawdziwej bazy buntowników? Wciąż jeszcze możemy ją wykorzystać.

- Sam przecież powiedziałeś: nic więcej z niej nie wyciągniemy, Ale ja znajdę tę ich fortecę, choćbym miał rozwalić wszystkie planety w tym sektorze...

Przezwał mu cichy, lecz natarczywy sygnał. - Tak, o co chodzi? - zapytał zirytowany.

- Panowie - odpowiedział głos z niewidocznego głośnika. - Przechwyciliśmy właśnie niewielki frachtowiec, który wszedł do systemu Alderaan. Standardowa kontrola wskazuje, że jego oznaczenia są takie same jak statku, który przełamał kwarantannę w Mos Eisley, system Tatooine, i wszedł w nadprzestrzeń, zanim okręt Imperium biorący udział w blokadzie zdołał się do niego zbliżyć.

- Mos Eisley? - zdziwił się Tarkin. - Tatooine? Co to znaczy? O co w tym wszystkim chodzi, Vader?

- To znaczy, Tarkin, że wkrótce wyeliminujemy ostatni z nie rozwiązanych problemów. Najwyraźniej ktoś przejął te zaginione taśmy, dowiedział się, kto je zakodował i próbował zwrócić księżniczce. Możemy ułatwić im spotkanie.

Tarkin zaczął coś mówić, lecz zawahał się, po czym ze zrozumieniem kiwnął głową.

- Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności - stwierdził. - Pozostawiam tę sprawę w twoich rękach, Vader.

Czarny Lord skłonił się lekko, co gubernator uznał za rodzaj salutu. Potem odwrócił się i wyszedł, pozostawiając Mottiego, który rozglądał się wokół, nic nie rozumiejąc.

Frachtowiec spoczywał nieruchomo w wielkim hangarze. Trzydziestu żołnierzy stało przed otwartym włazem, prowadzącym do wnętrza, Wszyscy stanęli na baczność, widząc zbliżających się Vadera i komandora. Obaj zatrzymali się przed włazem i przyglądali się statkowi. Z szeregu wystąpił oficer i kilku ludzi.

- Nie było odpowiedzi na nasze sygnał, sir, więc otworzyliśmy służbę z zewnątrz.

Nie udało nam się skontaktować z nikim na pokładzie; ani przez komunikator, ani bezpośrednio.

- Poślij ludzi do środka - polecił Vader.

Oficer przekazał rozkazy. Po chwili grupa ciężko uzbrojonych szturmowców ostrożnie wkroczyła do luku. Wewnątrz żołnierze podzielili się na trójki - dwóch osłaniało trzeciego idącego przodem. Poruszając się w ten sposób szybko rozbiegli się po całym statku. Podłogi korytarzy dzwoniły głucho pod okutymi stopami a drzwi rozsuwały się bez oporu.

- Pusty - stwierdził z zaskoczeniem dowodzący oddziałem sierżant. - Sprawdzimy kokpit.

Żołnierze ruszyli w stronę dziobu. Kłapa drzwi usunęła się w bok odsłaniając fotele pilotów, tak samo puste jak reszta statku. Przyrządy były wyłączone, a wszystkie systemy unieruchomione. Tylko jedno światełko mrugało na konsoli. Sierżant uruchomił potrzebne obwody i na monitorze ukazał się wydruk.

Żołnierz przyjrzał mu się uważnie, po czym przekazał uzyskane informacje zwierzchnikowi, czekającemu przy głównym luku.

Oficer wysłuchał z uwagą, po czym obejrzał się w stronę Vadera i komandora.

- Na pokładzie nie ma nikogo - zawołał. - Statek jest całkowicie opuszczony.

Według dziennika pokładowego załoga porzuciła statek zaraz po starcie, ustawiając autopilota na Alderaan.

- Może przynęta... - zastanowił się komandor. - Więc powinni być jeszcze na Tatooine!

- Być może - przyznał z wahaniem Vader.

- Część kapsuł ratunkowych została odpalona - kontynuował oficer.

- Czy znaleźliście na pokładzie jakieś roboty? - zapytał Vader.

- Nie, sir... nic. Jeśli nawet jakieś były, to zapewne opuściły statek razem z załogą.

Vader zawahał się.

- Coś tu nie jest w porządku - powiedział z wyraźną niepewnością w głosie. - Poślijcie tam zespół poszukiwaczy z pełnym wyposażeniem. Chcę, żeby przebadali każdy centymetr tego statku. I to jak najszybciej.

Odwrócił się i odszedł z irytującym uczuciem, że przeoczył coś niezwykle istotnego.

Oficer zwolnił żołnierzy. Na pokładzie frachtowca ostatnia samotna postać zakończyła badanie przestrzeni pod konsolą w kokpicie i pobiegła, by dogonić kolegów. Szturmowiec wolał jak najszybciej opuścić statek-widmo i powrócić do wygodniejszych pomieszczeń koszar. Echo jego ciężkich kroków rozbrzmiewało w pustym korytarzu. Powoli ucichły dobiegające z hangaru ostatnie rozkazy i we wnętrzu statku zapanowała całkowita cisza. Jedynym ruchem na pokładzie było drżenie przebiegające przez część podłogi. Drżenie nasiliło się nagle i dwie metalowe płyty uniosły się w górę odsłaniając parę rozczochranych głów. Han Solo i Luke rozejrzeli się szybko, by z ulgą stwierdzić, że statek istotnie jest tak pusty jak się wydawało.

- Całe szczęście, że wbudowałeś te komory - zauważył Luke.

Solo nie był tak pewny siebie.

- A jak myślisz, gdzie trzymałem przemyt? W głównej ładowni? Przyznaję, że nie spodziewałem się, żebym kiedyś musiał szmuglować w nich samego siebie.

Drgnął słysząc jakiś dźwięk. Na szczęście był to tylko odgłos odsuwania kolejnych płyt.

- To bez sensu. To się nie da zrobić. Nawet jeśli dam radę wystartować i przedostać się przez tę zamkniętą kłapę - pokazał kciukiem w górę - to i tak nie uciekniemy przed promieniem przyciągającym.

Z ukrytej komory wysunęła się twarz starca. - Zostaw to mnie.

- Spodziewałem się, że powiesz coś w tym rodzaju - mruknął Solo. - Jesteś durniem, starszku. Kenobi uśmiechnął się.

- A co można powiedzieć o człowieku, który dał się wynająć przez durnia?

Solo odburknął coś niewyraźnie. Wszyscy wyszli z komór. Chewbacca mruczał coś i powarkiwał.

Do wjazdu statku zbliżyło się dwóch techników. Zameldowali się pilnującym wejścia znudzonym strażnikom.

- Róbcie co chcecie - oświadczył jeden ze szturmowców. - Jeśli czujniki coś wykażą, meldujcie natychmiast.

Mężczyźni kiwnęli głowami i zabrali się do wciągania przez wjazd swego ciężkiego sprzętu. Gdy tylko zniknęli we wnętrzu, dał się słyszeć głośny trzask. Obaj strażnicy obejrzeni się niespokojnie.

- Hej, wy tam, na dole, możecie nam trochę pomóc?

Jeden z wartowników spojrzał pytająco na kolegę; tamten wzruszył ramionami. Potem obaj ruszyli do wjazdu, burcząc pod nosem coś na temat niedoświadczenia techników. Zaraz potem rozległ się kolejny trzask, tym razem jednak nie było nikogo, kto mógłby go usłyszeć.

Ktoś jednak zauważył nieobecność wartowników. Oficer dyżurny spojrzał przez okno punktu dowodzenia w pobliżu wjazdu frachtowca i zmarszczył czoło, nie widząc przy nim nikogo. Zaintrygowany, lecz nie zaniepokojony podszedł do komunikatora i włączył go, nie odrywając spojrzenia od statku.

- THX-1138, dlaczego zszedłeś z posterunku? THX1138, słyszysz mnie?

Odpowiedzią były tylko trzaski w głośniku.

- THX-1138, dlaczego nie odpowiadasz? - oficer zaczynał się niepokoić, gdy we wlocie ukazała się okryta pancerzem postać. Machnęła ręką w jego stronę, po czym puknęła kilkakrotnie palcem w okrywającą prawe ucho część hełmu dając tym do zrozumienia, że mieszczący się tam komunikator nie działa jak należy.

Oficer dyżurny pokręcił głową i spojrzał zirytowany na swego zastępcę.

- Przejmij obowiązki - polecił kierując się do drzwi. - Znowu uszkodzony transponder. Pójdę zobaczyć, co się da zrobić.

Uruchomił mechanizm drzwi, a gdy płyta usunęła się w bok, postąpił krok do przodu i natychmiast się cofnął. Ogromna kosmata postać przesłaniała cały otwór wyjścia.

Chewbacca pochylił się, ryknął wściekle i jednym ciosem wielkiej jak patelnia pięści powalił zaskoczony oficera. Jego zastępca zerwał się na nogi i próbował sięgnąć po broń, gdy trafił go wąski promień lasera, na wylot przebijając serce.

Solo odsunął płytę czołową swego szturmowego hełmu. by zaraz nasunąć ją na miejsce, gdy wraz z Wookieem weszli do punktu dowodzenia. Kenobi z robotami wcisnęli się za nimi. Luke, także okryty zabranym pechowemu żołnierzowi pancerzem, osłaniał tyły. Zamknął drzwi i rozejrzał się nerwowo.

- On ryczy, ty strzelasz do wszystkiego, co się rusza. To cud, że jeszcze cała stacja nie wie, że tu jesteśmy!

- Niech wiedzą - oświadczył Solo podniecony dotychczasowym powodzeniem. - Wolę uczciwą walkę od skradania się.

- Może tobie spieszy się do śmierci - burknął Luke. - Ale mnie nie. Na razie tylko to skradanie trzyma nas przy życiu.

Korelianin spojrzał na chłopca ponuro, lecz nic nie powiedział.

Po chwili obaj przyglądali się, jak Kenobi pracuje nad niesamowicie złożoną konsolą komputera. Starzec czynił to ze swobodą człowieka przyzwyczajonego do obsługi skomplikowanego sprzętu. Na monitorze pojawił się schemat konstrukcji stacji bojowej. Kenobi pochylił się i zaczął studiować obraz.

Tymczasem Threepio i Artoo zajęli się nie mniej skomplikowaną tablicą kontrolną. Artoo znieruchomiał nagle, po czym zaczął pogwizdywać, gwałtownie obwieszczając o jakimś ważnym

znalezisku. Solo i Luke zapomnieli o swych sporach na temat taktyki działania i podbiegli szybko do robotów. Chewbacca zajął się zawieszaniem oficera dyżurnego na jego własnym pasku.

- Podłączcie go - zasugerował Kenobi, spojrzawszy ze swego miejsca przed monitorem. - Powinien mieć stąd dostęp do danych z pełnej sieci stacji. Może dowie się, gdzie jest zespół zasilający tego promienia przyciągającego.

- A dlaczego nie wyłączymy go z tego miejsca? - chciał wiedzieć Luke.

- Bo wtedy oni podłączą go z powrotem, zanim jeszcze wysuniemy ogon z hangaru - wyjaśnił zgryźliwie Solo.

Luke zaczerwienił się.

- Nie pomyślałem o tym - bąknął.

- Widzisz, Luke, żeby udało nam się uciec, musimy rozłączyć źródło energii przyciągania - mówił spokojnie Ben, gdy Artoo wsunął manipulator do odkrytego przez siebie gniazda komputera. Natychmiast na płycie przed nim rozbłysła cała galaktyka światełek. Pomieszczenie wypełnił cichy szum aparatury pracującej z maksymalną szybkością.

Przez kilka minut mały robot ssał informacje niby metaliczna gąbka. Potem szum przycichł i Artoo odwrócił się i zahuczał.

- Znalazł to, sir - poinformował podniecony Threepio. - Promień przyciągający jest podłączony do głównego reaktora w siedmiu punktach, Większość istotnych danych jest zablokowana, ale spróbuje przerzucić podstawowe informacje na monitor.

Kenobi zostawił duży ekran i zaczął obserwować niewielki czytnik obok Artoo. Dane pojawiały się na nim i znikwały zbyt szybko, by Luke zdołał coś rozpoznać, lecz Ben najwyraźniej radził sobie jakoś z migającymi schematami.

- Chyba nie ma sposobu, żebyście mogli mi pomóc, chłopcy - oświadczył. - Muszę iść sam.

- To mi odpowiada - zgodził się pospiesznie Solo. - I tak zrobiłem już w tej podróży więcej niż przewidywała urnowa. Sądzę jednak, że aby załatwić ten promień, twoja magia nie wystarczy, staruszku.

Luke nie dał się zbyć tak łatwo. - Chcę iść z tobą.

- Cierpliwości, młody człowieku. Ta akcja wymaga umiejętności, których jeszcze nie opanowałeś. Zostań, czekaj na mój sygnał i pilnuj robotów. Trzeba je dostarczyć powstańcom. W przeciwnym razie wiele jeszcze planet spotka los Alderaan. Zaufaj mocy, Luke... i czekaj.

Spojrzawszy po raz ostatni na migocący ekran, Kenobi poprawił miecz świetlny u pasa, podszedł do drzwi, otworzył je i popatrzywszy raz w lewo, raz w prawo, znikł w długim, lśniącym korytarzu. Gdy tylko drzwi zasunęły się z powrotem, Chewbacca warknął coś, a Solo pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Masz rację, Chewie - powiedział, po czym dodał, zwracając się do Luke'a: - Gdzie wygrzebałeś tę skamieniałość?

- Ben Kenobi... Generał Kenobi jest wspaniałym człowiekiem - zaprotestował gorąco Luke.

- Wspaniale pakuje nas w kłopoty - burknął Solo. - A tytułować możesz moje dopalacze. On na pewno nas stąd nie wyciągnie.

- A masz lepsze pomysły? - zapytał Luke wyzywająco.

- Wszystko jest lepsze od tego czekania, aż przyjdą tu i nas wygarną. Gdybyśmy...

Przerwały mu gwałtowne gwizdy i pohukiwania, dobiegające od konsoli komputera. Luke podbiegł do R2D2. Mały robot niemal podskakiwał na krótkich nogach.

- O co chodzi? - spytał chłopiec Threepio. Android sam wydawał się zdziwiony.

- Obawiam się, że także tego nie rozumiem, sir. On mówi: "Znalazłem ją" i powtarza: "Jest tutaj! Jest tutaj!"

- Kto? Kogo znalazłeś?

Artoo zwrócił w stronę Luke'a płaską, migocącą światłami twarz i zagwizdał nagląco.

- Księżniczka Leia - poinformował słuchający uważnie Threepio. - Senator Organa... to chyba ta sama osoba. Jak sądzą, jest to kobieta z wiadomości, którą przeniósł.

W pamięci Luke'a znów zmaterializował się ów nieopisany piękny obraz.

- Księżniczka? Jest tutaj?

- Księżniczka? O co chodzi? - zainteresował się Solo.

- Gdzie? Gdzie ona jest? - powtarzał Luke, całkowicie ignorując Hana.

Artoo buczał nadal, a Threepio tłumaczył:

- Poziom piąty, blok więzienny AA-23. Zgodnie z danymi czeka ją powolna śmierć.

- Nie! Musimy coś zrobić!

- O czym wy wszyscy gadacie? - próbował się dowiedzieć poirytowany Solo.

- To właśnie ona wprogramowała w R2D2 tę wiadomość - wyjaśnił pospiesznie Luke. - No, tę, którą próbowaliśmy przekazać na Alderaan. Musimy jej pomóc.

- Zaraz, moment - przerwał Solo. - Jesteś ciut za szybki jak dla mnie. Nie próbuj mnie wciągać w coś głupiego. Kiedy powiedziałem, że nie mam lepszych pomysłów, to mówiłem poważnie. Ten stary kazał nam tu czekać. Nie podoba mi się to, ale nie mam zamiaru pakować się w jakieś zwariowane poszukiwania. Zwłaszcza tutaj.

- Ale Ben nie wiedział, że ona tu jest - zaprotestował chłopiec. - Jestem pewien, że zmieniliby swoje plany - jego podniecenie zmieniło się w zadumę. - Gdybyśmy tylko znali drogę do tego bloku więziennego...

Solo cofnął się i pokręcił głową.

- Nie mam zamiaru włączyć do żadnego bloku więziennego Imperium.

- Jeśli czegoś nie zrobimy, oni ją zabiją. Sam przed chwilą mówiłeś, że nie chcesz tu siedzieć i czekać, aż cię złapią. A teraz koniecznie chcesz zostać. Więc jak to jest, Han?

Korelianin był zakłopotany i zmieszany.

- Marsz do więzienia nie jest akurat tym, co miałem na myśli. Pewnie i tak tam trafimy, ale po co się spieszyć?

- Ale oni chcą ją zabić! - Lepiej ją niż mnie.

- Gdzie jest twoja rycerskość, Han? Solo zastanowił się.

- O ile mogę sobie przypomnieć, to jakieś pięć lat temu na Commenorze wymieniłem ją na dziesięciokaratowy chryzopraz i trzy butelki dobrej brandy.

- Słuchaj, ja ją widziałem - nalegał zrozpaczony Luke. - Jest piękna.

- Życie też jest piękne.

- Jest bogatym i potężnym senatorem - Luke uznał, że apel do niższych instynktów Solo może przynieść lepsze efekty. - Jeśli by się udało nam ją uratować, nagroda byłaby znaczna.

- Hm... bogata? - i nagle twarz Solo przybrała wyraz zawodu. - Nagroda od kogo? Od rządu na Alderaan? - machnął ręką w kierunku miejsca, gdzie kiedyś krążyła planeta.

Luke próbował coś wymyślić.

- Jeśli trzymają ją tutaj i zamierzają zlikwidować, to na pewno jest w jakiś sposób niebezpieczna dla tych, którzy zbudowali tę stację i zniszczyli planetę. Mogę się założyć, że ma to związek z Imperium, wprowadzającym rządy represji. Powiem ci, kto nam zapłaci za jej uwolnienie i za informacje, które posiada: Senat, Sprzymierzenie, powstanie i każda instytucja, która prowadziła jakieś interesy na Alderaan. Być może ona jest ostatnią żyjącą osobą, dziedziczącą bogactwo całego systemu! Nagroda może być większa, niż potrafisz sobie wyobrazić.

- No, nie wiem... Mam nieograniczoną wyobraźnię - spojrzał na Chewbacę, który warknął potakująco. Wzruszył ramionami. - No dobra, możemy spróbować. Ale lepiej, żebyś się nie mylił co do tej nagrody, chłopcze. Jaki masz plan?

Luke zawahał się. Do tej chwili całą swą energię poświęcał na przekonanie Hana i Wookiego, by pomogli mu w próbie ratowania księżniczki. Osiągnąwszy to, zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, co robić dalej. Zdażył się przyzwyczaić do wydawanych przez Bena i Solo poleceń. Teraz kolejny ruch należał do niego.

Nagle zauważył kilka metalowych bransolet zwisających z pancerza Solo.

- Daj te kajdanki i niech Chewbacca tu podejdzie - polecił.

Pilot podał mu cienkie, lecz niemożliwe do złamania kajdanki i przekazał polecenie Wookiemu.

- Teraz ci je założę - Luke ruszył do wielkiego antropoida. - A ty...

Chewbacca warknął gardłowo i Luke odskoczył mimo woli.

- Dobrze, Han ci je założy - poprawił się i oddał Solo kajdanki, nieprzyjemnie świadom wrogiego spojrzenia Wookiego.

- Nie martw się, Chewie - Solo był wyraźnie rozbawiony. - Chyba wiem, o co mu chodzi.

Bransolety ledwie objęły potężne nadgarstki. Mimo zaufania do planu Luke'a, które przejawiał jego przyjaciel, Chewbacca był zdenerwowany i jakby przestraszony, gdy zatrzasnęły się zamki.

- Panie Luke... - zaczął Threepio. Chłopiec obejrzał się. - Przepraszam, że o to pytam, ale... hm... co mamy robić? Artoo i ja, jeśli ktoś nas tu odkryje w czasie pańskiej nieobecności?

- Macie mieć nadzieję, że nie zabrał miotacza - wtrącił Solo.

- Nie dodaje nam pan odwagi - ton Threepio świadczył, że nie uznał tej odpowiedzi za zabawną.

Solo i Luke byli jednak zbyt zaabsorbowani planowaną ekspedycją, by przejmować się zmartwionym robotem. Obaj założyli hełmy, po czym prowadząc przed sobą ponurego Chewbaccę, ruszyli naprzód korytarzem, którym odszedł Ben Kenobi.

Rozdział VIII

W miarę jak wchodzili coraz dalej i dalej w głąb olbrzymiej stacji, coraz trudniej im było zachować pozory obojętności. Na szczęście ci, którzy dostrzegali zaniepokojenie dwójki uzbrojonych żołnierzy, traktowali je jako aż nadto naturalne w sytuacji, gdy eskortowanym przez nich więźniem był potężny Wookie. Chewbacca zresztą sprawiał także, że zwracali na siebie uwagę bardziej, niż by im to odpowiadało.

Im dalej szli, tym więcej spotykali ludzi. Żołnierze, urzędnicy, technicy i mechanicy mijali ich coraz częściej. Niektórzy zajęci własnymi sprawami, całkowicie ignorowali całą trójkę. Inni spoglądali z zainteresowaniem na Chewbaccę, lecz jego posepny wyraz twarzy oraz pozorna pewność siebie eskorty uspokajały ciekawych.

W końcu dotarli do rzędu wind i Luke odetchnął z ulgą. Sterowany komputerowo transporter powinien - reagując na wydawane głosem rozkazy - przenieść ich w dowolny punkt stacji.

Wszyscy troje przeżyli chwilę napięcia, gdy jakiś urzędnik próbował wejść za nimi do windy. Solo jednak wyciągnął rękę i tamten bez słowa protestu przeszedł do następnego szybu.

Luke przyjrzał się aparaturze sterującej. Starał się, by jego głos zabrzmiał możliwie pewnie, lecz niezbyt mu się to udało. Winda jednak była mechanizmem nieskomplikowanym i nie została zaprogramowana, by oceniać emocje pasażerów.

Drzwi zasunęły się cicho i zaszyli. Zdawało im się, że minęły całe godziny, choć w rzeczywistości już po kilku minutach drzwi otworzyły się i znaleźli się na strzeżonym obszarze.

Luke miał nadzieję znaleźć coś w rodzaju starodawnych zakratowanych cel, jakich używano na Tatooine w miastach takich jak Mos Eisley. Zamiast nich jednak widzieli tylko wąskie rampy otaczające bezdennie głęboki szyb wentylacyjny. Kilka poziomów tych chodników biegło równoległe do zakrzywionych ścian, w których mieściły się cele. Wszędzie pełno było czujnych wartowników i ekranów energetycznych.

Luke zdawał sobie sprawę z niemiłego faktu, że im dłużej stoją nieruchomo przed windą, tym szybciej ktoś musi nadejść i zadać im kilka pytań, na które nie ma odpowiedzi. Przerażony starał się coś wymyśleć.

- Nic z tego nie będzie - szepnął Solo, pochylając się ku niemu.

- Czemu wcześniej tego nie powiedziałeś? - odparował przestraszony Luke. - jak to nie? Mówiłem...

- Ciii!

Solo przerwał, gdy zrealizowały się najgorsze obawy Luke'a: pojawił się wysoki, posepny oficer i skrzywił się spojrzawszy na Chewbaccę.

- Gdzie się wybieracie z tym... czymś?

Wookie warknął słysząc tę ocenę swej osoby, a Solo uciszył go szybkim ciosem w żebra. Ogarnięty paniką Luke odpowiedział niemal instynktownie:

- Przeniesienie więźnia z bloku TS-138.

- Nie zawiadomiono nas - oficer wydawał się zaskoczony. - Muszę to sprawdzić.

Zawrócił, podszedł do niewielkiej konsoli i zaczął kodować pytanie. Luke i Han pospiesznie próbowali znaleźć wyjście z tej sytuacji. Ich spojrzenie przebiegało po licznych przyciskach alarmowych, ekranach energetycznych i fotosensorach, by zatrzymać się na trójce stojących w pobliżu wartowników.

Solo rozpiął kajdanki Wookiego, szepnął mu coś i kiwnął Luke'owi głową.

Straszliwe wycie wstrząsnęło ścianami korytarza: Chewbacca wyciągnął ręce i wyrwał Hanowi strzelbę.

- Uwaga! - wrzasnął przerażony na pozór Solo. - Uwolnił się! Rozerwie nas na kawałki!

Obaj z Luke'em odskoczyli od szalejącego Wookiego, wyciągnęli ręczne miotacze i otworzyli ogień w jego stronę. Ich refleks był bez zarzutu, ich entuzjazm wyraźny, za to celność zupełnie fatalna.

Ani jeden strzał nie trafił choćby w poblizę jeńca. Zamiast tego rozbijali automatyczne kamery, czujniki wydzielania energii, w końcu powalając trzech oszołomionych strażników.

Wtedy właśnie oficerowi dyżurnemu przyszło do głowy, że ich fatalna celność była jednak zbyt selektywna. Próbował właśnie włączyć alarm ogólny, gdy strzał z miotacza Luke'a trafił go w pierś. Bez słowa zwałił się na szary pokład.

Solo rzucił się do komunikatora, którego głośnik skrzypiąc żądał wyjaśnień, co się właściwie dzieje. Najwyraźniej łączność między dyżurką a punktem kontroli była nie tylko wizualna, lecz także głosowa.

Ignorując słyszane na zmianę pytania i groźby, Solo sprawdził monitor na pobliskiej konsoli.

- Musimy się dowiedzieć, gdzie jest ta twoja księżniczka. Tu jest z dziesięć poziomów i... O, mam! Cella 2187. Idź, Chewie i ja zatrzymamy ich tutaj.

Luke skinął głową i pognął wąskim chodnikiem. Solo kiwnął na Wookiego, by zajął pozycję, z której mógłby objąć ogniem rząd wind, po czym odetchnął głęboko i zdecydował się odpowiedzieć na płynący z głośnika nie milknący potok wezwań.

- Wszystko w porządku - rzucił w stronę mikrofonu oficjalnym tonem. - Sytuacja normalna.

- To wszystko nie brzmiało normalnie - odpowiedział mu rzeczowy głos. - Co się stało?

- Hm, no... awaria broni u jednego ze strażników - wyjaśnił nerwowo Solo. - Już usunięta. Wszystko jest w najlepszym porządku. A co u was?

- Wysłaliśmy tam patrol.

Han aż nadto wyraźnie wyczuwał podejrzliwość u nie znanego rozmówcy. Co odpowiedzieć? Byłby bardziej elokwentny, gdyby miał w kogo wymierzyć broń.

- Nie, nie. Mamy tu przeciek reaktora. Dajcie nam parę minut, żeby go usunąć. To duży przeciek, bardzo niebezpieczny.

- Awaria broni, przeciek... Kto mówi? Podaj swój... Solo wymierzył miotacz w konsolę i jednym strzałem zmienił aparaturę w stos milczących szczątków.

- Kretyńska rozmowa - mruknął, po czym krzyknął w głąb korytarza: - Spiesz się, Luke! Będziemy mieć towarzystwo!

Luke usłyszał, lecz był zbyt zajęty bieganiem od celi do celi i odczytywaniem lśniących nad nimi numerów. Jak się zdawało, cella 2187 w ogóle nie istniała. Znalazł ją jednak, gdy chciał już zrezygnować i zejść na następny poziom.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się wypukłej ścianie. Potem ustawił miotacz na maksimum i mając nadzieję, że nie roztopi mu się w ręku, strzelił do drzwi. Kiedy broń stała się zbyt gorąca, by ją utrzymać, zaczął przerzucać ją z jednej ręki do drugiej. Tymczasem dym nieco opadł i Luke z zaskoczeniem stwierdził, że wejście do celi stoi otworem.

Z wnętrza spoglądała na niego zdumiona młoda kobieta, której portret Artoo wyświetlił w garażu na Tatooine. Zdawało mu się, że od tej chwili minęły już wieki. Patrzył na nią oszołomiony, myśląc, że jest jeszcze piękniejsza niż jej wizerunek.

- Jesteś jeszcze... piękniejsza... niż sobie... Zdziwienie i niecierpliwość zastąpiły na jej twarzy wyraz lęku i niepewności.

- Czy nie jesteś trochę za niski na szturmowca? - spytała w końcu.

- Co? Ach, ten mundur - Luke zdjął hełm, odzyskując jednocześnie nieco panowania nad sobą. - Przybyłem, by cię uratować. Jestem Luke Skywalker.

- Słucham? - zapytała uprzejmie.

- Powiedziałem, że przybyłem, by cię uratować. Jest ze mną Ben Kenobi. Mamy twoje dwa roboty... Na dźwięk imienia starca jej niepewność zniknęła.

Zamiast niej pojawiła się nadzieja.

- Ben Kenobi - rozejrzała się, zapominając o Luke'u. - Gdzie on jest? Obi-wan!

Gubernator Tarkin przyglądał się, jak Vader przemierza nerwowo pustą salę konferencyjną. Po chwili Czarny Lord zatrzymał się i spojrzał wokół, jak gdyby gdzieś w pobliżu zadzwonił dzwon, który tylko on mógł słyszeć.

- On tu jest - stwierdził spokojnie.

- Obi-wan Kenobi? - Tarkin był zaskoczony. - To niemożliwe. Dlaczego tak sądzisz?

- Drżenie mocy; i to tego rodzaju, jakie wyczuwałem jedynie w obecności mojego dawnego mistrza. Nie mogę się mylić.

- On... on z pewnością od dawna nie żyje. Vader zawahał się. Jego pewność siebie zniknęła. - Być może... Teraz nic już nie czuję. To trwało krótko.

- Jedi nie istnieją - zapewnił go Tarkin. - Ich płomień zgasł dziesiątki lat temu. Ty, drogi przyjacielu, jesteś wszystkim, co po nich pozostało.

Cichy dzwonek zwrócił ich uwagę na komunikator. - Tak? - spytał Tarkin.

- Mamy sytuację alarmową w bloku więziennym AA-23.

- Księżniczka! - Tarkin skoczył na nogi.

- Wiedziałem - Vader obrócił się w miejscu, jakby próbował zobaczyć coś poprzez ściany. - Obi-wan jest tutaj. Nie mogłem się pomylić przy tak potężnym zawirowaniu mocy.

- Alarm dla wszystkich sekcji! - rozkazał Tarkin przez komunikator. Petem obejrzał się na Vadera. - jeśli masz rację, to nie możemy pozwolić mu uciec.

- Ucieczka niekoniecznie mieści się w jego planach- Vader próbował opanować swe emocje. - To ostatni z Jedi... i najpotężniejszy. Nie wolno nam nie doceniać zagrożenia, jakim jest dla nas. I tylko ja mogę się z nim zmierzyć - obejrzał się i spojrzał nieruchomym wzrokiem na Tarkin. - Sam.

Luke i Leia biegli korytarzem, gdy przed nimi rozległa się seria ogłuszających eksplozji. Grupa żołnierzy próbowała dostać się windą do bloku i Chewbacca wystrzelał ich jednego po drugim. Porzucając tę trasę, szturmowcy wytopili otwór w ścianie, zbyt wielki, by Solo i Wookie mogli go zablokować. Dwójkami i trójkami przeciwnicy dostawali się do bloku więziennego. Wycofujący się korytarzem Han i Chewbacca spotkali się z Luke'em i księżniczką.

- Nie możemy wracać tamtędy - wyjaśnił Solo. - Nie - zgodziła się Leia. - Wygląda na to, że odcieśliście sobie jedyną drogę ucieczki. To jest więzienie, rozumiecie?! Nie ma tu dużej liczby wyjść.

Zdyszany Solo zmierzył ją niechętnym spojrzeniem. - Błagam o wybaczenie, Wasza Wysokość - powiedział z sarkazmem. - Może Wasza Wysokość woli wrócić do swej celi?

Leia spokojnie odwróciła wzrok.

- Musi być jakieś inne wyjście - mruknął Luke, odpinając od pasa niewielki transponder. Starannie nastawił częstotliwość. - C-3PO! C-3PO!

- Słucham, sir - znajomy głos odpowiedział z szybkością budzącą nowe nadzieje.

- Jesteśmy tu odcięci. Czy są jakieś inne wyjścia z terenu więzienia? Jakiegokolwiek?

Z małego głośniczka rozległy się trzaski - to Solo i Chewbacca próbowali powstrzymać ogniem miotaczy nacierających szturmowców.

- Powtórz. Nie zrozumiałem.

W kabinie oficera dyżurnego R2D2 pohukiwał i gwizdał gwałtownie, Threepio zaś regulował nadajnik, próbując uwolnić transmisję od zakłóceń.

- Mówiłem, że wszystkie systemy postawione zostały w stan alarmu, sir. Jak się wydaje, jedynym wyjściem z bloku jest główna brama - spojrzał na monitor, na którym bez przerwy zmieniały się schematy. - Wszelkie inne informacje na temat tego regionu są zastrzeżone.

Ktoś zaczął dobijać się do zamkniętych drzwi dyżurki - delikatnie z początku, potem gdy nikt wewnątrz nie reagował, coraz bardziej natarczywie.

- Och, nie! - jęknął Threepio.

Dym wypełniający korytarz więzienny był już tak gęsty, że Solo i Chewbacca z trudem rozróżniali przeciwników. Była to raczej szczęśliwa okoliczność, gdyż przewaga tamtych była miazdząca, a kłęby dymu skutecznie uniemożliwiały celne strzały szturmowców.

Co chwila któryś z żołnierzy próbował przesunąć się bliżej i stawał odsłonięty, by zobaczyć coś przez kłęby dymu. Celne strzały przemytników szybko dołączały go do rosnącego na podłodze stosu nieruchomych ciał.

Płomienie miotaczy bez przerwy rykoszetowały na ścianach więziennego korytarza. Luke zbliżał się do Solo.

- Nie ma stąd innego wyjścia! - wrzasnął, przekrzykując huk strzałów.

- Podchodzą coraz bliżej! Co zrobimy?

- Piękny ratunek - usłyszeli poirytowany głos. Obejrzeni się obaj. Zdegustowana księżniczka spoglądała na nich z dezaprobatą. Czy zanim tu przyszlście, nie mieliście jakiegoś planu, jak się stąd wydostać?

Solo kiwnął głową w stronę Luke'a. - On jest od myślenia, skarbie. Luke uśmiechnął się z zakłopotaniem i bezradnie wzruszył ramionami. Odwrócił się, lecz nim zdążył wystrzelić, księżniczka wyrwała mu miotacz.

- Hej!

Patrzył, jak idzie wzdłuż ściany i zatrzymuje się przy niewielkim otworze. Uniosła miotacz i wystrzeliła w blokującą kratę.

- Co ty właściwie robisz? - Solo przyglądał się zdziwiony.

- Wygląda na to, że sama muszę ratować nasze skóry. Skaczcie do zsypu, chłopcy. A kiedy spoglądali na nią zdumieni, wskoczyła do otworu i znikła. Chewbacca warknął groźnie, lecz Solo pokręcił głową.

- Nie, Chewie, nie chcę, żebyś rozrywał ją na kawałki. Nie jestem jeszcze pewien co do niej. Albo zaczynam ją lubić, albo sam ją załatwię. Wookie ryknął jeszcze coś.

- Wskakuj, ty futrzaku! - wrzasnął na niego Solo. - Nie obchodzi mnie, że śmierdzi. Nie ma czasu na takie wybrzydzenia!

Pchnął wielkiego antropoida w stronę zsypu i pomógł mu precyzyjnie przecisnąć potężne cielsko przez nieduży otwór. Zaraz potem skoczył sam. Luke wstrzelił jeszcze ostatnią serię, raczej dla stworzenia zasłony dymnej niż w nadziei trafienia kogoś z przeciwników, potem ześliznął się do otworu i znikł.

Pragnąc uniknąć dalszych strat w walce w tak ograniczonej przestrzeni, szturmowcy zatrzymali się na chwilę, by poczekać na posiłki i dostarczenie ciężkiego sprzętu. Zresztą uciekinierzy nie mieli się gdzie cofnąć, a mimo poświęcenia żaden z żołnierzy nie spieszył się, by zginąć na próżno.

Komora, do której wpadł Luke, była słabo oświetlona. Światło nie było jednak potrzebne, by wiedzieć, co się w niej znajduje. Czuł smród zgnilizny zanim jeszcze zakończył swoją podróż zsypem. Pomieszczenie było w jednej czwartej wypełnione stosami odpadków, z których większość osiągnęła już takie stadium rozkładu, że chłopiec mimowolnie zmarszczył nos. Solo, potykając się, ślizgając i zapadając po kolana, próbował znaleźć jakieś wyjście. Natrafił tylko na niedużą, solidnie wyglądającą kłapę, której pomimo wysiłków nie potrafił otworzyć.

- Zsyp na śmieci był wspaniałym pomysłem - odezwał się z ironią, ocierając pot z czoła. - Jakież niezwykle zapachy można tu napotkać. Niestety, nie zdołamy chyba wydostać się stąd na unoszącym się smrodzie, a innego wyjścia nie ma. Chyba że otworzę w końcu tę kłapę.

Cofnąwszy się o krok wyciągnął miotacz i wystrzelił w luk. Promień energii w yciem zaczął odbijać się od ścian. Wszyscy zanurkowali w stosy śmieci. Jeszcze jeden rykoszet i eksplozja nastąpiła niemal dokładnie nad nimi.

Wyglądająca chwilowo mniej dostojnie Leia wynurzyła się pierwsza.

- Odłóż tę maszynę - poleciła ponuro. - Chyba, że chcesz pozabijać nas wszystkich.

- Tak jest, Wasza Wysokość - burknął Solo, nie miał jednak najwyraźniej zamiaru schować broni. - Tam na górze bez trudu zorientują się, co zaszło. Kontrolowaliśmy całą akcję, dopóki nas tu nie wciągnęłaś.

- Kontrolowaliście, jasne - mruknęła, otrzepując resztki śmieci z ramion i włosów. - No cóż, mogło być gorzej...

Jakby w odpowiedzi rozległ się przenikliwy, straszliwy dźwięk. Zdawało się, że dobiega gdzieś z dołu. Chewbacca zawył przerażony i próbował rozpląszyć się na ścianie. Luke wyciągnął miotacz i obserwował bacznie stopy odpadków. Nic jednak nie dostrzegł.

- Co to było? - spytał Solo.

- Nie jestem pewien... - Luke podskoczył nagle i spojrzał pod nogi. - Chyba coś właśnie poruszyło się obok mnie. Uważajcie...

Z szokującą szybkością Luke znikł w błotnistej mazi. - Złapało go! - krzyknęła księżniczka. - Wciągnęło go pod spód!

Solo rozglądał się wokoło, szukając czegoś, do czego mógłby strzelić. Luke, równie nagle, jak poprzednio zniknął, pojawił się znowu - a wraz z nim część innego stworzenia: gruba, szara macka owinięta była mocno wokół jego szyi.

- Strzelajcie! Zabijcie to! - krzyknął.

- Strzelajcie! Niby do czego? - mruknął Solo. Stwór, do którego należała macka, ponownie wessał Luke'a pod powierzchnię. Han bezradnie obserwował wielokolorową maź.

Nagle usłyszeli dudnienie ciężkiej maszynierii i dwie przeciwległe ściany komory zbliżyły się do siebie o kilka centymetrów. Potem wszystko ucichło. Luke wynurzył się niespodziewanie tuż obok Solo, z trudem wstał na nogi i zaczął rozmasowywać szyję.

- Co się z tym stało? - zapytała Leia, obserwując podejrzliwie stopy śmieci.

Luke był naprawdę zdumiony.

- Nie wiem - oświadczył. - Trzymało mnie i nagle puściło. Po prostu znikło. Może mój zapach nie był wystarczająco paskudny.

- Mam jakieś złe przecucia - mruknął Solo. Znowu rozległo się dudnienie i znowu ściany zaczęły się zbliżać do siebie. Tym razem jednak ani dźwięk, ani ruch nie ustawały.

- Przestańcie się na siebie gapić - zawołała księżniczka. - Spróbujcie to jakoś zahamować!

Nawet grube słupy i metalowe wsporniki, które podawał Chewbacca nie były w stanie zwolnić ruchu ścian. Zdawało się, że im twardszego przedmiotu używali jako rozpórki, tym łatwiej pękał.

Luke wyciągnął swój komunikator, próbując równocześnie mówić i myśleć nad sposobami ratunku.

- Threepio... Zgłoś się, Threepio!

Przez chwilę bezskutecznie czekał na odpowiedź. - Nie wiem, czemu nie odpowiada - rzucił zmartwiony. - C-3PO, czy mnie słyszysz? - spróbował znowu. - Zgłoś się!

- C-3PO - nawoływał stłumiony głos. - Zgłoś się, C-3PO!

Głos należał do Luke'a i dobiegał z niewielkiego ręcznego komunikatora leżącego na konsoli komputera. jeśli nie liczyć tych nie milknących wezwań, w dyżurce panowała cisza.

Potężna eksplozja zagłuszyła ciche nawoływania. Metalowe drzwi rozpadły się i kilka odłamków zmieniło komunikator w bezkształtną masę. Przez rozbite wejście do kabiny wkroczyło czterech uzbrojonych żołnierzy.

Z początku zdawało się, że pomieszczenie jest puste, lecz po chwili usłyszeli przerażony głos, dobiegający z wysokiej szafki:

- Ratunku! Na pomoc! Wypuście nas stąd!

Dwaj żołnierze pochylili się, by zbadać nieruchome ciała oficera dyżurnego i jego zastępcy, a dwaj pozostali otworzyli szafkę. Wyszły z niej dwa roboty: jeden wysoki i człekokształtny, drugi niski i baryłkowaty, na trzech nogach. Ten wyższy robił wrażenie jakby ze strachu postradał zmysły.

- To szaleńcy! Mówię wam, szaleńcy! - skinął ręką w stronę wysadzonych drzwi. - Zdawało mi się, że mówili coś o dostaniu się na poziom więzienny. Dopiero co wyszli. Jeśli się pospieszycie, możecie ich jeszcze dogonić! Tędy, tędy!

Dwaj szturmowcy wybiegli i wraz z resztą oddziału pognali w głąb korytarza. W dyżurce pozostało dwóch wartowników. Zajęci spekulacjami na temat możliwego przebiegu wydarzeń, zupełnie nie zwracali uwagi na roboty.

- Cała ta bieżanina przeciążyła obwody mojego kolegi - wyjaśnił grzecznie Threepio. - Jeśli pozwolicie, to zaprowadzę go na poziom Obsługi Technicznej.
- Hmm? - jeden ze strażników spojrział na niego z roztargnieniem i obojętnie kiwnął głową. Threepio i Artoo nie oglądając się za siebie pospiesznie opuścili kabinę. Dopiero wtedy żołnierz zorientował się, że nigdy dotąd nie widział automatu takiego typu, jak wyższy z dwóch robotów. Wzruszył ramionami. Na tak wielkiej stacji nie było w tym nic dziwnego.
- Niewiele brakowało - mruknął Threepio, gdy szli korytarzem. - Musimy teraz poszukać jakiejś konsoli kontrolno-informacyjnej, żebyś mógł się znowu podłączyć. Inaczej wszystko przepadło!

Składowisko śmieci robiło się coraz mniejsze, gładkie metalowe ściany zbliżały się do siebie jednostajnie. Wokół rozbrzmiewał koncert trzasków pękających odpadków, wolno narastający ku finałowemu crescendo. Chewbacca jęknął żałośnie, gdy całą swą niezwykłą siłą i ciężarem starał się powstrzymać postęp jednej ze ścian. Wyglądał jak włochaty Syzyf tuż przed szczytem.
- jedno jest pewne - zauważył niewesoło Solo. - Wszyscy będziemy o wiele szczuplejsi. Niezła kuracja odchudzająca. Jedyny problem to jej nieodwracalność.

Luke przerwał dla nabrania oddechu i gniewnie potrząsnął niewinnym komunikatorem.

- Co się mogło stać z Threepio?

- Spróbuj jeszcze raz z tą kłapą - poradziła Leia. - To nasza jedyna szansa.

Solo zamknął oczy i posłuchał. Echo daremnego strzału odbiło się drwiącym echem po coraz węższej komorze.

Stanowisko obsługi było puste. Najwyraźniej alarm odciągnął stąd wszystkich techników. Threepio rozejrzał się ostrożnie i skinął na Artoo. Razem rozpoczęli pospieszny przegląd licznych tablic rozdzielczych. Wreszcie Artoo zabuczał głośno. Threepio podbiegł do niego i czekał niecierpliwie, aż mniejszy robot wsunie swój manipulator w otwarte gniazdo. Superszybki elektroniczny kod rozległ się z głośnika mniejszej jednostki.

Threepio zamachał rękami. - Zaczekaj trochę, wolniej! - piski zwolniły swe tempo.

- Teraz lepiej. Oni co? Och, nie! Przecież wyjdą stamtąd jako płyn!

Uwięzionym w składowisku odpadków pozostałe już mniej niż metr życia. Leia i Solo, zmuszeni do odwrócenia się bokiem, stali teraz twarzami do siebie. Z twarzy księżniczki po raz pierwszy znikł wyraz wyższości. Chwyliła dłoń Korelianina i ścisnęła ją mocno, czując pierwsze dotknięcie zwierających się ścian.

Luke upadł i teraz leżał na boku starając się utrzymać głowę ponad powierzchnią wzbierającej mazi. Wypluwał właśnie z ust jakieś śmiecie, gdy komunikator zabuczał cicho.

- Threepio!

- jest pan tam, sir? - zapytał robot. - Mieliliśmy parę drobnych problemów. Trudno uwierzyć...

- Zamknij się, Threepio! - wrzasnął Luke. - I zablokuj wszystkie układy usuwania odpadków na poziomie więziennym i bezpośrednio pod nim. Zrozumiałeś? Zablokuj...

Kilka chwil później Threepio w rozpaczy chwycił się za głowę - z komunikatora rozbrzmiewały straszliwe zgrzyty i wrzaski.

- Zablokuj je wszystkie! - przynaglił Artoo. - Śpiesz się! Posłuchaj tylko... oni tam konają! Och, przeklinam swe metalowe ciało. Nie byłem dość szybki. To moja wina. Och, mój biedny pan... oni wszyscy... Nie, nie, nie!

Wołania i wrzaski trwały jednak dużo dłużej, niż wydawałoby się to uzasadnione. W rzeczywistości były to bowiem krzyki radości. W efekcie blokady ściany komory zmieniły kierunek i teraz rozsuwały się ponownie.

- Artoo, Threepio - zawołał Luke do komunikatora. - Wszystko dobrze. Już po wszystkim. Słyszycie mnie? Żyjemy. Świetnie sobie poradziliście.

Otrzepując się z obrzydzeniem z lepkich odpadków, najszybciej jak mógł szedł w stronę kłapy luku. Schylił się, zdrapał warstwę brudu i odczytał numer.

- Otwórzcie luk ciśnieniowy zespołu 366-117891. - Tak jest, sir - odpowiedział Threepio.

I były to najważniejsze słowa, jakie Luke kiedykolwiek słyszał.

Rozdział IX

Otoczony kablami energetycznymi i blokami obwodów, zaczynającymi się gdzieś w głębi i znikającymi w górze, szyb serwisowy zdawał się ciągnąć na setki kilometrów. Wąski chodnik umocowany do jego ściany wyglądał jak błyszcząca rutka przyklejona do lśniącego oceanu. Jego szerokość ledwie wystarczała dla jednego człowieka.

Jeden człowiek kroczył właśnie tą niebezpieczną ścieżką. Patrzył przed siebie i nie zwracał uwagi na metaliczną otchłań pod stopami. Szczęknięcia olbrzymich przełączników odbijały się echem, niby krzyki schwytych w zamkniętej przestrzeni lewianów, nie znających zmęczenia ni snu.

Dwa grube kable łączyły się nad szatką rozdzielczą. Była zamknięta, lecz zbadawszy jej dno i boki Ben Kenobi w szczególny sposób przycisnął zakrywającą ją płytę, która natychmiast odskoczyła na bok, odsłaniając mrugającą światłami końcówkę komputera.

Ostrożnymi ruchami Kenobi zmienił kilka przełączeń, w efekcie czego niektóre ze świateł zmieniły kolor z czerwonego na niebieski. Nagle otworzyły się niewielkie drzwi za jego plecami. Ben pospieszenie zamknął szafkę i skrył się w cieniu. W wejściu pojawił się patrol, a dowodzący nim oficer stanął kilka kroków od nieruchomej postaci starca.

- Zabezpieczyć teren do czasu odwołania alarmu. Żołnierze zajęli stanowiska. Kenobi w mroku stał się niezauważalny.

Chewbacca burczał i stękał, z trudem przeciskając swój potężny tors przez wąski otwór. Luke i Solo pomagali mu. Potem rozejrzeli się wokół siebie.

Korytarz, w którym się znaleźli, z pokrytą kurzem podłogą, nie był chyba używany od zakończenia budowy stacji. Prawdopodobnie był to chodnik obsługi technicznej.

Luko nie miał pojęcia, gdzie właściwie są. Coś huknęło głucho o ścianę za nimi. Luko krzyknął ostrzegawczo, gdy długie galaretowate ramię przecisnęło się przez luk : zaczęło macać dookoła. Solo wymierzył w nie swój miotacz, a Leia próbowała przepchnąć się obok wpełzającego ze strachu Wookiego.

- Niech ktoś odsunie mi z drogi tego futrzaka! - nagle zauważyła, co chce zrobić Solo. - Nie! Zaczekaj! Usłysz nas!

Korelianin zignorował ją i strzelił w otwarty luk. Odpowiedzią był odległy huk, gdy obsunięcie się osłabionej konstrukcji ścian niemal pogrzebało stwora w komorze, którą właśnie opuścili.

Wzmocnione w wąskim korytarzu echa rozbrzmiewało jeszcze przez długie minuty.

Luko pokręcił głową z niechęcią, pojmując po raz pierwszy, że ktoś, kto tak jak Solo woli rozmawiać przez lufę miotacza, nie zawsze działa rozsądnie. Do tej pory spoglądał na niego z pewnym podziwem, lecz bezsensowny strzał sprawił, że zobaczył go teraz jako kogoś niewiele lepszego od siebie. Wypowiedź księżniczki zdziwiła go jednak jeszcze bardziej.

- Posłuchaj - zaczęła, patrząc ostro na Hana. - Nie wiem, skąd się tu wzięłeś, ale jestem ci wdzięczna. Wam obu - dodała przypominając sobie o Luke'u. - Ale od tej chwili będziecie robić to, co wam powiem.

Solo patrzył na nią zdumiony. Tym razem się nie uśmiechał.

- Proszę posłuchać, Wasza Świątobliwość - wykrztusił w końcu. - Wyjaśnijmy sobie od razu: jest tylko jedna osoba, od której przyjmuję rozkazy. To ja sam.

- Dziwię się, że w takim razie jeszcze żyjesz - odparowała gładko. Spojrzała jeszcze raz w głąb korytarza i zdecydowanym krokiem ruszyła w przeciwnym kierunku. Solo spojrzał na Luke'a i zaczął coś mówić, lecz zrezygnował i tylko pokręcił głową.

- Żadna nagroda nie jest tego warta. Nie wiem, czy w całym wszechświecie jest dość szmalu, żeby mi wynagrodzić przebywanie z nią... Hej, zaczekaj!

Leia dotarła właśnie do zakrętu korytarza. Ruszyli biegiem, by ją dogonić.

Pół tuzina żołnierzy spacerujących wokół wejścia do szybu energetycznego było bardziej zajętych omawianiem niezwykłego zamieszania w bloku więziennym niż swymi nudnymi obowiązkami. Domysły pochłaniały ich tak bardzo, że żaden nie zauważył widmowej postaci, która przesuwiała się bezszelestnie wśród cieni. Zamarła na chwilę, gdyż któryś ze szturmowców zdawał się odwracać w jej stronę, lecz zaraz ruszyła dalej, jakby płynąc w powietrzu. Kilka minut później któryś z żołnierzy zmarszczył brwi pod hełmem i obejrzał się w stronę, gdzie - jak mu się zdawało - wyczuł jakiś ruch. Nie było tam niczego, prócz jakiegoś niematerialnego wrażenia, które pozostawił za sobą poruszający się jak duch Kenobi. Zaniepokojony, lecz nie chcący przyznać się do halucynacji szturmowiec powrócił do prowadzonej z kolegami rozmowy.

Ktoś w końcu odkrył dwóch nieprzytomnych strażników związanych w szafkach narzędziowych schwytanego frachtowca. Mimo wysiłków obaj nadal pozostawali w stanie śpiączki. Kierowani przez zdenerwowanych oficerów szturmowcy przenieśli swych towarzyszy do najbliższego punktu opatrunkowego. Po drodze przeszli obok dwóch skrytych za tablicą rozdzielczą postaci. Artoo i Threepio pozostali nie zauważeni. Gdy tylko żołnierze oddalili się, Artoo zdjął pokrywę gniazda i pospiesznie wsunął w nie swój manipulator. Natychmiast na płycie jego twarzy zaczęły błyskać światła, a z połączeń kadłuba zadymiło, nim Threepio zdołał wyrwać jego ramię z otworu. Dym znikł natychmiast, a dzikie migotanie świateł przygasło. Artoo zabuczał żałośnie, jak człowiek, który oczekiwał szklanki lekkiego wina, a zamiast tego wypił kilka łyków czystego spirytusu.

- Następnym razem uważaj, gdzie pakujesz swoje czujniki - gderał Threepio. - Mogłeś wysmażyć sobie wszystkie obwody. To było wyjście energetyczne, a nie końcówka informacyjna. Artoo gwizdnął przepraszająco. Razem zaczęli szukać właściwego gniazda.

Luke, Solo, Chewbacca i księżniczka dotarli do końca korytarza. Obok zamykającej go ściany było okno, przez które zobaczyli hangar i stojący tuż pod nimi frachtowiec.

Luke wyjął komunikator i rozejrzawszy się nerwowo uruchomił go.

- C-3PO... słyszysz mnie?

Po chwili milczenia głośnik odpowiedział. - Słyszę, sir. Musieliśmy opuścić dyżurkę. - Jesteście bezpieczni?

- Chwilowo tak, choć nie sądzę, bym dożył późnego wieku. Jesteśmy w hangarze, na wprost naszego statku.

Zaskoczony Luke wyjrzał przez szybę.

- Nie widzę was... musimy być bezpośrednio nad wami. Przygotujcie się. Dołączymy. do was jak tylko będzie można. Wyłączył się i uśmiechnął, wspomniawszy uwagę Threepio na temat "późnego wieku". Wysoki android bywał chwilami bardziej ludzki niż ci, którzy go stworzyli.

- Ciekawe, czy staremu udało się załatwić ściągacz - mruknął Solo, obserwujący hangar. Z dziesięciu szturmowców wciąż wchodziło i wychodziło z frachtowca. - Wrócić do statku będzie trudniej niż przelecieć przez Ogniste Pierścienie Fornaxa.

Leia Organa spojrzała zaskoczona na Korelianina i jego statek.

- Przylecieliście tutaj tym wrakiem? Jesteś odważniejszy, niż sądziłam.

Solo, czując się doceniony i obrażony jednocześnie, nie bardzo wiedział, jak zareagować. W rezultacie poprzestał na ponutym spojrzeniu, gdy ruszyli korytarzem z powrotem. Chewbacca ubezpieczał tyły. Okrążywszy zakręt cała trójka zatrzymała się gwałtownie - tak samo jak dwudziestu maszerujących z przeciwka szturmowców Imperium. Solo zareagował naturalnie - czyli bez zastanowienia. Wyciągnął miotacz i wrzeszcząc w kilku językach ruszył do ataku.

Zaskoczeni niespodziewanym spotkaniem i błędnie zakładający, że przeciwnik wie, co robi, żołnierze cofnęli się. Kilka strzałów z miotacza Korelianina wzbudziło totalną panikę. Szyk rozpadł się i szturmowcy rzucili się do ucieczki. Pijany własną odwagą Solo ruszył w pogoń. Krzyknął tylko przez ramię:

- Wracajcie na statek! Tymi tutaj ja się zajmę!

- Oszalałeś? - wrzasnął za nim Luke. - Co ty wyprawiasz?

Solo jednak znikł już za zakrętem i nie usłyszał pytania. Zresztą i tak nie zrobiliby mu to różnicy. Zdenerwowany zniknięciem współnika Chewbacca wydał z siebie grzmiący - choć pełen niepokoju - ryk i puścił się biegiem za Korelianinem. Luke i Leia zostali sami w pustym korytarzu.

- Byłam może zbyt ostra dla twojego przyjaciela - wyznała niechętnie księżniczka. - Z pewnością jest bardzo odważny.

- Z pewnością jest idiotą! - odparł wściekły Luke - Nie wiem, co nam przyjdzie z tego, że da się teraz zabić.

Gdzieś z dołu i z tyłu zadźwięczały przytłumione syreny alarmowe.

- No, to załatwione - burknął z niechęcią chłopak. - Chodźmy. Ruszyli razem na poszukiwanie zejścia na poziom hangaru.

Solo szarżował na przeciwników, pędząc z pełną prędkością korytarzem, krzycząc i wymachując miotaczem. Od czasu do czasu strzelał, co miało jednak bardziej psychologiczne niż taktyczne znaczenie. Połowa szturmowców rozbiegła się po rozmaitych odnogach i odgałęzieniach korytarza. Dziesiątka, którą wciąż ścigał, tylko z rzadka odpowiadała ogniem. Wreszcie szturmowcy dotarli do ślepej ściany i zostali zmuszeni, by się odwrócić twarzami do przeciwnika. Widząc, że żołnierze zatrzymali się, Han także zaczął zwalniać i w końcu stanął. Przez chwilę obie strony przyglądały się sobie w milczeniu. Niektórzy szturmowcy nie patrzyli na Korelianina, lecz spoglądali wyczekująco gdzieś poza niego. Solo nagle zdał sobie sprawę, że jest tu raczej samotny. Ta sama myśl zaczynała się chyba przesączać do umysłów stojących przed nim żołnierzy. Zamieszanie ustąpiło miejsca wściekłości i przeciwko Hanowi zaczęły unosić się lufy strzelb i miotaczy. Solo cofnął się o krok, po czym zawrócił i pędem rzucił się do ucieczki.

Podążający ociężale korytarzem Chewbacca usłyszał nagle świsty i huki miotaczy. Było w nich coś dziwnego: zdawało się, że rozbrzmiewają coraz bliżej, zamiast się oddalać. Zastanawiał się właśnie, co robić, gdy zza zakrętu pojawił się Solo i znało brakowało, by go przewrócić. Widząc ścigających go dziesięciu szturmowców, Wookie postanowił poczekać z pytaniami do bardziej sposobnej chwili i biegiem ruszył za przyjacielem.

Luke chwycił księżniczkę i wciągnął ją do niszy w ścianie. Miała właśnie obruszyć się na jego brak wychowania, gdy tupot maszerujących żołnierzy sprawił, że zapomniała o wymówkach.

Korytarzem przeszedł oddział szturmowców, wezwanych tu nie milknącymi sygnałami alarmu. Luke spojrzął za nimi i nabrał tchu.

- Nasza jedyna szansa to dotrzeć do statku z przeciwnej strony hangaru. Oni wiedzą, że tutaj ktoś jest. Wyszedł z niszy i skinął na Leię, by szła za nim.

W korytarzu pojawiło się dwóch strażników. Zatrzymali się na chwilę, po czym ruszyli prosto na nich. Luke i Leia zawrócili i pobiegli w kierunku, z którego przyszli. Wtedy zza zakrętu wyszła większa grupa żołnierzy i także ruszyła w ich stronę.

Zablokowani z przodu i z tyłu uciekinierzy nerwowo szukali innej drogi. Leia zauważyła wąski korytarzyk wskazała go towarzyszowi.

Luke wystrzelił do najbliższego ze ściągających i dołączył do biegnącej wąskim tunelem księżniczki. W niewielkiej przestrzeni odgłosy pościgu odbijały się ogłuszającym echem. Na szczęście jednak tylko niewielka liczba żołnierzy mogła prowadzić ogień do uciekających.

Przed nimi pojawił się luk, za którym światło było mniej jaskrawe. To zbudziło nowe nadzieje u Luke'a: gdyby zdołali choć na kilka chwil zablokować za sobą kłapę, mieliby szansę zmylenia pogoni.

Luk jednak pozostał otwarty i nie zdradzał najmniejszej ochoty, by zamknąć się automatycznie. Luke miał właśnie krzyknąć triumfalnie, gdy nagle stracił grunt pod stopami. Wisząc niemal nad przepaścią, rozpaczliwie zamachał rękami i w ostatniej chwili odzyskał równowagę. I tak niewiele brakowało, by runął w otchłań, gdy księżniczka wpadła na niego z tyłu.

Stali na krótkim kawałku chodnika, wystającym w pustkę. Chłodny podmuch owiewał twarz Luke'a, gdy ten przyglądał się ścianom szybu, ginącym na niebotycznej wysokości i opadającym w bezdenną głębię pod nim. Szyb używany był najwyraźniej do wentylacji i odświeżania powietrza

stacji. Przez chwilę Luke był zbyt przerażony, by gniewać się na księżniczkę za to, że niemal zepchnęła go w przepaść. Zresztą jego uwagę pochłaniały inne niebezpieczeństwa. Tuż nad ich głowami uderzył promień energii rozrzucając na wszystkie strony odpryski metalu.

- Chyba skręciliśmy w złą stronę - mruknął, odwrócił się i zaczął strzelać.

Wybuchy rozświetliły wąski korytarz. Po drugiej stronie przepaści widać było otwarty luk, tak nieosiągalny, jakby znajdował się o rok świetlny od nich. Leia odszukała na krawędzi włazu wyłącznik i przycisnęła go pospiesznie. Z hukiem zatrasnęła się kłapa. To powstrzymało strzały od strony zbliżających się szybko żołnierzy. Para uciekinierów pozostała jednak na niewielkim kawałku chodnika o powierzchni najwyżej metra kwadratowego. Gdyby ta niewielka płaszczyzna miała także wsunąć się w ścianę, to mieliby okazję obejrzeć większą część stacji niż planowali.

Luke skinął ręką, nakazując księżniczkę, by usunęła się możliwie najdalej, po czym osłonił oczy i wyceLOWał w kontrolkę włazu. Jeden wystrzał stopił ją ze ścianą, gwarantując, że kłapa nie da się łatwo otworzyć z drugiej strony. Chłopiec przyjrzał się przepaści odcinającej ich od wyjścia. Niewielki prostokąt oznaczający wolność lśnił zapraszająco żółtym blaskiem. Przez chwilę słychać było jedynie szum powietrza.

- Te drzwi działają jak tarcza, ale nie powstrzymają ich zbyt długo - odezwał się w końcu Luke.

- Musimy się jakoś przedostać na drugą stronę - przyznała Leia, przyglądając się obrzeżom zablokowanego luku. - Spróbuj znaleźć układ wysuwający most.

Rozpaczliwe poszukiwania nie dały rezultatu. Tymczasem zza drzwi coraz głośniej dochodziły złowróżbne stuki i dudnienie. W samym środku metalowej płyty wykwitła biała plamka, która szybko zaczęła rosnać. Pojawił się dym.

- Przebijają się - jęknął Luke.

- To musi być jednoczęściowy most, a układ kontrolny jest tylko po tamtej stronie.

Luke podnosił rękę, by wskazać tablicę mieszczącą nieosiągalne urządzenia sterownicze, gdy zaczepił o coś na piersi. Spojrzał w dół i wybuchnął szaleńczym śmiechem.

Lina ułożona w ciasnych zwojach wydawała się cienka i delikatna, lecz był to produkt do użytku wojskowego i bez trudy wytrzymałaby ciężar Wookiego. Z pewnością utrzyma jego i Leię. Wydawała się dość długa, by sięgnąć na drugą stronę przepaści, i to ze sporą rezerwą.

- Co teraz? - zainteresowała się księżniczka. Luke nie odpowiedział. Odpiął od pasa swego pancerza nieduży, lecz ciężki zestaw zasilający i obwiązał go liną. Sprawdził, czy węzeł jest pewny, po czym stanął możliwie blisko krawędzi.

Rozkręciwszy obciążoną linę, rzucił ją ponad otchłanią. Ciężarek uderzył o wystające rury i opadł na dół. Zmuszając się do zachowania spokoju, chłopiec zwinął linę i przygotował się do kolejnej próby.

Tym razem rozkręcił ją jeszcze mocniej. Za plecami czuł narastający żar - to topiła się metalowa płyta drzwi.

Obciążony koniec przeleciał nad wystającą rurą, owinał się wokół niej i ześliznął w jakąś szczelinę. Luke szarpnął linę i odchylając się zawisł na niej całym ciężarem. Trzymała mocno. Szybko owinał ją kilka razy wokół piersi i prawego ramienia, lewym zaś przyciągnął do siebie księżniczkę. Luk za nimi rozpalony był do białości, a roztopiony metal spływał po brzegach równym strumieniem.

Coś ciepłego i miłego dotknęło na moment jego warg, rozbudzając każdy nerw ciała. Wciąż czując na ustach pocałunek, spojrział na księżniczkę zdumiony.

- To na szczęście - wyjaśniła, uśmiechając się jakby z zakłopotaniem, i objęła go mocno. - Będzie nam potrzebne.

Z całej siły ścisnąwszy cienką linę lewą ręką, Luke objął prawym ramieniem Leię, odetchnął głęboko i skoczył. Jeżeli źle obliczył promień łuku ich lotu, to nie trafią w otwarty luk i uderzą w metalową ścianę obok niego lub z dołu. Gdyby to nastąpiło, wątpił czy zdoła utrzymać linę. Lot zapierający dech w piersiach trwał krócej, niż się spodziewał. Po chwili Luke był już po drugiej stronie i klęcząc starał się uniknąć ponownego upadku. Leia puściła go z godnym podziwu

wyczuciem czasu, przeturlała się przez otwarty luk i wstała z wdziękiem; gdy chłopiec próbował wypłatać się z liny.

Przyciszony świst przeszedł w głośnie wycie i wrota po drugiej stronie szybu ustąpiły z hukiem. Runęły do wnętrza i w głąb, a jeśli nawet uderzyły w dno, to Luke tego nie słyszał. Kilka strzałów trafiło w ścianę obok nich. Wystrzelił w kierunku zawiedzionych niepowodzeniem szturmowców, lecz Leia ciągnęło go już do korytarza. Gdy tylko się tam znaleźli, wcisnął przełącznik uruchamiający luk. Wrota zasunęły się. Powinni mieć teraz przynajmniej kilka minut spokoju. Z drugiej strony jednak chłopiec nie miał pojęcia, gdzie się teraz znajduje. Do tego wzrastał niepokój o Hana i Chewbacę.

Korelianin i Wookie pozbyli się części ścigających. Zdawało się jednak, że za każdym razem, gdy gubili kilku żołnierzy, natychmiast pojawiała się większa ich liczba. Nie mogło być wątpliwości - na stacji ogłoszono alarm. Przed nimi wolno zasuwały się pancerne drzwi. - Szybciej, Chewie! - ponaglił Solo. Chewbacca odwarknął coś, dysząc przy tym jak przeciążony silnik. Mimo swej olbrzymiej siły Wookie nie nadawał się do biegów długodystansowych. Tylko długie nogi pozwalały mu dotrzymać kroku niewysokiemu Korelianinowi. Zamykający się luk wyrwał mu kilka włosów, lecz szczęśliwie obu uciekającym udało się prześliznąć na moment przed tym, jak zatrzasnęła się pięciowarstwowa tarcza.

- To powinno ich na chwilę zatrzymać - ucieszył się Solo. Wookie warknął, lecz jego towarzysz wręcz promieniał pewnością siebie. - Oczywiście, że trafię stąd do statku, Korelianinie nigdy się nie gubią. - A na kolejne, tym razem jakby powątpiewające burknięcie, wrzucił tylko ramionami. - Tocneppil się nie liczy. Nie był Korelianinem. A poza tym byłem pijany.

Ukryty w cieniu Ben Kenobi wtopił się niemal w metalową ścianę, przepuszczając obok siebie spory oddział żołnierzy. Zatrzymał się jeszcze, by mieć pewność, że żaden nie pozostał z tyłu, i zbadał wzrokiem korytarz, którym zamierzył ruszyć. Nie dostrzegł jednak ciemnej sylwetki, która daleko poza nim przesłoniła światło.

Kenobi omijał jeden patrol po drugim i wolno przedzierał się coraz bliżej lądowiska, gdzie pozostawił statek. Jeszcze dwa zakręty i powinien być w hangarze. Co zrobi wtedy, będzie zależało od tego, jak spokojnie zachowywali się jego podopieczni. Tego, że młody Luke i kochający przygody Korelianin ze swoim partnerem nie spędzili czasu na spokojnej drzemce, domyślał się już od pewnego czasu z aktywności szturmowców, którą miał okazję obserwować po drodze z szybu energetycznego. Niemożliwe, by wszyscy szukali właśnie jego!

Tamci wpakowali się jednak w poważne kłopoty, jeśli miał sądzić z tego, co usłyszał po drodze. Mowa była o ucieczce jakiegoś ważnego więźnia, co trochę dziwiło Bena, dopóki nie pomyślał o niespokojnej naturze Luke'a i Hana Solo. Z pewnością obaj byli w to zamieszani. Kenobi wyczuł coś bezpośrednio przed sobą i ostrożnie zwolnił kroku. Wrażenie było jakby znajome - coś w rodzaju wyczuwanego psychiką na wpół zapomnianego zapachu.

Jakaś postać zastąpiła mu drogę, blokując odległe już o niecałe pięć metrów wejście do hangaru. Wzrost i sylwetka tego kogoś wystarczyły, by rozwiązać zagadkę. To dojrzałość umysłu, którą wyczuwał, tak go zmyliła. Dłoń Kenobiego płynnym ruchem sięgnęła do rękojeści świetlnego miecza.

- Długo za to czekałem, Obi-wanie Kenobi - odezwał się uroczystym tonem Darth Vader. - Wreszcie spotykamy się znowu. Krąg się zamknął. Poczucie obecności, którego doświadczyłem, mogło pochodzić tylko od ciebie.

Kenobi czuł satysfakcję człowieka ukrytego za tą przerażającą maską. Wolno pokiwał głową, bacznie obserwując blokującą mu przejście postać. Sprawiał wrażenie bardziej zaciekawionego niż zdziwionego.

- Wiele jeszcze musisz się nauczyć - oświadczył. - Kiedyś byłeś moim nauczycielem - przyznał Vader - i dużo ci zawdzięczam. Lecz czas nauki dawno minął i teraz sam jestem mistrzem.

Nieobecność logiki - brakującego ogniwa w wykształceniu jego najzdolniejszego ucznia, była teraz równie wyraźna, jak dawniej. Kenobi wiedział, że dyskusja nie ma sensu. Uruchamiając swój miecz jednym szybkim ruchem wykonanym z elegancją i płynnością tancerza przybrał pozycję bojową.

Vader dość niezgrabnie powtórzył jego ruchy. Przez kilka minut obaj mężczyźni stali nieruchomo, wpatrując się w siebie, jakby czekali na jakiś znany sobie choć niewidoczny sygnał.

Kenobi zamrugał i potrząsnął głową, próbując oczyścić zaczynające łzawić oczy. Pot wystąpił mu na czoło.

- Twoje siły słabną - stwierdził zimno Vader. - Nie powinieneś wracać, starcze. Twoja śmierć będzie przez to mniej spokojna, niżbyś pragnął.

- Wyczuwasz tylko część mocy, Darth - rzekł Kenobi z pewnością siebie człowieka, dla którego śmierć jest tylko kolejnym przeżyciem, takim jak sen, miłość czy dotknięcie świecy. - Jak zawsze pojmujesz jej realność w tym samym stopniu, w jakim widelec czuje smak jedzenia. Z niezwykłą, jak na kogoś w jego wieku, szybkością Kenobi zaatakował. Vader zablokował pchnięcie i Ben z trudem odbił jego ripostę. Jeszcze jeden blok i Kenobi znów ruszył do przodu, wykorzystując okazję, by zamienić się miejscami z Czarnym Lordem.

Wymiana ciosów trwała i starzec wolno cofał się w stronę hangaru. Jego miecz zważył się z ostrzem Vadera i oddziaływanie dwóch pól energii wzbudziło ulewę iskier i błysków. Niskie buczenie wydobywało się z pracujących z najwyższą mocą układów zasilających, gdy jeden miecz starał się pokonać drugi.

Threepio wyrzwał z wejścia na stanowisko startowe i niewesoło przeliczył kręcących się koło opuszczonego statku żołnierzy.

- Gdzie oni mogą być? Och, och!

Cofnął się szybko, gdyż jeden ze szturmowców popatrzył właśnie w jego kierunku. Po chwili robot wychylił się znowu, z większą ostrożnością. Tym razem miał większe powody do radości: zobaczył Solo i Chewbacę wynurzających się z tunelu po przeciwnej stronie hangaru. Solo także nie był zachwycony obecnością strażników. - Myślałem, że już się z niani pożegnaliśmy - mruknął.

Chewbacca warknął ostrzegawczo i obaj odwrócili się, lecz zaraz odetchnęli z ulgą i opuścili broń. Zza zakrętu wyszli Luke i księżniczka.

- Co was zatrzymało? - spytał ponuro Korelianin.

- Spotkaliśmy... - zaczęła zdyszana Leia. - Spotkaliśmy kilku starych znajomych.

Luke obserwował statek. - Czy wszystko jest w porządku?

- Chyba tak - odparł Solo. - Nie wydaje się, żeby coś wyjmowali albo grzebali przy silnikach. Trudność polega na tym, że trzeba się tam dostać.

- Patrzcie! - dziewczyna gwałtownie wyciągnęła rękę w stronę jednego z tuneli po przeciwnej stronie hangaru.

Oświetleni snopami iskier ze zderzających się pól energii Ben Kenobi i Darth Vader zblizali się do stanowiska startowego. Ich walka wzbudziła zainteresowanie nie tylko Lei. Żołnierze opuścili stanowiska, by lepiej widzieć to niezwykle starcie.

- Teraz mamy szansę - krzyknął Solo ruszając naprzód. Cała siódemka strażników pilnujących wjazdu frachtowca ruszyła biegiem na pomoc Czarnemu Lordowi. Threepio ledwie zdążył się cofnąć, gdy przebiegali obok niego. Obejrzał się w stronę niszy.

- Odłącz się, Artoo - zawołał do towarzysza. - Odlatujemy.

I gdy tylko mniejszy robot wyjął z gniazda najeżone czujnikami ramię, obaj ostrożnie zaczęli przesuwać się w stronę statku.

Kenobi usłyszał ruch i szybko spojrział w stronę hangaru. Widok zbliżającej się grupy szturmowców wystarczył, by zrozumieć, że jest osaczony. Vader wykorzystał chwilowe odwrócenie uwagi przeciwnika i wyprowadził straszliwy cios z góry. Kenobi zdołał jakoś go odbić, wykonując jednocześnie pełny obrót.

- Zachowałeś swe umiejętności, lecz twoja siła niknie. Przygotuj się na spotkanie mocy, Obi-wan. Kenobi zmierzył wzrokiem odległość dzielącą go od nadbiegających żołnierzy i spojrzał na Vadera ze współczuciem.

- Tej walki nie możesz wygrać, Darth. Dojrzałeś od czasów, kiedy cię uczyłem, ale ja także się rozwinąłem. Jeśli moja klinga dojdzie do celu, ty przestaniesz istnieć. Jeśli jednak ty mnie pokonasz, stanę się jeszcze potężniejszy.

Zapamiętaj moje słowa.

- Twoja filozofia nie robi na mnie wrażenia, starcze - odparł pogardliwie Vader. - Teraz ja jestem mistrzem.

Jeszcze raz zaatakował, wykonał fintę, by potem ciąć śmiertelnie w dół. Miecz sięgnął celu, rozcinając przeciwnika na połowy. Błysnęło krótko, gdy dwie części płaszcza Kenobiego opadły na pokład. Lecz Kenobiego tam nie było. Bojąc się jakiejś sztuczki, Vader nakłuł płaszcz mieczem. Po starcu nie zostało nawet śladu. Znikł, jak gdyby nigdy nie istniał. Żołnierze podeszli wolno i wraz z Vaderem przyglądali się miejscu, gdzie jeszcze kilka sekund temu stał Kenobi. Mruczeli coś do siebie i nawet budząca szacunek postać Lorda Sith nie była w stanie stłumić w nich uczucia lęku.

Gdy tylko strażnicy ruszyli w stronę tunelu, Solo i pozostali popędzili do statku. Luke dostrzegł jednak rozcinanego na części Bena, skręcił i pognął za żołnierzami.

- Ben! - krzyknął i strzelił. Solo zaklął, lecz także zatrzymał się i podniósł broń. Któryś ze strażników trafił w przełącznik blokady awaryjnej śluzy hangaru. Gdy uchwyt pękł, kłapa runęła w dół. Szturmowcy i Vader odskoczyli - żołnierze w stronę stanowiska startowego, Czarny Lord do tunelu. Solo zawrócił i pobiegł do wjazdu. Zatrzymał się jednak, widząc, że Luke nie zamierza się wycofać.

- Za późno! - krzyknęła do niego Leia. - On nie żyje!

- Nie!! - krzyknął chłopiec.

Nagle znajomy, a przecież inny głos odezwał się w jego uszach - głos Bena.

- Luke... posłuchaj! - powiedział tylko tyle. Chłopiec rozejrzał się zdumiony, próbując odszukać źródło tego głosu, lecz dostrzegł jedynie Leię machającą na niego z rampy, gdzie stała wraz z Artoo i Threepio.

- Chodź! Nie mamy czasu!

Z wahaniem, wciąż myśląc o tym wyimaginowanym - a może prawdziwym? - głosie, poruszony Luke strzelił jeszcze kilka razy, zanim także nie zawrócił, by wycofać się do bezpiecznego wnętrza statku.

Rozdział X

Luke potykając się dotarł do sterowni. Nie zwracał uwagi na huk pocisków energetycznych, które - zbyt słabe, by przebić się przez deflektory frachtowca - wybuchały na zewnątrz. Własne bezpieczeństwo niewiele go teraz obchodziło. Załzawionymi oczyma spojrzął na ustawiających przyrządy Solo i Chewbacę.

- Mam nadzieję, że staruszek zdążył wyłączyć ten promień przyciągający - powiedział Korelianin. - Jeśli nie, to daleko nie zalecimy.

Luke nie odpowiedział. Wrócił do ładowni, opadł na fotel i ukrył twarz w dłoniach. Leia przyglądała mu się przez chwilę, po czym podeszła i narzuciła swój płaszcz na ramiona.

- Nie mogłeś mu pomóc - szepnęła pocieszająco. - W ciągu sekundy było po wszystkim.

- Nie mogę uwierzyć, że już go nie ma - powiedział Luke ledwie słyszalnym szeptem. - Nie mogę.

Solo przerzucił dźwignię i spojrzął z niepokojem przed siebie. Na szczęście wrota hangaru zostały zaprogramowane, by reagować na zbliżanie się jakiegokolwiek pojazdu. To zabezpieczenie umożliwiało im teraz ucieczkę - frachtowiec prześliznął się przez nie do końca otwartą klapę i wyleciał w otwartą przestrzeń.

- Nic - odetchnął z ulgą Solo z głęboką satysfakcją, studiując rząd wskaźników.

- Ani jeden erg do nas nie dociera. Udało mu się jednak.

Chewbacca burknął coś i pilot spojrzął na sąsiedni blok czujników.

- Racja, Chewie. Zapomniałem, że istnieją inne sposoby, żeby namówić nas do powrotu - wyszczerzył zęby. - Ale do tego latającego grobowca wrócimy tylko w kawałkach. Przejmij stery. Odwrócił się i wyszedł.

- Chodź, mały - zawołał przebiegając przez ładownię. - Zabawa jeszcze się nie skończyła.

Luke nie zareagował, nie poruszył się nawet.

- Zostaw go w spokoju - zażądała gniewnie Leia. - Nie rozumiesz, ile dla niego znaczył Ben? Wybuch wstrząsnął statkiem i Solo z trudem utrzymał się na nogach.

- No to co? Stary poświęcił się, żeby dać nam szansę ucieczki. Chcesz to zaprzepaścić, Luke? Chcesz, żeby jego śmierć poszła na marne?

Luke podniósł głowę i popatrzył na Korelianina nieobecny spojrzeniem... Nie, nie całkiem nieobecny. W jego wzroku było coś groźnego, nie pasującego do jego młodych lat. Bez słowa odrzucił płaszcz i poszedł za pilotem. Solo wskazał mu wąskie przejście i chłopiec skręcił w nie, uśmiechając się pośepnie. Korelianin zagłębił się w przeciwny korytarzyk. Luke znalazł się w obrotowym bębnie wysuniętym z burty statku. Z przejrzystej półkuli sterczała długa, groźnie wyglądająca rura, której przeznaczenie było oczywiste od pierwszego rzutu oka. Luke usiadł w fotelu i szybko przestudiował przyrządy. Tutaj aktywator, tu uchwyt spustu... Tysiące razy obsługiwał już taką broń... w marzeniach.

W sterowni Leia i Chewbacca obserwowali pełną gwiazd otchłań za iluminatorami, starając się wypatrzyć atakujące myśliwce, widoczne jako świetliste punkty na kilku ekranach. Wreszcie Wookie warknął gardłowo i szarpnął kilka dźwigni.

- Tam są! - krzyknęła Leia.

Gwiazdy zawirowały wokół Luke'a, gdy pędzący ku niemu imperialny Tie-Fighter zrobił zwrot i znikł w oddali. W małej kabinie jego pilot skrzywił się, kiedy zdezelowany frachtowiec niespodziewanie znalazł się poza zasięgiem ognia. Krótka manipulacja przyrządami sprawiła, że maszyna wykonała nawrót i weszła na nowy tor pościgowy za umykającym statkiem. Solo prowadził ogień do drugiego myśliwca, którego pilot niemal wyrwał silnik z łożyska, gdy szybkimi zwrotami próbował uniknąć wysokoenergetycznych promieni lasera. Jeden z manewrów przerzucił jego maszynę dołem, na przeciwną burtę przeciwnika. Luke otworzył ogień, jednocześnie dopasowując fotoosłonę. Chewbacca zajmował się na zmianę instrumentami i obserwacją ekranów

namiarowych, gdy Leia starała się odróżnić obrazy dalekich gwiazd i bliskich napastników. Dwa myśliwce równocześnie zanurkowały na umykający, skręcający gwałtownie frachtowiec, próbując złapać w celowniki niespodziewanie zwrotny statek. Solo otworzył ogień, a w kilka sekund później Luke także uruchomił swoje działa. Oba myśliwce ostrzelały uciekiniera i przemknęły dalej.

- Nadlatują za szybko! - krzyknął Luke w komunikator.

Kolejny pocisk trafił w dziób frachtowca i deflektory ledwie zdołały go odchylić. Kabina sterowni zadygotała, a czujniki jęknęły, protestując przeciw ilości energii, którą musiały wymierzyć i skompensować.

Chewbacca mruknął coś w stronę Lei, a ona kiwnęła głową, jakby zrozumiała. Drugi myśliwiec wystrzelił swój śmiercionośny ładunek. Tym razem jednak pocisk przebił przeciążony ekran i uderzył w burtę statku. Wprawdzie częściowo pochłonięty przez deflektor, niósł jednak dość energii, by rozbić dużą tablicę kontrolną w głównym korytarzu.

Zadymiło, iskry strzeliły we wszystkie strony. R2D2 spokojnie ruszył do tego miniaturowego piekła, podczas gdy szaleńczy unik statku rzucił mniej stabilnego Threepio w zasobnik pełen zapasowych bloków elektronicznych. W sterowni zapaliło się ostrzegawcze światelko. Chewbacca rzucił coś do Lei, która spojrzała na niego z zakłopotaniem żałując, że nie posiada jego daru wymowy.

Myśliwiec runął na uszkodzony frachtowiec, wprost pod celowniki Luke'a. Chłopiec przygryzł wargi i wystrzelił. Niesamowicie zwrotny stateczek błyskawicznie znalazł się poza polem ostrzału, lecz niemal natychmiast Solo odszukał go i położył ciągłą zaporę ogniową. Myśliwiec wybuchł nagle wielobarwnym blaskiem, rozrzucając strzępy przegrzanego metalu we wszystkie sektory kosmosu. Solo obejrzał się i pomachał ręką do Luke'a, a chłopiec uśmiechnął się radośnie. Potem obaj powrócili do urządzeń celowniczych - drugi myśliwiec zbliżał się do statku, ostrzeliwując misę transmitera.

W samym środku głównego korytarza płomienie szalały wokół krępej, cylindrycznej figurki. Ze szczytu górnej kopuły R2D2 wyrzucał strumień drobnego białego proszku. Gdziekolwiek trafiał, ogień cofał się z sykiem. Luke odprężył się. Niemal nie zdając sobie z tego sprawy, strzelił w wycofujący się imperialny myśliwiec. Zamrugał powiekami, a gdy otworzył oczy, zobaczył za szybą wieżyczki tworzące idealną kulę płonące szczątki przeciwnika. Tym razem to on odwrócił się do Solo z tryumfalnym uśmiechem.

W sterowni Leia obserwowała uważnie odczyty czujników i śledziła obraz nieba w poszukiwaniu kolejnych myśliwców wroga.

- Są jeszcze dwa - powiedziała do mikrofonu. - I wygląda na to, że straciliśmy boczne monitory i pole ochronne z prawej burty.

- Nie przejmuj się - odparł Solo, bardziej z nadzieją niż pewnością. - Wytrzymamy - popatrzył prosząco na ściany - Słyszysz mnie, statku? Wytrzymaj!

Chewie, próbuj ich trzymać po lewej. jeśli...

Musiał przerwać, gdyż Tie-Fighter jak gdyby zmaterializował się nagle w przestrzeni. Promienie laserów wyciągały się w stronę statku. Drugi pojawił się po przeciwnej stronie frachtowca. Luke strzelał bez przerwy, nie zwracając uwagi na ogromną ilość energii, jaką tamten emitował w jego kierunku. Na chwilę przed tym, nim wróg znalazł się poza zasięgiem, przesunął odrobinę wylot lufy działa i kurczowo zacisnął palec na spuście. Myśliwiec zmienił się w szybko rosnącą kulę fosforyzującego pyłu. Ostatni z napastników, najwyraźniej przemyślawszy nowy układ sił, zawrócił i z pełną szybkością pomknął do bazy.

- Udało się! - krzyknęła Leia, odwróciła się i mocno uściśnęła zaskoczonego Wookiego. Warknęła na nią - bardzo delikatnie.

Darth Vader wkroczył do sali dowodzenia, gdzie gubernator Tarkin obserwował wielki, rozświetlony ekran. Ukazywał on morze gwiazd, lecz nie ten widok pochłaniał myśli gubernatora. Prawie nie zwrócił uwagi na wejście Vadera.

- Uciekli? - spytał Czarny Lord.
- Właśnie wykonali skok w hiperprzestrzeń. Nie wątpię, że w tej chwili gratulują sobie sukcesu
- Tarkin odwrócił się do Vadera. W jego głosie zabrzmiało ostrzeżenie. - Wiele ryzykuję, ulegając twoim namowom, Vader. Lepiej, żeby się to udało. Jesteś pewien, że nadajnik na ich statku jest dobrze ukryty?
- Nie ma się czego bać - Czarny Lord nie wątpił w powodzenie. - Ten dzień przejdzie do historii... dzień, który oglądał ostateczny koniec Jedi, a wkrótce zobaczy koniec Sprzymierzenia i rebelii.

Solo ruszył do ładowni, by zbadać skalę uszkodzeń, w korytarzu minęła go zagniewana Leia.

- Co ty na to, skarbie? - rzucił Han, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony. - Całkiem niezła akcja ratunkowa. Wiesz, czasami sam siebie zaskakuję.

- To chyba nie jest specjalnie trudne - przyznała ochoczo. - Chodzi jednak nie o moje bezpieczeństwo, ale o to, czy informacja w robocie R2 pozostała nie uszkodzona.

- A co jest tak ważnego w tym robocie?

Leia spojrzała na lśniącą gwiazdami przestrzeń przed dziobem.

- Pełny schemat stacji bojowej. Wierzę, że kiedy przeanalizujemy te dane, znajdzie się jakiś jej słaby punkt. Do tego czasu, do czasu, kiedy sama stacja nie zostanie zniszczona, musimy walczyć dalej. Wojna jeszcze się nie skończyła.

- Dla mnie tak - zaprotestował pilot. - Nie polecałem tu dla waszej rewolucji. Interesuje mnie ekonomia, nie polityka. Interesy można robić przy każdym rządzie. I nie zrobiłem tego dla ciebie, Księżniczko. Mam nadzieję, że zostanę należycie wynagrodzony za narażanie statku i własnej skóry.

- Nie musisz się martwić o nagrodę - zapewniła go, odwracając się, nagle zasmucona. - Jeżeli kochasz tylko pieniądze... dostaniesz je.

Solo wszedł do sterowni i zamienił się miejscami z Chewbacą, który z wyraźną ulgą oddał stery.

Leia wychodząc z kabiny zauważyła zbliżającego się Luke'a.

- Twój przyjaciel rzeczywiście jest najemnikiem - powiedziała cicho. - Zastanawiam się, czy on w ogóle przejmuje się czymkolwiek... albo kimkolwiek.

Chłopiec spoglądał w ślad za nią, póki nie zniknęła w ładowni, po czym wyszeptał:

- Ale ja tak... Ja się przejmuję.

Wszedł do sterowni i usiadł w fotelu opuszczonym przed chwilą przez Chewbacę.

- Co o niej myślisz, Han?

- Staram się o niej nie myśleć - odparł bez wahania Solo.

Luke prawdopodobnie nie chciał, by ktoś słyszał jego odpowiedź, mimo to Korelianin złowił uchem jego ciche: "To dobrze".

- Z drugiej strony - dodał zamyślony pilot - jest całkiem rozsądna. Nie wiem...

Jak myślisz, czy byłoby możliwe, żeby Księżniczka i taki facet jak ja..

- Nie - zaprzeczył gwałtownie Luke.

Solo uśmiechnął się, rozbawiony zazdrością młodego człowieka. W głębi duszy nie był pewien, czy dodał ostatnie zdanie, żeby rozdrażnić swego naiwnego przyjaciela, czy dlatego... że było prawdą?

Yavin był planetą nie nadającą się do zamieszkania - gazowy gigant otoczony pastelowym rysunkiem stratosferycznych chmur. Tu i tam jego połyskującą słabo atmosferę poruszały cyklony - wiejące z prędkością sześciuset kilometrów na godzinę wichry mieszające gazy troposfery Yavina. Był to świat przyczajonego piękna i natychmiastowej śmierci dla każdego, kto chciałby dotrzeć do stosunkowo niewielkiego jądra zamrożonych cieczy.

Niektóre spośród licznych księżyców giganta same miały rozmiary planet, a trzy z nich nadawały się do zamieszkania przez istoty humanoidalne. Szczególnie zachęcający był satelita oznaczony przez odkrywców systemu numerem czwartym. Błyszczał jak szmaragd w koliai księżyców Yavina, bogaty życiem roślinnym i zwierzęcym. Nie był jednak wymieniany wśród obiektów utrzymujących ludzkie osady - leżał zbyt daleko od zasiedlonych obszarów Galaktyki.

Być może to właśnie, a może jakieś inne, wciąż nie poznane przyczyny były powodem, że rasa, jaka wyszła z dżungli czwartego satelity, wyginęła cicho na długo przedtem, nim pierwszy badacz-człowiek postawił stopę na tym maleńkim świecie. Niewiele wiedziano o owych istotach, oprócz tego, że pozostawiły po sobie pewną liczbę monumentalnych budowli i że były jedną z wielu ras, które próbowały sięgnąć gwiazd, by doznać porażki w tym desperackim przedsięwzięciu. Wszystkim, co po nich pozostało, były kopce i pokryte roślinnością pagórki w miejscu pochłoniętych przez dżunglę budowli. Lecz choć rozsypali się w pył, ich wytwory i ich planeta nadal służyły ważnemu celowi. Dziwne głosy i ledwie słyszalne jęki rozbrzmiewały z każdego drzewa i zagajnika; istoty ukrywające się wśród poszycia pohukiwały, warczały i mruczały. A kiedy na księżycu czwartym wstawał świt zwiastujący kolejny długi dzień, w gęstej mgłę rozbrzmiewał szczególnie dziki chór ryków i przedziwnie modulowanych wrzasków. Jeszcze dziwniejsze odgłosy dochodziły nieustannie z pewnego niezwykłego miejsca, gdzie znajdowała się świątynia, najwspanialsza z budowli, które zaginiona rasa wzniosła ku niebu. Z grubsza piramidalna konstrukcja była tak ogromna, że zdawało się niemożliwe ukończenie jej bez pomocy współczesnych technik grawitronicznych. A jednak wszelkie ślady mówiły tylko o prostych maszynach i gracy rąk. A może o dawno zaginionych obcych urządzeniach...

Nauka mieszkańców księżyca zaprowadziła ich w ślepią uliczkę, przynajmniej jeśli idzie o podróżę poza planetę. Mimo to niektóre z ich odkryć przewyższały analogicznie osiągnięcia Imperium - jednym z nich była ciągle nie wyjaśniona umiejętność wycinania i transportu gigantycznych bloków kamienia. Z takich właśnie bloków litej skały zbudowano świątynię. Dżungla pokryła nawet jej wysokie stropy, zalewając je głęboką zielenią i brązem. Nie osłonięty roślinnością pozostał jedynie fragment podstawy frontowej ściany. Długie mroczne wejście zaprojektowane przez budowniczych zostało powiększone, by mogło służyć obecnym mieszkańcom budowli.

Maleńki pojazd, którego metaliczne burty widać było z daleka pomiędzy wszechobecną zielenią, pojawił się między drzewami. Brzęczał niby tłusty, leniwy żuk, niosąc swych pasażerów w stronę otworu w ścianie świątyni. Przeskoczył spory obszar nagiej ziemi i znikł w czarnej jamie wejścia, by pozostawić dżunglę w łapach i szponach niewidocznych bestii.

Pradawni budowniczy nie rozpoznaliby wnętrza świątyni. Metalowe płyty zastąpiły kamień, ścianki działowe zrobione były z plastiku, zamiast z drewna. Nie zauważyliby także kolejnych pięter wyrytych w skale macierzystej planety, gdzie mieściły się połączone windami hangary pełne rakiet. Śmigacz zatrzymał się wewnątrz świątyni, gdzie na poziomie gruntu mieściła się najwyższa sala. Grupka stojących w pobliżu ludzi przerwała głośne dyskusje i podbiegła do pojazdu. Na szczęście dla siebie Leia Organa natychmiast wyskoczyła ze śmigacza. Gdyby nie to, mężczyzna, który dobiegł pierwszy, wyciągnąłby ją sam, tak wielka była jego radość. Ograniczył się jednak do miażdżącego uścisku, a jego towarzysze krzyczeli głośno.

- Jesteś bezpieczna! - zawołał. - Baliśmy się, że nie żyjesz. - Nagle odstąpił na krok i skłonił się formalnie. - Kiedy dowiedzieliśmy się o Alderaan, sądziliśmy, że Wasza Wysokość... zginęła z resztą ludności.

- To już minęło, komandorze Willard - odparła. - Musimy myśleć o przyszłości. Alderaan i jego mieszkańcy odeszli - nagle jej głos stał się gorzki i zimny, przerażający u tak delikatnej dziewczyny.

- Musimy dopilnować, by coś takiego już się nie zdarzyło. Nie mamy czasu na żalobę, komandorze. Stacja bojowa z pewnością śledziła nasz lot.

Solo próbował zaprotestować, ale uciszyła go twardym spojrzeniem.

- To jedyne wyjaśnienie łatwego powodzenia naszej ucieczki. Posłali za nami tylko cztery myśliwce. Równie dobrze mogli wysłać setkę. Na to Korelianin nie znalazł odpowiedzi. Nadal jednak był nadąsany. Leia skinęła na R2D2.

- Trzeba zbadać informacje ukryte w tym robocie i ustalić plan ataku. To nasza jedyna nadzieja. Sama stacja jest potężniejsza, niż ktokolwiek podejrzewał - zniżyła głos. - Jeżeli dane nie wskażą jakiegoś słabego punktu, to nic nie zdoła ich powstrzymać.

Luke zobaczył wtedy obraz jedyny w swoim rodzaju, wyjątkowy dla większości ludzi. Kilku techników podeszło do R2D2, otoczyło go i delikatnie podniosło. Po raz pierwszy i prawdopodobnie ostatni w życiu widział robota niesionego z szacunkiem przez ludzi.

Teoretycznie żadna broń nie potrafiła przebić niezwykle twardego kamienia murów starożytnej świątyni. Luke jednak widział rozrzucone szczątki Alderaan i wiedział, że dla operatorów stacji bojowej cały księżyc będzie zaledwie jeszcze jednym abstrakcyjnym zadaniem z przemiany materii i energii.

Mały R2D2 spoczął wygodnie na honorowym miejscu. Końcówki komputerów i banków danych sterczały z jego korpusu na kształt metalicznej fryzury. Ściana ekranów i wskaźników wyświetlała techniczne informacje zmagazynowane na mikrotaśmie w mózgu robota. Trwało to już kilka godzin - wykresy, plany, zależności.

Najpierw zwalniano tempo przepływu informacji, by podać ją do czytników komputerów o bardziej złożonych konstrukcjach. Potem najbardziej istotne dane przekazywane były ludzkim analitykom dla dokładnej oceny. Przez cały czas C-3PO stał obok Artoo i zastanawiał się, w jaki sposób tyle złożonych informacji może się zmieścić w tak prostym robocie.

Główna sala odpraw mieściła się głęboko w murach świątyni. Nad długim, niskim pomieszczeniem dominowało niewielkie podium i potężny ekran. We wnętrzu tłoczyli się piloci, nawigatorzy i liczne jednostki R2. Zniecierpliwieni i czujący się trochę nieswojo Han Solo i Chewbacca stanęli możliwie daleko od podium i zgromadzonych na nim oficerów i senatorów. Solo starał się odszukać w tłumie Luke'a. Pomimo jego zdroworoządkowych argumentów i próśb, ten zwariowany szczeniak opuścił go i przyłączył się do wojskowych pilotów. Nie znalazł go tutaj, dostrzegł jednak i księżniczkę rozmawiającą z jakimś starszym facetem obwieszonym medalami. Kiedy poważny, dystyngowany mężczyzna o wyglądzie człowieka, który widział w życiu już zbyt wiele śmierci, podszedł do ekranu, Korelianin popatrzył na niego z uwagą, podobnie jak wszyscy zebrani. Gdy tylko zapanowała cisza, generał Jan Dodonna ustawił mikrofonik przypięty do piersi i wskazał gestem ręki siedzącą niedaleko grupę.

- Wszyscy znacie tych ludzi - powiedział. - To senatorzy i dowódcy ze światów, które udzieliły nam otwartej lub dyskretnej pomocy. Przybyli, by być wśród nas w chwili, która może się okazać decydująca. Jego wzrok zatrzymywał się na twarzach zebranych w audytorium i nikt na kogo spojrział, nie pozostał nieporuszony.

- Stacja bojowa Imperium, o której wszyscy już słyszeliście, zbliża się do nas od przeciwnej strony Yavina i jego słońca. Daje nam to nieco czasu, ale musimy ją zatrzymać, raz na zawsze, zanim osiągnie ten księżyc, zanim wymierzy w nas swoją broń tak, jak niedawno wymierzyła w Alderaan. Na wzmiankę o tak bezlitośnie zniszczonej planecie groźny pomruk przebiegał przez tłum.

- Stacja - kontynuował Dodonna - jest ciężko opancerzona i ma większą siłę ognia niż połowa floty Imperium. Lecz jej osłona została zaprojektowana dla odpierania prowadzonych na wielką skalę ataków. Niewielki, jedno- czy dwumiejscowy myśliwiec powinien się przemknąć przez jej ekrany. Szczupły, zgrabny mężczyzna przypominający starszą wersję Hana Solo podniósł rękę i wstał. Dodonna spojrział na niego pytająco.

- O co chodzi, Czerwony Dowódco?

Mężczyzna wskazał na ekran ukazujący komputerowy portret stacji bojowej.

- Proszę darować, sir, ale co mogą zrobić nasze myśliwce czemuś takiemu?

- No cóż - zastanowił się Dodonna. - Imperium nie uważało, by jednoosobowa rakietka stanowiła groźbę dla czegokolwiek prócz innego małego statku, na przykład Tie-Fightera. W przeciwnym razie założyliby szczelniejsze ekrany.

Najwyraźniej są przekonani, że ich artyleria potrafi odeprzeć każdy atak lekkich maszyn. Jednak analiza planów zdobytych przez księżniczkę Leię ujawnia coś, co wydaje się słabym punktem w konstrukcji stacji. Duży statek nie zdoła się tam dostać, ale X- lub Y-skrzydłowe myśliwce dadzą

radę. Chodzi o niewielki szyb wentylacyjny. Jego waga wielokrotnie przewyższa rozmiary: jest to niechroniony tunel biegnący bezpośrednio do głównego reaktora zasilającego stację. Ponieważ służy jako zawór awaryjny dla ewentualnej nadwyżki ciepła reaktora, ekran cząsteczkowy jest wykluczony. Bezpośrednie trafienie zainicjuje reakcję łańcuchową, która zniszczy stację. W pokoju rozległy się pełne niedowierzania pomruki. Im bardziej doświadczony był pilot, tym bardziej niemożliwe zdawało mu się to przedsięwzięcie.

- Nie mówiłem, że to będzie łatwe - przypomniał Dodonna. Wskazał na ekran. - Musicie wlecieć w ten korytarz, wyrównać lot nad powierzchnią i dostać się... o, tutaj. Cel ma zaledwie dwa metry średnicy. Potrzebne jest dokładne trafienie pod kątem równo dziewięćdziesiąt stopni, żeby dotrzeć do reaktora. A tylko bezpośrednie trafienie zapoczątkuje reakcję. - Przerwał na chwilę. - Mówiłem, że wylot szybu nie ma osłon cząsteczkowych. Niemniej jednak posiada pełną osłonę przeciwpromienną. To oznacza, że działa energetyczne nie wchodzi w grę. Będziecie musieli użyć torped protonowych.

Niektórzy z pilotów zaśmiali się niewesoło. Jeden z nich, nastolatek, noszący nieprawdopodobne imię Wedge Antilles, zajmował miejsce obok Luke'a. R2D2 był tam także, stojący przy innym R2, który tylko świsnął posepnie. - Dwumetrowy cel na pełnej szybkości... i to z torpedą - parsknął Antilles. - To niewykonalne, nawet dla komputera.

- Wcale nie - zaprotestował Luke. - W domu polowałem ze swojego T-26 na szczury pustynne. Nie były wiele większe niż dwa metry.

- Doprawdy? - zapytał drwiąco młodzik. - Powiedz, kiedy już goniłeś upatrzonego szczura, czy było z nim tysiąc innych uzbrojonych w karabiny laserowe i strzelających do ciebie? - ze smutkiem pokręcił głową. - Wierz mi, jeżeli strzelają choć na tyle dobrze, żeby trafić w stodołę, to nie potrzebują nic więcej przy tej sile ognia.

Jakby chcąc potwierdzić złe przeczucia Antillesa, Dodonna wskazał na łańcuch światełek na wciąż zmieniającym się schemacie.

- Zwróćcie szczególną uwagę na te umocnienia. To wieże ciężkiej artylerii ustawione na osiach równoleżnikowych, a także kilka baterii chroniących kierunki południkowe. W dodatku generatory pola spowodują spore odchylenia nad szybem.

Jak sądzę manewrowalność w tym sektorze będzie mniejsza niż zero trzy. To oświadczenie wywołało głośniejszy pomruk.

- Pamiętajcie - ciągnął generał. - Konieczne jest bezpośrednie trafienie.

Eskadra Żółta da osłonę Czerwonej przy pierwszym ataku, Zielona będzie osłaniać Błękitną przy drugim. Jakiego pytania?

W pomieszczeniu rozległ się przytłumiony szum. Wstał jeden z pilotów, szczupły i przystojny - zdawało się nawet, że zbyt przystojny, by poświęcić życie dla czegoś tak abstrakcyjnego jak wolność.

- A jeżeli oba ataki nie powiodą się? Co potem? Dodonna uśmiechnął się powściągliwie.

- Nie będzie żadnego "potem". Pilot wolno kiwnął głową i usiadł. - Czy jeszcze ktoś?

Panowała brzemienna oczekiwaniem cisza.

- A więc do raket, I niech moc będzie z wami. Mężczyźni, kobiety i roboty ruszyli do wyjścia, podobni do oliwy wyciekającej z płytkiego naczynia.

Windy szumiały, wnosząc wciąż kolejne śmiercionośne sylwetki z podziemi do głównego hangaru świątyni. Luke, Threepio i R2D2 szli wolno w stronę wyjścia, nie zwracając uwagi ani na tłum pilotów, ani na zespoły mechaników dokonujących ostatnich kontroli, ani na snopy iskier wyrzucanych przez rozłączane kable. Wpatrywali się za to w dwie znajome postacie.

Solo i Chewbacca ładowali stos niewielkich metalowych skrzynek do opancerzonego śmigacza. Czynność ta zajmowała ich całkowicie - ignorowali zupełnie przygotowania dziejące się wokół nich. Solo na chwilę podniósł głowę, spojrzał na zbliżającego się Luke'a i roboty, po czym powrócił do załadunku. Chłopiec przyglądał mu się smutno; w jego duszy wrzały sprzeczne emocje. Solo był

zarozumiały, lekkomyślny, nietolerancyjny i samolubny. Był też odważny do przesady, pomocny i zawsze czarujący. Ta kombinacja tworzyła przyjaciela dość kłopotliwego - ale jednak przyjaciela.

- Dostałeś swoją nagrodę - odezwał się wreszcie chłopak, wskazując stos skrzynek. - I odchodzisz?
- Zgadza się, mały. Mam parę starych długów do spłacenia, a nawet gdybym nie miał, to chyba nie byłbym taki głupi, żeby tu zostawać - spojrzał na chłopca uważnie. - Jesteś niezły w walce, mały. Czemu nie polecisz z nami? Znajdę ci coś do roboty.

Ta wypowiedź doprowadziła Luke'a do szału. - Dlaczego się nie rozejrzysz i nie popatrzysz dla odmiany na coś innego niż własny zysk? Wiesz, co tu będzie się działo, z kim ci tutaj będą walczyć! Potrzebują dobrych pilotów. Ale ty odwracasz się od nich plecami. Korelianin nie wyglądał na zdenerwowanego tą poradą.

- Co komu z nagrody, jeśli nie może jej wydać? Atakowanie tej stacji nie mieści się w mojej definicji odwagi. To raczej samobójstwo.

- Tak... Uważaj na siebie, Han - mruknął Luke, a odwracając się powiedział cicho: - Ale w tym akurat jesteś najlepszy, prawda?

Ruszył wraz z robotami w głąb hangaru. Solo spojrzał za nim z wahaniem.

- Hej, Luke! - krzyknął. - Niech moc będzie z tobą!

A kiedy chłopiec odwrócił się, mrugnął porozumiewawczo. Luke pomachał ręką i znikł w tłumie mechaników i robotów.

Solo wrócił do pracy. Podniósł skrzynkę... i zatrzymał się. Chewbacca wpatrywał się w niego nieruchomo.

- No, czego się gapisz, ponuraku? Wiem, co robię! Do roboty!

Wolno, nie spuszczać oczu ze swego partnera, Wookie zajął się przenoszeniem ciężkich pojemników. Smutne myśli rozwiały się, gdy tylko Luke dostrzegł drobną, szczupłą sylwetką czekającą obok jego statku - statku, który mu dano.

- Jesteś pewien, że tego właśnie chciałeś? - spytała księżniczka Leia. - Może się okazać, że ta nagroda niesie śmierć. Luke z zachwytem wpatrywał się w smukły metalowy kształt.

- Tego chciałem. Bardziej niż cegokolwiek na świecie.

- Więc co się stało?

Chłopiec obejrzał się i wzruszył ramionami.

- Chodzi o Hana. Myślałem, że zmieni zdanie. Miałem nadzieję, że przyłączy się do nas.

- Każdy człowiek musi iść własną drogą - jej głos stał się głosem senatora. - Nikt nie może jej wybrać za niego. Priorytety Hana Solo różnią się od naszych. Chciałabym, by było inaczej, lecz nie umiem go potępić - stanęła na palcach i pocałowała go szybko, jakby z zakłopotaniem. Potem odwróciła się. - Niech moc będzie z tobą - rzuciła odchodząc.

- Chciałbym tylko - mruknął pod nosem Luke, podchodząc do statku - żeby Ben tu był.

Był tak pochłonięty myślami o Kenobim, księżniczce i Hanie, że nie zauważył człowieka, który niespodziewanie chwycił go za ramię. Obejrzał się i jego irytacja minęła natychmiast, gdy tylko rozpoznał, kto go zaczepił.

- Luke! - wykrzyknął tamten. - Nie do wiary! Skąd się tu wziąłeś? Lecisz z nami?

- Biggs! - Luke mocno uścisnął przyjaciela. - Oczywiście, że będę tam z wami - posmutniał nagle. - Zresztą nie mam już wyboru. - Po chwili jednak poweselał znowu. - Tak wiele mam ci do opowiadania....

Głośne okrzyki i wybuchy śmiechu obu przyjaciół wyraźnie kontrastowały z powagą innych ludzi w hangarze. Zwróciło to uwagę starszego mężczyzny o wyglądzie weterana, znanego młodszym pilotom tylko jako Błękitny Dowódca.

Jego twarz wyrażała zainteresowanie. Była to twarz spalona tym samym ogniem, który migotał w jego oczach, płomieniem podtrzymywanym nie rewolucyjną gorączką, lecz latami, w czasie których przeżył i widział zbyt wiele niesprawiedliwości. Teraz interesowała go ta para młodych ludzi,

którzy za kilka godzin będą prawdopodobnie cząsteczkami zamrożonego mięsa latającymi wokół Yavina.

Rozpoznał jednego z nich.

- Czy nie nazywasz się Luke Skywalker? Sprawi cię na Incomie T-65?

- Sir - wtrącił Biggs, zanim jego przyjaciel zdążył odpowiedzieć - Luke jest najlepszym pilotem w obszarach zewnętrznych. Starszy mężczyzna poklepał Luke'a po ramieniu i spojrzał na statek oczekujący startu.

- Jest się czym chwalić. Sam mam ponad tysiąc godzin na skoczku Incoma. - Przerwał na chwilę. - Kiedyś spotkałem twojego ojca. Byłem wtedy małym chłopcem. To był wspaniały pilot. Tam w górze na pewno pójdzie dobrze. A jeśli jesteś choć w połowie tak dobry jak twój ojciec, to pójdzie ci o wiele lepiej niż dobrze.

- Dziękuję, sir. Będę się starał.

- Sterowanie X-skrzydłowcem T-65 niewiele się różni od prowadzenia skoczka - kontynuował Błękitny Dowódca. - Tyle że - uśmiechnął się okrutnie - ładunek jest nieco innego typu.

Odwrócił się i ruszył do swego myśliwca. Nie było czasu nawet na jedno pytanie z tysiąca, które chciał mu jeszcze zadać Luke.

- Muszę się pakować na pokład, Luke. Opowiesz mi to wszystko, kiedy wrócimy, dobrze?

- Dobra. Mówiłem ci, Biggs, że kiedyś tu trafię. - Mówiłeś - Biggs poprawiając swój skafander szedł już w stronę zespołu rakiet. - Znow będzie jak za dawnych czasów. Jesteśmy parą asów, których nikt nie zatrzyma.

Luke roześmiał się. Kiedyś pocieszali się tym zdaniem, kiedy pilotowali gwiazdoloty z piasku i desek, ukryci za łuszczącymi się, dziurawymi ścianami domów Anchorhead... lata, długie lata temu. Raz jeszcze Luke spojrzał na swój statek, podziwiając jego groźną sylwetkę. Mimo zapewnień Błękitnego Dowódcy musiał przyznać, że nie bardzo przypominał skoczek Incoma. R2D2 był właśnie mocowany do gniazda R2 za kabiną myśliwca. Obok stał humanoidalny robot, ze smutkiem obserwując operację, i przestępując z nogi na nogę.

- Trzymaj się mocno - pouczał małego robota C-3PO. - Musisz wrócić. Jeżeli nie wrócisz, to na kogo będę krzyczał? - u Threepio argument ten świadczył o głębokich przeżyciach emocjonalnych.

Artoo zabuczał uspokajająco do przyjaciela. Luke wspiął się do kabiny. W głębi hangaru widział Błękitnego Dowódcę siedzącego już w fotelu akceleracyjnym i dającego sygnały obsłudze technicznej. Huk w hangarze potęgował się stale, gdy kolejne maszyny uruchamiały silniki. W zamkniętym obszarze świątyni ryk był ogłuszający.

Coś zastukało w jego hełm. Obejrzał się - główny mechanik pochylał się w jego stronę, ale i tak musiał krzyżeć, by być słyszany w potwornym hałasie.

- Ten twój R2 wygląda na solidnie zużyty. Dać ci nowego?

Zanim odpowiedział, Luke spojrzał przelotnie na Artoo, który umieszczony w swoim gnieździe wydawał się stałą częścią myśliwca.

- Nigdy w życiu. Ten robot i ja wiele razem przeszliśmy. Wszystko w porządku, Artoo?

Automat odpowiedział uspokajającym gwizdem. Mechanik zeskoczył i Luke zaczął końcowy przegląd aparatury. Z wolna docierało do niego, na co się porywają. Lecz żadne uczucia nie mogły już zmienić jego decyzji. Nie był już jednostką działającą wyłącznie dla zaspokojenia indywidualnych potrzeb. Coś nowego połączyło go teraz z każdym mężczyzną, każdą kobietą w tym hangarze.

Wokół niego rozgrywały się sceny pożegnań - niektóre poważne, inne żartobliwe, wszystkie pełne emocji maskowanej przez pośpiech. Luke odwrócił wzrok - jeden z pilotów żegnał się z mechanikiem - zapewne siostrą lub żoną, a może po prostu przyjaciółką - gwałtownym, czułym uściskiem. Zastanawiał się, ilu z nich ma swoje własne drobne porachunki do wyrównania z Imperium. Coś zatrzeszczało w hełmie. W odpowiedzi przesunął niewielką dźwignię. Statek potoczył się do przodu, wolno, lecz z rosnącą prędkością zbliżając się do bramy świątyni.

Rozdział XI

Leia Organa siedziała przed olbrzymim ekranem ukazującym Yavin i jego księżyc. Czerwony punkt przesunął się jednostajnie w stronę czwartego z satelitów. Za Księżniczką stał Dodonna i kilku innych przywódców Sprzymierzenia, także wpatrzonych w ekran. Wokół księżyca pojawiły się maleńkie zielone punkty, gromadzące się razem, niby chmury szmaragdowych komarów.

Dodonna uspokajającym gestem położył dłoń na ramieniu Lei.

- Kolor czerwony oznacza stację bojową Imperium wchodzącą coraz głębiej w układ Yavina.

- Nasze myśliwce wystartowały - oświadczył stojący za nim komandor.

Samotny człowiek stał w cylindrycznej kabinie na szczycie wieży wąskiej jak ostrze rapiera. Wpatrzony w zamocowaną na stałe elektrolornetę był jedynym widocznym reprezentantem potężnej technologii ukrytej w zielonym piekle planety.

Przytłumione jęki, wrzaski, bulgotania dobiegały do niego ze szczytów najwyższych drzew. Niektóre budziły lęk, inne nie, lecz żaden nie wyrażał trzymanej w ryzach siły, tak jak cztery srebrzyste gwiazdoloty, które pojawiły się nagle nad obserwatorem. Utrzymując ścisły szyk, przebiły atmosferę, by zniknąć wśród chmur. W chwilę później huk wstrząsnął koronami drzew w daremnym wysiłku dogonienia wytwarzających go silników.

Stopniowo wchodząc w formację bojową składającą się z X- i Y-skrzydłowych statków, myśliwce oddalały się od księżyca, omijały płaszcz atmosferyczny olbrzymiego Yavina i mknęły na spotkanie mechanicznego kata.

Mężczyzna, który poprzednio obserwował rozmowę Luke'a i Biggsa, teraz opuścił świetlny filtr hełmu i wyregulował półautomatyczne celowniki. Spojrzał na lecące po obu stronach myśliwce.

- Uwaga, Błękitni - rzucił do intromitu. - Tu Dowódca. Ustawić selektory i do szyku! Podchodzimy do celu z jeden koma trzy...

W dali lśniła coraz mocniej jasna kula, wyglądająca na któryś z księżyców Yavina. Błyszczała jednak dziwnym metalicznym blaskiem, jak żaden naturalny satelita. Błękitny Dowódca patrzył na gigantyczną stację bojową wynurzającą się zza krawędzi dysku planety, lecz myślami był w przeszłości. Wspominał niezliczone niesprawiedliwości, zabranych na przesłuchania niewinnych, o których słuch zaginął - ogrom zła wyrządzonego przez wciąż bardziej skorumpowany i obojętny rząd Imperium. Wszystkie lęki i cierpienia ucieleśniły się teraz w tym rozdętym osiągnięciu techniki, do którego się zbliżali.

- O to chodziło, chłopcy - powiedział do mikrofonu. - Błękitni Dwa jesteście za daleko. Dołącz, Wedge. Młody pilot, którego Luke poznał w sali odpraw, spojrzał na prawą burzę, potem na swoje przyrządy. Zmarszczył brwi i poprawił coś na tablicy rozdzielczej.

- Przepraszam, szefie. Zdaje się, że mój dalmierz pokazuje o parę punktów za mało. Będę musiał przejść na ręczną.

- Zrozumiałem, Dwójka. Pilnuj się. Uwaga wszyscy: przygotować się do przejścia w pozycję bojową. - Gotów... - napływały kolejne potwierdzenia, najpierw od Luke'a i Biggsa, potem Wedge'a i pozostałych pilotów Błękitnej eskadry.

- Wykonać - polecił Błękitny Dowódca, gdy John D. i Świnka jako ostatni zgłosili gotowość.

Podwójne płaty X-skrzydłowych myśliwców rozsunęły się. Każdy gwiazdolot miał teraz cztery skrzydła. W ten sposób umieszczone na ich końcach działka i poczwórne silniki osiągnęły maksymalną siłę ognia i zdolność manewrową.

Przed nimi rosła stacja bojowa Imperium. Widać już było ukształtowanie jej powierzchni. Każdy z pilotów rozpoznawał punkty dokowania, anteny nadawcze i stworzone przez człowieka góry i kaniony.

Po raz drugi w życiu zbliżając się do groźnej czarnej kuli, Luke zaczął oddychać szybciej. Układ podtrzymywania życia wykrył to natychmiast i zrekompensował podwyższony pobór tlenu. Statek zaczął nagle dygotać, jakby chłopiec znowu siedział w skoczku, walcząc ze zmiennymi wiatrami

Tatooine. Luke przeżył przykry moment niepewności, lecz wkrótce w słuchawkach zabrzmiał uspokajający głos Błękitnego Dowódcy.

- Przechodzimy przez ich osłony zewnętrzne. Trzymajcie się mocno. Zablokować całą automatykę i uruchomić własne deflektory. Pełna moc.

Wstrząsy i drgania trwały nadal, a nawet się nasilały. Nie wiedząc jak temu zaradzić, Luke robił dokładnie to, co należało: utrzymywał kontrolę nad statkiem i wykonywał rozkazy. Wkrótce zaburzenia minęły i powrócił śmiertelny spokój kosmosu.

- Dobrze jest, przeszliśmy - poinformował spokojnie Dowódca. - Cisza na wszystkich kanałach, dopóki nie będziemy nad niani. Wygląda na to, że nie spodziewają się poważniejszych kłopotów.

Wprawdzie połowa stacji pozostawała w cieniu, lecz byli już na tyle blisko, że można było rozróżnić pojedyncze światła na jej powierzchni. Statek, który przechodzi swe fazy jak księżyc... Raz jeszcze Luke zamyślił się nad owym błędnie ukierunkowanym geniuszem technicznym i wysiłkiem włożonym w budowę stacji. Tysiące światełek błyszczących na sferycznej powierzchni sprawiało, że wyglądała jak latające miasto. Na towarzyszach Luke'a wywierało to jeszcze silniejsze wrażenie - widzieli ją przecież po raz pierwszy.

- Rany, jaka wielka! - jęknął Wedge w mikrofon. - Zamknij się, Dwójka - rzucił Błękitny Dowódca. - Przyspieszamy do prędkości szturmowej.

Z ponurą determinacją Luke przetrząsnął kilka dźwigni nad głową i zaczął ustawiać komputerowy namiar celu. R2D2 obserwował wciąż stację, zatopiony w swych nieprzetłumaczalnych elektronicznych myślach.

Błękitny Dowódca wyliczył położenie planowanego celu.

- Uwaga, Czerwony, tu Błękitny! - zawołał do mikrofonu. - Osiągnęliśmy pozycję. Szyb wentylacyjny jest kawałek na północ od nas. Postaramy się ich tu czymś zająć.

Czerwony Dowódca był fizycznym przeciwieństwem szefa eskadry Luke'a. Wyglądał tak, jak zwykle ludzie wyobrażają sobie urzędnika bankowego: niewysoki, szczupły, o przeciętnej twarzy. Jednak umiejętnościami i poświęceniem w niczym nie ustępował staremu przyjacielowi.

- Ruszamy do tego szybu, Dutch. Bądź gotów przejąć, gdyby coś się stało.

- Zrozumiałem - brzmiała odpowiedź. - Zaraz przelecimy nad ich równikiem i spróbujemy ściągnąć ogień na siebie. Niech moc będzie z wami!

Z roju statków wyrwały się dwie eskadry, X-skrzydłowce zanurkowały wprost ku stacji, natomiast M-myśliwce zatoczyły łuk, kierując się bardziej ku północy.

We wnętrzu stacji rozległo się ponure wycie syren alarmowych. Jej personel zdał sobie sprawę, że ta niezdobytą forteca została zaatakowana. Admirał Motti i jego taktycy spodziewali się, że opór rebeliantów będzie skoncentrowany wokół samego księżyca. Nie byli przygotowani na ofensywny manewr dziesiątków małych stateczków.

Charakterystyczna dla sił Imperium dobra organizacja miała zrekompensować to strategiczne niedopatrzenie. Żołnierze pędzili na stanowiska obronne. Warczały serwomotory, gdy potężne silniki kierowały działa na cel. Promienie laserów, ładunki elektryczne i pociski wybuchowe pomknęły ku zbliżającym się statkom buntowników i wkrótce całą stację otoczyła bariera anihilacji.

- Tu Błękitny Pięć - powiedział do mikrofonu Luke, starając się nagłym przejściem w lot nurkowy zmylić predyktory wroga. Szara powierzchnia stacji przesuwiała się za osłoną jego kabiny. - Schodzę do ataku.

- Idę za tobą, Błękitny Pięć - zabraniał mu w uszach głos Bigssa.

Obiekt tkwił nieruchomo w celowniku Luke'a podczas gdy jego pojazd sam był niemal nieuchwytny dla obrońców. Z dział małego myśliwca pomknęły w dół pociski. Jeden z nich wywołał solidny pożar na powierzchni - pożar, który miał płonąć, póki załoga stacji nie zdołała odciąć dopływu powietrza do uszkodzonego sektora. Radość chłopca zmieniła się w przerażenie,

gdy zrozumiał, że statek nie zdoła skręcić na czas, by uniknąć przejścia przez kulę ognia.

- Ciągnij, Luke, ciągnij! - wrzeszczał do niego Biggs.

Lecz mimo rozkazów układy zabezpieczenia nie dopuszczały do zbyt ostrego zakrętu. Myśliwiec wpadł w rosnącą kulę przegrzanych gazów. I nagle był już po drugiej stronie. Pospieszna kontrola przyrządów uspokoiła Luke'a. Przejście przez obszar wysokiej temperatury nie spowodowało poważniejszych uszkodzeń, choć na wszystkich czterech skrzydłach widoczne były pasma zwęglonego poszycia - świadectwo tego, jak niewiele dzieliło go od śmierci.

Wokół statku wykwitły ogniste kwiaty, kiedy chłopak ostym zwrotem wyrwał go w górę.

- Wszystko w porządku, Luke? - napłynął niespokojny głos Biggsa.

- Trochę mnie przypiekło, ale w porządku.

- Błękitny Pięć - zabrzmiał inny, poważny głos. - Następnym razem lepiej zostaw sobie trochę więcej czasu, bo rozlecisz się razem z celem.

- Tak jest, sir. Tak, jak pan mówił, to nie jest dokładnie to samo, co skoczek.

Ładunki energii i jaskrawe jak słońce błyski laserów nadal tworzyły wokół stacji chromatyczny labirynt. Powstańcze myśliwce tańczyły nad jej powierzchnią, strzelając do wszystkiego, co wyglądało na porządny cel. Dwa z tych małych stateczków skoncentrowały swój ogień na terminalu energetycznym. Konstrukcja wybuchła, ciskając we wszystkie strony elektryczne łuki rozmiarów błyskawicy. Wewnątrz kolejne eksplozje niszczyły szturmowców, roboty i sprzęt, w miarę, jak efekty wybuchu rozchodziły się wzdłuż rozmaitych kabli i obwodów. Tam, gdzie trafienie naruszyło pancierz stacji, uciekająca atmosfera wysysała bezradnych żołnierzy i androidy w bezdenny czarny grobowiec.

Darth Vader przechodził z pozycji na pozycję, jak ostoja mrocznego spokoju wśród chaosu. Zdenerwowany komandor podbiegł do niego i powiedział zdyszany:

- Lordzie Vader, jest ich co najmniej trzydzieści - dwóch typów. Są tak małe i szybkie, że obsługa wież nie jest w stanie dokładnie namierzyć. Udaje się im unikać naszych predyktorów.

- Posłać wszystkie załogi T do maszyn. Musimy wyjść do nich i niszczyć statek po statku.

W licznych hangarach zapaliły się czerwone sygnalizatory, zawyły syreny alarmowe. Obsługa naziemna w pośpiechu kończyła ostatnie przygotowania, a ubrani w skafandry piloci Imperium wkładali hełmy i dopasowywali wyposażenie osobiste.

- Błękitny Pięć - odezwał się Błękitny Dowódca. - Poinformuj, kiedy przejdiesz przez blokadę.

- Przechodzę.

- Uważaj - powiedział głos z głośnika w kabinie. - Duże nasilenie ognia z prawej strony tej wieży deflekcyjnej.

- Widzę nie ma zmartwienia - odrzekł lekceważąco Luke. Jego myśliwiec wszedł w korkociąg i po raz kolejny przemknął nad metalicznym horyzontem. Anteny i niewielkie umocnienia wybuchały płomieniem, trafione przez promienie ze śmiertelną precyzją emitowane z końców płatów X-skrzydłowca. Uśmiechnął się, podciągając maszynę do góry w chwili, gdy ogień osłony trafił w miejsce, gdzie był jeszcze ułamek sekundy wcześniej. Niech go licho porwie, jeżeli to nie było podobne do polowania na szczury pustynne w domu, wśród zwietrzałych skał Tatooine. Biggs leciał zaraz za nim. W dole piloci Imperium byli już gotowi do startu. Mechanicy na stanowiskach w pośpiechu odłączali kable zasilania i kończyli ostatnie przeglądy.

Ze szczególną starannością przygotowywano czekającą tuż przy luku wyjściowym maszynę, do której i z trudnością wcisnął swą potężną postać Darth Vader.

Gdy tylko zajął miejsce w fotelu pilota, nasunął na oczy dodatkowy zestaw filtrów świetlnych. Atmosfera w sali dowodzenia w świątyni była coraz bardziej nerwowa. Błyski i trzaski rozlegające się z głównego ekranu zagłuszały ciche rozmowy ludzi, starających się dodać sobie odwagi i podtrzymać wzajemnie na duchu. Pochylony nad masą mrugających światełek technik spojrzał uważnie na czujniki i odezwał się do zawieszzonego przed twarzą mikrofonu:

- Uwaga, dowódcy eskadr! Uwaga, dowódcy eskadr! Odebraliśmy sygnały z przeciwnej strony stacji. Nieprzyjacielskie myśliwce wchodzą do akcji.

Luke usłyszał tę wiadomość równocześnie z pozostałymi i natychmiast zaczął obserwować niebo w poszukiwaniu wrogich maszyn. Potem rzucił okiem na przyrządy.

- Odczyt zerowy - powiedział do mikrofonu. - Nic nie widzę.

- Kontynuować obserwację wizualną - polecił Błękitny Dowódca. - W całym tym zagęszczeniu energii będą nad wami, zanim złapią ich skanery. Pamiętajcie, są w stanie zablokować każdy układ w maszynie z wyjątkiem waszych oczu.

Luke obejrzał się znowu i tym razem zobaczył myśliwiec Imperium ścigający X-skrzydłowca... X-skrzydłowca z numerem, który natychmiast rozpoznał.

- Biggs! - krzyknął. - Masz jednego... na ogonie! Uważaj!

- Nie widzę - dosłyszał odpowiedź przyjaciela. - Gdzie on jest? Nie widzę go.

Luke obserwował bezradnie, jak maszyna Biggsa odskoczyła od powierzchni stacji w czystą przestrzeń, a tuż za nią myśliwiec nieprzyjaciela. Pilot Imperium ciągle strzelał, a każdy kolejny pocisk zdawał się przelatywać odrobinę bliżej kadłuba statku Biggsa.

- Trzyma się za mną - odezwał się głośnik Luke'a. - Nie mogę go zgubić.

Ostym skretem Biggs zawrócił w stronę stacji bojowej, lecz jego przeciwnik był uparty i nie przejawiał ochoty do rezygnacji z pościgu.

- Trzymaj się, Biggs! - krzyknął Luke, zawracając maszynę tak ostro, że zawyły przeciążone żyroskopy. - Idę da ciebie.

Nieprzyjacielski pilot był tak zajęty swoją ofiarą, że nie dostrzegł Luke'a, który ciasną pętlą oddalił się od maskującej szarości powierzchni i znalazł się za nim.

Sterowane odczytem komputera linie elektronicznego celownika skrzyżowały się na ekranie i Luke przycisnął spust. W przestrzeni nastąpiła eksplozja - niewielka w porównaniu z gigantycznymi ilościami energii wyrzucanej przez wieże obrony.

Eksplozja ta miała jednak szczególne znaczenie dla trzech ludzi: Luke'a, Biggsa, a przede wszystkim dla pilota Tie-Fightera, który wyparował razem z maszyną.

- Załatwiłem go - mruknął chłopiec.

- Zrąbałem jednego! Zrąbałem! - dobiegł z intercomu głośny okrzyk tryumfu. Luke rozpoznał głos młodego pilota znanego jako John D. Tak, to Błękitny Sześć ścigał maszynę Imperium, wystrzelując nad metalową powierzchnią serię pocisków, póki Tie-Fighter nie rozpadł się na połowy, a jego metalowe części jak liście rozleciały się na wszystkie strony.

- Dobra robota, Błękitny Sześć - pochwalił dowódca eskadry. - Uważaj, na ogonie masz następnego. Radosny uśmiech młodego pilota znikł jak zdmuchnięty. Zaczął rozglądać się nerwowo. Nie mógł dostrzec przeciwnika. Coś błysnęło obok, tak blisko, że rozpadł się prawy iluminator. Potem coś uderzyło jeszcze bliżej i wewnątrz otwartej kabiny stanęło w płomieniach.

- Trafili mnie! Trafili!

Tyle tylko zdążył powiedzieć, nim dosięgła go śmierć. Wysoko nad sobą, trochę z boku, Błękitny Dowódca zobaczył, jak maszyna Johna D. zmienia się w kulę ognia. Być może zbieleły mu nieco wargi. Gdyby nie to, można by sądzić, że nie widział eksplodującego X-skrzydłowca. Miał ważniejsze sprawy na głowie, niż komentowanie tej tragedii.

Na czwartym księżycu Yavina wielki ekran w tej właśnie chwili zamigotał i zgasł, tak samo jak John D. Technicy biegali nerwowo we wszystkie strony. Jeden z nich zatrzymał się przy Lei, wyczekujących dowódcach i złościstym robocie.

- Przestał działać odbiornik wysokopasmowy. Naprawa zajmie trochę czasu.

- Róbcie, co się da - rzuciła Leia. - Na razie przełączcie na fonie.

Ktoś dosłyszał polecenie i już po chwili sala wypełniła się odgłosami dalekiej bitwy przerywanej rozmowami tych, którzy uczestniczyli w niej bezpośrednio.

- Ostro zakręt, Błękitny Dwa - mówił Błękitny Dowódca. - Uważaj na te wieże.

- Silny ogień, szefie - dobiegł głos Wedge'a Antillesa. - Dwadzieścia trzy stopnie.

- Widzę. Cofnijcie się. Osłona jest zbyt silna.

- Nie do wiary! - Biggs był wstrząśnięty. - Nigdy w życiu nie widziałem takiej siły ognia.

- Błękitny Pięć, wycofaj się. Zawracaj. - Chwila ciszy. - Luke, słyszysz mnie? Luke?

- Wszystko w porządku, szefie - nadpłynęła odpowiedź Luke'a. - Trzymam cel. Chcę go załatwić. - Za silna obrona, chłopcze - odezwał się Biggs. - Zawracaj. Słyszysz mnie, Luke? Wracaj!

- Zawracaj, Luke - rozkazał niższy głos Błękitnego Dowódcy. - Zbyt silny ogień zaporowy, Luke, powtarzam, zawracaj! Nie widzę go, Błękitny Dwa, czy widzisz Błękitnego Pięć?

- Nie - odpowiedział szybko Wedge. - Tam jest strefa ognia, aż trudno uwierzyć. Mój skaner jest zablokowany. Błękitny Pięć, gdzie jesteś? Luke, co z tobą?

- Zestrzelony - zaczął ponuro Biggs. Potem krzyknął: - Nie, czekajcie, mam go! Chyba ma trochę uszkodzone płyty, ale poza tym w porządku.

W sali dowodzenia wszyscy odetchnęli z ulgą. Na twarzy najmłodszego i najładniejszego z senatorów radość była najbardziej widoczna. Na stacji bojowej nowe załogi zastąpiły śmiertelnie zmęczonych i na pół ogłuszonych hukami dział żołnierzy. Nikt z nich nie miał czasu, by zastanawiać się nad przebiegiem bitwy. Chwilowo zresztą żadnego z nich specjalnie to nie obchodziło - cecha wszystkich żołnierzy od początku historii świata.

Luke zszedł ryzykownie nisko nad powierzchnię stacji. Jego uwagę przyciągała daleka metaliczna wieża. - Nie oddalaj się, Błękitny Pięć - polecił mu dowódca eskadry. - Gdzie znowu lecisz?

- Widzę coś, co wygląda na boczny stabilizator - odparł Luke. - Chcę to sprawdzić.

- Uważaj, Błękitny Pięć. Ciężki ogień w tym rejonie.

Luke nie słuchał ostrzeżeń; skierował myśliwiec prosto ku dziwnie ukształtowanej wieży. Jego zdecydowanie zostało nagrodzone - kiedy otworzył ogień, zobaczył, jak konstrukcja wybucha, tworząc widowiskową kulę supergorącego gazu.

- Załatwiłem go! - wykrzyknął. - Ciągnę dalej na południe. Poszukam jeszcze czegoś.

W powstańczej fortecy Leia z uwagą nasłuchiwała rozmów pilotów. Wydawała się jednocześnie zirytowana i przestraszona. Wreszcie odwróciła się do Threepio.

- Dlaczego Luke tak ryzykuje? - szepnęła. Wysoki robot nie odpowiedział.

- Uważaj na ogon, Luke - rozległ się z głośników głos Biggsa. - Myśliwiec nad tobą. Atakuje!

Leia napięła mięśnie, jakby za wszelką cenę starała się zobaczyć to, co mogła jedynie słyszeć. Nie była w tym osamotniona.

- Pomóż mu, Artoo - szeptał Threepio. - I trzymaj się!

Luke nie zmienił kierunku lotu, póki szybkie spojrzenie w tył nie ujawniło przeciwnika, o którym mówił Biggs. Niechętnie ściągnął stery i wyprowadził maszynę w górę. Tamten był jednak dobry - zbliżał się nadal.

- Nie mogę go zgubić - zameldował chłopiec. Coś przemknęło po niebie, zbliżając się do obu maszyn.

- Siedzę na nim, Luke - krzyknął Wedge Antilles. - Trzymaj się!

Nie trwało to długo. Wedge strzelał celnie i wkrótce Tie-Fighter rozpadł się w jaskrawym błysku.

- Dzięki, Wedge - mruknął Luke oddychając z ulgą.

- Dobra robota, Wedge - to znowu Biggs. - Błękitny Cztery, atakuję. Osłaniaj mnie, Porkins.

- Idę za tobą, Trójka - napłynęła odpowiedź. Biggs wyrównał i dał salwę ze wszystkich luf. Nikt nigdy nie rozstrzygnął, co właściwie trafił, lecz niewielka wieżyczka, która rozpadła się pod jego ogniem, była najwyraźniej ważniejsza, niż by się wydawało. Przeskakujące od terminalu do terminalu wybuchy przeorały powierzchnię stacji. Biggs przeskoczył już przez niebezpieczny obszar, lecz jego towarzysz wziął na siebie pełną moc szalejącej w dole energii.

- Mam kłopoty - poinformował Porkins. - Coś się dzieje z moim konwerterem.

To było delikatne określenie. Każdy przyrząd na jego tablicy kontrolnej zachowywał się tak, jakby nagle dostał szau.

- Katapultuj się, Czwórka. Skacz - poradził Biggs. - Błękitny Cztery, słyszysz mnie?

- Nie ma sprawy - odpowiedział Porkins. - Utrzymam maszynę. Zrób mi trochę miejsca na manewr, Biggs.

- Jesteś za blisko! - krzyknął tamten. - Ciągnij w górę! Ciągnij!

Z instrumentami nie dającymi właściwej informacji i na niewielkiej wysokości, Porkins był łatwym kąskiem dla jednej z dużych, niezgrabnych wież artyleryjskich. W tym wypadku jej mechanizmy zadziały tak, jak planowali to konstruktorzy. Zgon pilota był równie nagły, jak jaskrawy błysk.

W okolicy bieguna stacji bojowej panował spokój. Ataki eskadr Błękitnej i Zielonej w okolicach równika były tak gwałtowne i groźne, że tam właśnie skoncentrowała się cała obrona. Czerwony Dowódca z posępną satysfakcją obserwował ten fałszywy spokój. Wiedział, że nie potrwa długo.

- Błękitny, tu Czerwony - powiedział do mikrofonu. - Rozpoczynamy przelot bojowy. Szyb wentylacyjny zlokalizowany i oznaczony. Nie ma artylerii, nie ma myśliwców przeciwnika... na razie. Wygląda na to, że przynajmniej jedną kolejkę będziemy mieli spokojną.

- Zrozumiałem, Czerwony - odezwał się głos przyjaciela. - Postaramy się ich czymś zająć.

Trzy Y-skrzydłowe myśliwce spłynęły z gwiazd ku powierzchni stacji. W ostatnim możliwym momencie zmieniły kurs i zanurkowały w głęboki, sztuczny kanion, jeden z wielu przebiegających w pobliżu północnego bieguna Gwiazdy Śmierci. Otaczające je z trzech stron metalowe ściany uciekały w tył. Czerwony Dowódca rozejrzył się dookoła, stwierdził chwilową nieobecność myśliwców przeciwnika i uruchomił intercom.

- To jest to, chłopcy - powiedział. - Pamiętajcie, kiedy będzie się wam wydawać, że jesteście już bliska, to podejdźcie jeszcze bliżej, zanim zrzucicie tę paczkę. Przerzucicie pełną moc na deflektory czołowe. Nieważne, co rzucą na was z boków, teraz nie możemy się tym przejmować.

Żołnierze Imperium ze zdziwieniem stwierdzili, że ich ignorowany do tej pory sektor został nagle zaatakowany. Zareagowali szybko i wkrótce coraz więcej pocisków mknęło na spotkanie atakujących myśliwców. Od czasu do czasu któryś z nich eksplodował w pobliżu Y-skrzydłowca i wstrząsał nim, nie robiąc jednak poważniejszej szkody.

- Agresywni są, nie? - rzucił do mikrofonu Czerwony Dwa.

Czerwony Dowódca zachowywał spokój.

- Jak oceniasz, Czerwony Pięć, ile mają dział? - zapytał.

Czerwony Pięć, znany większości pilotów jako Pops, zdołał jakoś ocenić siłę obrony kanionu, jednocześnie manewrując swą maszyną wśród gradu pocisków. Jego hełm był powyginany w takim stopniu, że niemal nie nadawał się już do użytku - efekt walk tak licznych, że niemożliwym się zdawało ich przeżycie.

- Powiedziałbym: jakieś dwadzieścia stanowisk - oświadczył. - Część na powierzchni, część w wieżach.

Czerwony Dowódca mruknięciem potwierdził przyjęcie informacji i nasunął na oczy obiektyw komputera celowniczego. Wybuchy bez przerwy wstrząsały jego maszyną.

- Uruchomić namiar celu - polecił.

- Tu Czerwony Dwa. Komputer znalazł cel. Mam sygnał - głos młodego pilota zdradzał narastające podniecenie.

Najbardziej doświadczony spośród pilotów, Czerwony Pięć, był spokojny i opanowany.

- Nie ma sprawy, to będzie niezła sztuka - mruknął do siebie.

Nieoczekiwanie wszystkie stanowiska obrony zamilkły. Złowróźbna cisza zapanowała w kanionie - jedynie powierzchnia nadal przemykała pod pędzącymi Y-skrzydłowcami.

- Co jest? - rzucił Czerwony Dwa, rozglądając się z niepokojem. - Przestali strzelać. Dlaczego?

- Nie podoba mi się to - burknął Czerwony Dowódca. Nic teraz nie przeszkadzało im w locie, nie musieli unikać pocisków i promieni laserów.

Pops pierwszy domyślił się, co było powodem tego pozornego błędu obrońców.

- Ustabilizować tylne deflektory. Uwaga na myśliwce nieprzyjaciela.

- Trafiliś, Pops - przyznał Czerwony Dowódca, studiując odczyty skanerów. - Nadlatują. Trzy echa na dwa-dziesięć - słyszał mechaniczny głos recytujący liczby określające dystans dzielący ich od

celu, zmniejszający się, lecz nie dość szybko. - Siedzimy tu jak kaczki - stwierdził nerwowo. - Będziemy musieli przez to przejść. Nie możemy jednocześnie się bronić i szukać celu.

Z trudem powstrzymał niemal automatyczne reakcje, gdy jego ekran ukazał trzy Tie-Fightery w ścisłym szyku, prawie prostopadle nurkujące w ich kierunku.

- Trzy osiem jeden zero cztery - poinformował Vader, ustawiając przyrządy. - Biorę ich na siebie. Oslaniajcie mnie.

Czerwony Dwa zgiął pierwszy. Młody pilot nigdy nie miał się dowiedzieć, co go trafiło, ani zobaczyć swego zabójcy. Mimo doświadczenia Czerwony Dowódca niemal uległ panice, gdy zobaczył, jak jego skrzydłowy ginie w ognistej eksplozji.

- Siedzimy tu jak w pułapce! Nie ma miejsca na manewr, te ściany są za blisko. Musimy się jakoś wyrwać. Musimy...

- Trzymaj cel - upomniał starszy głos. - Trzymaj cel.

Słowa Popsa podziały uspokajająco na dowódcę. Z trudem jednak zmuszał się do ignorowania trzech T zbliżających się wciąż do pary pędzących do celu Y-skrzydłowców.

Vader pozwolił sobie na chwilę zadowolenia z siebie. Przystroił komputer celowniczy. Rebeliancka maszyna nadal leciała prostym torem, Czarny Lord dotknął przycisku spustowego. Coś zgrzytnęło w hełmie Czerwonego Dowódcy, a jego tablica przyrządów buchnęła płomieniem.

- Nic z tego - krzyknął w mikrofon. - Trafili mnie, trafili...!

Y-skrzydłowiec zmienił się w lufę gazu. Wybuch cisnął na wszystkie strony metaliczne szczątki myśliwca. Tej straty nawet Czerwony Pięć nie potrafił przyjąć spokojnie. Poruszył sterami i jego maszyna zaczęła wznosić się w górę. Za nim prowadzący Tie-Fighter również skręcił wchodząc na tor pościgowy.

- Czerwony Pięć do Błękitnego Dowódcy - raportował pilot. - Przerywam nalot bojowy. Tie-Fightery weszły na nas jakby znikąd. Nie mogę... czekać...

Z tyłu milczący, pozbawiony skrupułów przeciwnik jeszcze raz przycisnął spust. Pierwsze pociski uderzyły w chwili, gdy Pops wznosił się już na tyle, by móc rozpocząć manewr unikowy. Było to jednak o kilka sekund za późno. Promień lasera przeorał mu lewy silnik, podpalając gazy we wnętrzu. Silnik rozpadł się na kawałki, a wraz z nim układy kontrolne i systemy stabilizacji.

Niezdolny do manewru Y-skrzydłowiec rozpoczął długi, płynny, niekontrolowany lot ku powierzchni.

- Co z tobą, Czerwony Pięć? Wszystko w porządku? - odezwał się niespokojnie głośnik.

- Straciliśmy Tiree... straciliśmy Dutcha - wyjaśnił powoli Pops zmęczonym głosem. - Pojawiają się za tobą, a ty nie możesz manewrować w tej dziurze. Przykro mi... teraz to już wasza sprawa. Cześć, Dave...

To była ostatnia wiadomość od weterana pilotów. Błękitny Dowódca zmusił się do szorstkości, próbując nie myśleć o śmierci przyjaciela.

- Chłopcy, tu Błękitny Dowódca. Spotkanie w punkcie sześć koma jeden. Wszystkie klucze potwierdzić odbiór.

- Błękitny Dziesięć do Dowódcy. Zrozumiałem.

- Tu Błękitny Dwa - odezwał się Wedge. - Lecę, szefie.

Luke czekał na swoją kolej, by się zgłosić, gdy coś zabrzączało na jego tablicy kontrolnej. Rzut oka w tył potwierdził ostrzeżenie elektronicznego systemu - myśliwiec Imperium wchodził mu na ogon.

- Tu Błękitny Pięć - rzucił do mikrofonu starając się równocześnie gwałtownymi zwrotami zgubić przeciwnika. - Mam mały kłopot. Zaraz będę z wami.

Skierował maszynę stromym lotem nurkowym ku powierzchni, po czym wyrwał ją do góry, by uniknąć ognia zaporowego. Żaden z tych manewrów nie pozwolił mu uciec myśliwcowi Imperium.

- Widzę cię, Luke - odezwał się Biggs. - Trzymaj się jeszcze chwilę.

Luke spojrzał w górę, w dół i na boki, lecz nigdzie nie dostrzegł nawet śladu przyjaciela. Tymczasem pociski prześladowcy zaczynały przelatywać niepokojąco blisko.

- Do licha, Biggs, gdzie jesteś?

Coś pojawiło się nagle, lecz nie z boku czy z tyłu, ale niemal na wprost przed nim. Błyszczało i poruszało się niewiarygodnie szybko, a potem zaczęło strzelać tuż nad jego kabiną. Tie-Fighter rozpadł się na kawałki w chwili, gdy jego kompletnie zaskoczony pilot zaczynał pojmować, co się dzieje. Luke zawrócił na miejsce spotkania, a Biggs przemknął nad nim.

- Niezła sztuczka, Biggs. Też dałem się wykiwać. - Dopiero się rozpędzam - odpowiedział przyjaciel, ostym zwrotem unikając ognia z powierzchni. Pojawił się znowu nad ramieniem Luke'a i wykręcił beczkę zwycięstwa. - Pokaż mi tylko cel.

Daleko za nimi, pod powierzchnią Yavina, Dodonna kończył pospieszną naradę ze swymi oficerami.

- Uwaga Błękitny, tu Baza Jeden. Przed rozpoczęciem ataku dokładnie sprawdź maszyny. Skrzydłowi mają trzymać się w tyle i osłaniać cię. Zachowaj połowę eskadry poza zasięgiem obrony z przeznaczeniem do kolejnego nalotu.

- Zrozumiałem, Baza Jeden - brzmiała odpowiedź. - Błękitny Dziesięć, Błękitny Dwanaście, dołączcie do mnie.

Dwie maszyny podciągnęły i zajęły miejsca po obu stronach dowódcy eskadry. Ten, stwierdziwszy, że znajdują się na właściwych pozycjach, wyznaczył następnych - na wypadek, gdyby jego trójce się nie udało.

- Błękitny Pięć, tu Dowódca. Luke, weź ze sobą Dwójkę i Trójkę. Trzymaj się z dala od ich obrony. Na mój sygnał wykonacie atak.

- Zrozumiałem - potwierdził Luke, próbując uspokoić swe bijące szybko serce. - Niech moc będzie z wami. Biggs, Wedge, trzymajcie się blisko.

Trójka myśliwców w ścisłym szyku zajęła pozycję wysoko ponad rejonem, gdzie wciąż wrzała walka między pilotami Zielonej i Żółtej eskadry a artylerzystami stacji.

Horyzont podskoczył przed oczami Błękitnego Dowódcy rozpoczynającego lot ku powierzchni.

- Dziesiątka, Dwunastka, trzymajcie się z tyłu, dopóki nie zobaczycie tych myśliwców, potem osłaniajcie mnie.

Trójka X-ów wyrównała nad powierzchnią i spłynęła do kanionu. Skrzydłowi pozostawali coraz dalej i dalej z tyłu, aż Błękitny Dowódca poczuł się samotny w olbrzymim szatym wąwozie. Obrona milczała. Pilot rozglądał się nerwowo i raz po raz sprawdzał wciąż te same instrumenty.

- To wygląda podejrzanie - mruczał do siebie. Błękitny Dziesięć także był zaniepokojony.

- Powinieneś już mieć namiar celu, szefie.

- Wiem. Tu na dole są niesamowite zakłócenia. Boję się, że przyrządy są do niczego. Czy lecimy do właściwego szybu?

Nagle błysnęły w pobliżu promienie laserów - odezwała się obrona kanionu. Wybuchy pocisków wstrząsały atakującymi maszynami. W dali przed nimi wznosiła się nad metalową granią wysoka wieża, rzucająca w stronę coraz bliższych myśliwców potworne ilości energii.

- Z tą wieżą nie pójdzie nam łatwo - stwierdził ponuro Dowódca. - Przygotujcie się. Kiedy powiem, podciągnijcie trochę bliżej.

Nagle obrona przerwała ogień i w kanionie znowu zapanowała cisza i ciemność.

- To jest to - oświadczył Dowódca, starając się dostrzec nad sobą atakujących, którzy musieli już się zbliżyć. - Uważajcie na te myśliwce.

- Skanery bliskiego i dalekiego zasięgu są czyste - odpowiedział spięty Błękitny Dziesięć. - Za duże zakłócenia. Błękitny Pięć, może ty widzisz ich tam z góry?

Luke uważnie przypatrywał się powierzchni stacji. - Ani śladu... Zaraz! - W jego polu widzenia pojawiły się trzy lecące szybko świetlne punkty. - Są! Nadlatują od zero koma trzy pięć.

Błękitny Dziesięć spojrział we wskazanym kierunku. Słońce błysnęło na stabilizatorach spływającego w dół Tie-Fightera.

- Widzę ich.

- Dobrze lecimy - wykrzyknął Dowódca, gdy jego układ naprowadzający zaczął buczeć równomiernie. Ustawił przyrządy celownicze i nasunął na oczy zestaw obiektywów. - Mam go

prawie w zasięgu. Torpedy gotowe... zbliżam się. Trzymajcie ich jeszcze przez parę sekund... Starajcie się.

Ale Darth Vader nastawiał już swoje przyrządy celownicze, spadając jak kamień w metalowy kanion. - Domknąć szyk. Sam ich załatwię.

Błękitny Dwanaście był pierwszy - oba silniki zniszczone. Niewielkie odchylenie toru lotu i jego maszyna roztrzaskała się o ścianę. Błękitny Dziesięć zwalniał i przyspieszał, zataczał się jak pijany, lecz niewiele mógł zdziałać przy tak ograniczonym polu manewru.

- Nie utrzymam ich długo. Lepiej strzelać, póki jeszcze można.

Dowódca był pochłonięty naprowadzaniem na siebie dwóch kół w obiektywie celownika.

- Jesteśmy prawie w domu. Spokojnie, spokojnie... Błękitny Dziesięć rozglądał się gorączkowo.

- Oni są tuż za mną!

Dowódca był zdumiony własnym spokojem. Po części zawdzięczał go układowi celowniczemu, pozwalającemu skoncentrować się na małych abstrakcyjnych obrazach i zapomnieć o wszystkim innym, pomagającemu wypchnąć z umysłu cały wrogi wszechświat.

- Prawie... prawie... - szeptał. Wreszcie oba kręgi pokryły się i poczerwieniały, a w słuchawkach hełmu rozległo się głośne buczenie. - Torpedy poszły, torpedy poszły!

Natychmiast po nim wystrzelił swe pociski Błękitny Dziesięć. Oba myśliwce ostro pociągnęły w górę i opuściły kanion w chwili, gdy torpedy eksplodowały.

- Trafiony! - zawołał histerycznie Błękitny Dziesięć. - Udało się nam!

- Nie udało się - stwierdził rozczarowany Dowódca. - Torpedy wybuchły na powierzchni, poza szybem.

Uczucie zawodu było tak silne, że zaniedbali obserwacji przestrzeni za sobą. Trzy ścigające ich myśliwce Imperium wznosiły się, widoczne na tle blednącego wybuchu torped. Precyzyjny strzał Vadera zniszczył Błękitnego Dziesięć. Czarny Lord delikatnie zmienił kurs, by znaleźć się za plecami dowódcy eskadry.

- Załatwię tego ostatniego - oświadczył zimno. - Wy dwaj wracajcie.

Luke starał się wypatrzyć atakującą trójkę na tle błyszczącej w dole kuli gazów, gdy w jego słuchawkach odezwał się głos dowódcy. - Błękitny Pięć, tu dowódca. Wchodź na pozycję, Luke. Zaczynaj atak. Trzymaj się nisko i czekaj, aż znajdziesz się bezpośrednio nad celem. To nie będzie łatwe.

- Czy wszystko w porządku? - Są za mną, ale zgubię ich.

- Błękitny Pięć do eskadry. Schodzimy - rozkazał Luke.

Trzy myśliwce wykonały zwrot i zanurkowały w stronę kanionu. Tymczasem Vaderowi udało się trafić ofiarę. Przechodzący stycznie do pancerza pocisk wzbudził szereg niewielkich wybuchów w jednym z silników. R2 myśliwca przesunął ramię w stronę uszkodzonego płata i próbował naprawić układ.

- R2, odłącz zasilanie od pierwszego prawego silnika - polecił spokojnie Błękitny Dowódca, z rezygnacją obserwując czujniki, wskazujące stany niemożliwe.

- Trzymaj się mocno, będzie rzucało.

Luke zauważył problemy trafionej maszyny.

- Jesteśmy nad panem, Dowódco - poinformował. - Proszę zrobić zwrot na koma zero pięć, to pana, osłonimy.

- Straciłem górny prawy silnik.

- Zejdziemy do pana.

- Zakazuję. Zostańcie, gdzie jesteście, i przygotujcie się do nalotu bojowego.

- Na pewno da pan sobie radę?

- Chyba tak... Zaczekajcie minutkę.

Nie minęła jednak nawet minuta i wirujący X Błękitnego Dowódcy wrył się w powierzchnię stacji.

Luke patrzył, jak nikną w dole ślady wybuchu. Wiedział, co było jego powodem. Po raz pierwszy odczuł w całej pełni własną bezradność.

- Właśnie straciliśmy dowódcę - mruknął, nie dbając o to, czy jego mikrofon przechwycił smutną wiadomość.

Na Yavinie Cztery Leia Organa wstała z krzesła i zaczęła spacerować nerwowo. Jej paznokcie, zwykle bardzo zadbane, były teraz nierówne i poszarpane od ciągłego przygryzania. Lecz wyraz twarzy mocniej jeszcze zdradzał uczucia niepokoju i smutku, przepelniającego wszystkich w tej sali na wiadomość o śmierci Błękitnego Dowódcy.

- Czy mogą nadal prowadzić akcję? - spytała wreszcie Dodonna.

- Muszą - odparł zdecydowanie generał.

- Ale straciliśmy już tak wielu... Jak zdołają się przegrupować bez Błękitnego i Czerwonego Dowódcy?

Dodonna miał właśnie odpowiedzieć, lecz powstrzymał się. Z głośnika zabrzmiały ważniejsze w tej chwili słowa.

- Dołącz, Wedge - mówił oddalony o tysiące kilometrów Luke. - Gdzie jesteś, Biggs?

- Wchodzę w szyk zaraz za tobą.

- Dobra, szefie, jesteśmy na pozycji - odezwał się w chwilę później Wedge.

Dodonna spojrział na Leię z niepokojem. Trzy X-y leciały w ścisłym szyku wysoko nad powierzchnią stacji. Luke obserwował przyrządy, walcząc jednocześnie z uszkodzonym chyba układem sterowniczym. Jakiś głos odezwał się nagle. Młody i stary jednocześnie, znajomy głos, spokojny, pewny, uspokajający - głos, którego kiedyś słuchał z uwagą na pustkowiach Tatooine i w trzewiach stacji bojowej.

- Zaufaj swym uczuciom, Luke - to było wszystko, co powiedział ten głos, tak podobny do głosu Kenobiego. Luke postukał w hełm, niepewny, czy naprawdę coś słyszał. Nie było czasu na rozmyślanie. Stalowszary horyzont stacji był coraz bliżej.

- Wedge, Biggs, schodzimy - polecił swoim skrzydłowym. - Na pełnej szybkości.

Nie ma sensu szukać korytarza i potem przyspieszać. Może uda się utrzymać te myśliwce odpowiednia daleko z tyłu.

- Zostaniemy za tobą tak, żeby móc cię osłaniać - oświadczył Biggs. - Czy przy tej prędkości dasz radę podciągnąć na czas?

- Chyba żartujesz - odpowiedział Luke, kierując maszynę ku powierzchni. - To będzie zupełnie podobne do Kanionu Żebraków na Tatooine.

- Jestem z tobą, szefie - poinformował Wedge, po raz pierwszy mocniej akcentując owo "szefie". - Lecimy...

Trzy smukłe myśliwce ruszyły z pełną szybkością w stronę powierzchni. Wyrównały lot w ostatnim możliwym momencie. Luke znalazł się tak nisko, że koniec jego skrzydła zahaczył sterczącą do góry antenę i metalowe drzazgi rozprysnęły się we wszystkich kierunkach. Niemal natychmiast oplątała ich pajęczyna pocisków i promieni laserów. Kiedy zeszli w korytarz, ogień obrony nasilił się jeszcze.

- Chyba się zdenerwowali - parsknął Biggs traktujący całą tę zaporę ogniową jakby była pokazem sztucznych ogni.

- Doskonale - Luke był zaskoczony tym, że nic nie przesłaniało mu widoku. - Wszystko widzę. Wedge nie był tak zachwycony.

- Mam na ekranie wieżę - powiedział obserwując przyrządy. - Ale nie mogę złapać tego szybu. Musi być strasznie mały. Jesteście pewni, że komputer da radę go namierzyć?

- Lepiej, żeby dał - mruknął Biggs.

Luke milczał - był zbyt zajęty utrzymywaniem kursu wśród wybuchających pocisków. I nagle, jak na rozkaz, działa obrony umilkły. Rozejrzał się, wypatrując oczekiwanych Tie-Fighterów, lecz nie dostrzegł niczego. Podniósł rękę, by opuścić na pozycję obiektyw celownika. Zawahał się chwilę, lecz ustawił go przed oczyma.

- Uważajcie na siebie - rzucił do swych kolegów. - Co z tą wieżą? - zaniepokoił się Wedge.

- Martw się o myśliwce - burknął Luke. - Wieżę ja się zajmę.

Pędzili naprzód, z każdą sekundą zbliżając się do celu. Wedge spojrzął do góry i nagle znieruchomiał. - Lecą - oznajmił. - Zero koma trzy.

Czarny Lord przygotowywał się do ataku, gdy jeden z jego skrzydłowych złamał ciszę radiową.

- Za szybko wykonują podejście. Nie dadzą rady wyciągnąć.

- Pilnujcie ich - polecił Vader.

- Za szybko lecą, żeby utrzymać namiar - oświadczył pewnie trzeci z pilotów.

Vader przyjrzał się czujnikom i stwierdził, że ich wskazania potwierdzają tę ocenę.

- I tak będą musieli zwolnić, zanim dociągną do tej wieży.

Luke obserwował powierzchnię przez obiektyw celownika.

- Prawie w celu... - po kilku sekundach dwa koła pokryły się i jego palec zacisnął się na spuście. - Torpedy poszły! W górę, w górę!

Dwa potężne wybuchy wstrząsnęły korytarzem. Torpedy uderzyły niegroźnie, daleko w bok od małego otworu. Trzy T wyskoczyły z rozszerzającej się gwałtownie kuli ognia i popędziły za maszynami powstańców. - Bierzcie ich - polecił cicho Vader.

Luke zauważył ścigających niemal natychmiast.

- Wedge, Biggs, rozdzielamy się. To jedyny sposób, żeby ich zgubić.

Trzy maszyny runęły w dół, by nagle wystrzelić do góry w trzech kierunkach. Wszystkie trzy T skręciły za Luke'em. Vader wystrzelił do wykonującego szaleńcze uniki myśliwca, chybił i zmarszczył czoło.

- Moc jest silna u tego jednego. Dziwne. Sam się nim zajmę.

Luke przemykał się między wieżami obrony i wymijał wystające w przestrzeń urządzenia dokujące, lecz bez skutku. Tie-Fighter, jeden już tylko, trzymał się tuż za nim. Promień dotknął jednego ze skrzydeł, obok silnika, który zaczął iskrzyć. Luke z trudem utrzymywał kontrolę nad maszyną. Nie rezygnując ze zgubienia swego natrętnego prześladowcy chłopiec znów wleciał w korytarz.

- Trafił mnie - poinformował. - Ale niegroźnie. Artoo, zobacz, co da się zrobić.

Mały robot odpiął zaczepy i ruszył do pracy przy uszkodzonym silniku. Promienie laserów błyskały niebezpiecznie blisko jego korpusu.

- Trzymaj się tam z tyłu - poradził mu Luke mijając kolejne wieże. Myśliwiec zawracał i skręcał gwałtownie.

Siła ognia nie malała. Luke losowo zmieniał kierunek i szybkość lotu. Bloki czujników na tablicy kontrolnej powoli zmieniały barwę, a trzy podstawowe wskaźniki powróciły w obszar, gdzie powinny się znajdować.

- Chyba trafiłeś, Artoo - oświadczył z wdzięcznością Luke. - Chyba... tak, to jest to. Postaraj się tylko tak to zamocować, żeby się znowu nie obluźowało.

R2D2 zabuczał w odpowiedzi. Luke spojrzął do góry i za siebie.

- Chyba zgubiliśmy te myśliwce. Uwaga Błękitni, tu Piątka. Załatwiliście swoje sprawy?

Jego X wyprysnął z korytarza, wciąż ścigany ogniem dział stacjonarnych.

- Czekam tu na górze, szefie - odezwał się Wedge. - Nie widzę cię.

- Lecę do ciebie. Błękitny Trzy, co z tobą? Biggs? - Miałem drobne kłopoty - odpowiedział przyjaciel. - Ale chyba go zgubiłem.

Coś błysnęło na jego ekranie. Spojrzenie do tyłu ukazało Biggsowi Tie-Fightera, który ścigał go przez ostatnie kilka minut i teraz znowu znalazł się za nim.

- Nie, jednak nie - stwierdził. - Zaczekaj moment, Luke, zaraz tam będę.

W głośnikach odezwał się nagle cienki mechaniczny głos.

- Trzymaj się, Artoo, trzymaj się! - w sztabie w świątyni Threepio odwrócił wzrok od zdumionych, wpatrzonych w niego ludzkich twarzy.

Luke wzniósł się wysoko ponad stacją. Po chwili dołączył do niego następny X-skrzydłowiec. Rozpoznał maszynę Wedge'a i zaczął nerwowo rozglądać się za przyjacielem.

- Atakujemy, Biggs, dołącz. Biggs, co z tobą? Biggs! - nigdzie nie było widać śladu myśliwca. - Wedge, nie widzisz go gdzieś?

Za przezroczystą szybą kabiny pilot przecząco pokręcił głową.

- Nie - dobiegło z głośnika. - Zaczekamy jeszcze chwilę. Zjawi się.

Luke rozejrzał się zmartwiony, sprawdził kilka wskaźników i zdecydował:

- Nie możemy dłużej czekać. Chyba mu się nie udało.

- Hej, chłopcy - odezwał się wesoły głos. - Na co tu czekacie?

Luke spojrział w prawo, akurat, by zobaczyć myśliwiec, który przemknął obok i zwolnił nieco przed jego maszyną.

- Nigdy nie należy stawiać kreski na statym Biggsie - stwierdził głos w intercomie.

W centralnej sali kontrolnej stacji zdyszany oficer podbiegł do człowieka obserwującego główny ekran bojowy i podał mu plik wydruków.

- Sir, skończyliśmy analizę ich planu ataku. Istnieje zagrożenie. Czy powinniśmy przerwać starcie, czy przystąpić do ewakuacji? Pański statek czeka.

Oficer cofnął się przestraszony, gdy Tarkin spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Ewakuacja? - ryknął. - W chwili tryumfu? Kiedy mamy właśnie zniszczyć ostatnie resztki Sprzymierzenia? Ośmielasz się proponować ewakuację? Mocno przeceniasz ich możliwości. A teraz wynoś się. Przerazony wybuchem gniewu gubernatora oficer odwrócił się i wyszedł z sali.

- Schodzimy - oznajmił Luke, ostro pikując w stronę powierzchni. Wedge i Biggs trzymali się tuż za nim.

- Lecimy, Luke - zabrzmiał gdzieś w jego głowie głos, który słyszał poprzednio.

Znowu stuknął w swój hełm i obejrzał się. Słowa były tak wyraźne, jakby mówiący stał za nim. Lecz z tyłu był tylko metal i milczące instrumenty. Raz jeszcze sięgnęły ku nim promienie laserów. Mijały go w bezpiecznej odległości, a stacja bojowa rosła mu w oczach. Lecz to nie ogień zaporowy był powodem jego niepokoju - wskazania niektórych podstawowych czujników znowu zaczęły się zbliżać do niebezpiecznej strefy. Pochylił się nad mikrofonem.

- Artoo, te stabilizatory musiały się znów poluzować. Sprawdź, czy dasz radę je zamocować. Muszę mieć pełną kontrolę.

Nie zważając na nierówny lot, lasery i wybuchy rozświetlające przestrzeń, mały robot ruszył do pracy. Ogień stał się silniejszy, gdy trzy myśliwce wyrównały lot w korytarzu. Biggs i Wedge zwiększyli odstęp, by osłaniać prowadzącego.

Luke sięgnął po obiektyw celownika. Nasunął go na oczy jeszcze wolniej niż poprzednio - jakby jego wola walczyła sama z sobą.

Zgodnie z oczekiwaniami obrona zamilkła nagle i mógł bez przeszkód prowadzić maszynę między ścianami metalowego wąwozu.

- Znowu się widzimy - stwierdził Wedge, widząc wchodzące na tor pościgowy trzy Tie-Fightery.

Obaj z Biggsem zaczęli manewrować za Luke'em, starając się ściągnąć ogień na siebie i zmylić ścigających. Jeden z trójki T, ignorując te próby, zbliżał się nieuchronnie do powstańczych myśliwców.

Luke popatrzył na celownik... i powoli odsunął go na bok. Przez długą minutę jak zahipnotyzowany wpatrywał się w wyłączony instrument. Wreszcie gwałtownym ruchem nasunął go z powrotem. Maleńki ekran wskazywał szybko zmieniającą się odległość między X-em i coraz bliższym celem.

- Szybciej, Luke - zawołał Biggs, rzucając maszynę w ostry zwrot - w ostatniej chwili, by uniknąć potężnego promienia. - Tym razem idą szybciej. Nie damy rady ich powstrzymać zbyt długo.

Z nieludzką dokładnością Darth Vader przycisnął spusty broni pokładowej swojego myśliwca. W głośnikach zabrzmiał długi, rozpaczliwy krzyk, ginący w dźwięku rozrywanego ciała i metalu - maszyna Biggsa wybuchła miliardem odłamków, lśniącym deszczem opadających na dno korytarza.

Wedge także usłyszał wybuch w swoich głośnikach. - Straciliśmy Biggsa - wrzasnął do mikrofonu. Luke odpowiedział nie od razu. Miał łzy w oczach i wytarł je gwałtownie. Przeszkadzały mu w obserwacji odczytu komputera celowniczego.

- Jesteśmy parą asów, Biggs - szepnął nagle zachrypnięty. - I nic nas nie zatrzyma.

Bliski wybuch wstrząsnął jego maszyną.

- Dołącz, Wedge - polecił swemu skrzydłowemu. - Tam z tyłu niewiele możesz zdziałać. Artoo, postaraj się dać trochę więcej mocy tylnym deflektorom.

Artoo ruszył pospiesznie, by spełnić polecenie, a Wedge zajął pozycję bliżej myśliwca Luke'a. Ścigające ich T także zwiększyły szybkość.

- Biorę prowadzącego - oznajmił Vader. - Wy zajmijcie się tym drugim.

Luke leciał tuż przed Wedgem, nieco z lewej. Pociski ścigających przelatywały coraz bliżej. Obaj piloci krzyżowali swoje tory, starając się być możliwie niewygodnym celem. Nagle kilka błysków i snopy iskier rozjaśniły tablicę przyrządów myśliwca Wedge'a. Niewielki boczny pulpit eksplodował, pozostawiając po sobie wytopioną dziurę. W jakiś niewyjaśniony sposób pilot utrzymał kontrolę nad maszyną.

- Mam fatalną awarię, Luke. Nie mogę z tobą zostać.

- Dobra, Wedge, spływaj.

Wedge mruknął żalose "Przepraszam" i podciągnął w górę, by wyprowadzić X-a z korytarza.

Vader wystrzelił do ostatniego pozostałego przed nim myśliwca.

Luke nie widział śmiertelnej eksplozji niemal za swymi plecami. Nie miał też czasu, by przyjrzeć się dymiącej skorupie poskręcane go metalu płynącej teraz obok jego silnika. Ramiona małego robota opadły bezwładnie.

Wszystkie trzy Tie-Fightery kontynuowały pogoń za ostatnim pozostałym w korytarzu X-skrzydłowcem. Najwyżej sekundy pozostały jeszcze do chwili, gdy któryś z nich unieszkodliwi robiąc gorączkowe uniki maszynę. Tyle, że w pościgu brały udział już tylko dwa myśliwce. Trzeci był rozszerzającą się kulą szczątków uderzających o metalowe ściany.

Jedyny już skrzydłowy Vadera rozglądał się w panice, poszukując nieznanego napastnika. Lecz te same pola dystorsyjne, które zakłócały działanie przyrządów rebeliantów, teraz robiły to samo z czujnikami Tie-Fightersów. Dopiero kiedy frachtowiec niemal całkowicie przesłonił słońce, pilot rozpoznał nowe zagrożenie. To był koreliański transportowiec, większy od myśliwców i lecący prosto w korytarz. Ale jego lot nie przypominał lotu frachtowca.

Ktokolwiek pilotował ten statek musiał być nieprzytomny albo szalony, zdecydował skrzydłowy. Panicznie manewrował sterami, próbując uniknąć nieuchronnego - zderzenia. Frachtowiec przemknął tuż nad nim, lecz mijając go skrzydłowy skręcił za ostro w bok.

Niewielki wybuch był efektem zetknięcia dwóch wielkich płatów lecących obok siebie Tie-Fightersów. Skrzydłowy wrzasnął przeraźliwie do mikrofonu, a jego maszyna runęła na ścianę korytarza. Nie zdążyła jej dotknąć - tuż przed zetknięciem eksplodowała jaskrawym płomieniem.

Po przeciwnej stronie myśliwiec Vadera zaczął bezradnie wirować. Najrozmaitsze wskaźniki, nie zważając na wściekłość Czarne go Lorda, podawały brutalnie prawdziwe odczyty. Pozbawiony kontroli mały stateczek wirował nadal, oddalając się w stronę przeciwną niż zniszczony skrzydłowy: w nieskończoną czerń kosmosu.

Ktokolwiek sterował zwrotnym frachtowcem nie był ani nieprzytomny, ani szalony - był może nieco podniecony, ale w pełni nad sobą panował. Statek wzniósł się wysoko nad korytarzem i zawrócił, by poszybować nad Luke'em.

- Masz teraz wolną drogę, mały - odezwał się znajomy głos. - Więc rozwał co trzeba i lecimy do domu.

Po czym nastąpiło potakujące warknięcie, które mógł wydać z siebie jedynie szczególnie wielki Wookie.

Luke spojrzął do góry przez osłonę kabiny i uśmiechnął się. Zaraz jednak spowaźniał i powrócił do celownika. Coś jakby dotknęło jego umysłu.

- Zaufaj mi, Luke - po raz trzeci usłyszał ten sam głos. W obiektywie celownika szyb wentylacyjny zbliżał się do kręgu gotowości strzeleckiej, tak samo jak poprzednio... kiedy chybił. Tym razem wahał się tylko sekundę, nim odepchnął układ celowniczy na bok. Zamknął oczy. Mogło się здаwać, że mamrocze coś, jakby prowadząc rozmowę z kimś niewidocznym. Z pewnością siebie przesunął kciuk nad kilkoma przyciskami. Potem dotknął jednego z nich. W chwilę później z głośników odezwał się zaniepokojony głos:

- Baza Jeden do Błękitnego Pięc. Twój system celowniczy jest wyłączony. Co się stało?

- Nic - mruknął ledwie słyszalnie Luke. - Nic. Zamrugał i przetarł oczy. Czyżby zasnął? Rozejrzał się dookoła. Był ponad korytarzem, w otwartej przestrzeni. Nad nim unosił się znajomy kształt frachtowca Hana Solo. Przyrządy wskazywały, że wystrzelił pozostałe torpedy, choć w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, by naciskał spust. A przecież musiał.

Głośniki w kabinie rozbrzmiewały podnieconymi głosami.

- Udało ci się! Udało! - wrzeszczał raz po raz Wedge. - Weszły chyba prosto w szyb!

- Dobry strzał, mały - pochwalił Solo. Musiał krzyżeć, by być słyszany przez radosne wycie Wookiego.

Odległe, stłumione drgania wstrząsnęły myśliwcem Luke'a jako znak bliskiego zwycięstwa. Przecież musiał odpalić te torpedy, prawda? Stopniowo przychodził do siebie.

- Cieszę się... że tu byliście i widzieliście to wszystko. A teraz lepiej będzie wepchnąć spory dystans między nas i tę kulę, zanim się rozleci. Mam nadzieję, że Wedge się nie pomylił.

Jeden fatalnie wyglądający frachtowiec oraz kilka X-ów weszło na tor wiodący ku dalekiej tarczy Yavina wciąż zwiększając szybkość. Za nimi tylko iskierki światła znaczyły pozycję stacji. I nagle w jej miejscu na niebie pojawiło się coś, co było jaśniejsze niż lśniący gazowy gigant, bardziej jaskrawe od jego dalekiego słońca. Na kilka sekund wieczna noc zmieniła się w dzień. Nikt nie ośmielił się spojrzeć w tamtą stronę. Nawet specjalne osłony ustawione na maksymalną moc nie potrafiłyby przyćmić przerażającego blasku.

Przestrzeń wypełniła się na pewien czas bilionami mikroskopijnych metalowych odłamków, popychanych za odlatującymi maszynami wyzwoloną energią niewielkiego sztucznego słońca. Resztki stacji bojowej miały płonąć jeszcze przez kilka dni, stając się w tym krótkim czasie najbardziej imponującym grobowcem w tej okolicy kosmosu.

Rozdział XII

Radosny, hałaśliwy tłum techników, mechaników i innych mieszkańców sztabu Sprzymierzenia otaczał natychmiast każdy z myśliwców, który wylądował i wtoczył się do wnętrza świątyni. Kilku z pozostałych przy życiu pilotów zdążyło już wysiąść i teraz oczekiwało Luke'a, by mu pogratulować.

Po drugiej stronie X-a tłum był zdecydowanie mniejszy i znacznie bardziej poważny. Składał się z grupy techników i wysokiego humanoidalnego robota, który przyglądał się z niepokojem, jak ludzie wylądowują z postrzelonej maszyny okopcony metalowy korpus.

- Artoo? - powtarzał Threepio pochylony nad zwęglonym miejscami pancerzem. - Słyszysz mnie? Odezwij się. Naprawicie go, prawda? - zwrócił się do jednego z techników.

- Zrobimy, co będzie można - odparł mężczyzna, przyglądając się stopionemu metalowi i powyrywanych częściom. - Mocno dostał.

- Musicie go naprawić. Sir, jeżeli brakuje wam części zamiennych, to chętnie oddam swoje... Odeszli wolno, nie zwracając uwagi na krzyki i podniecenie wokół siebie. Pomiedzy robotami i ludźmi, którzy je naprawiali, istniał bardzo szczególny stosunek. Przejmowali wzajemnie niektóre swoje cechy i czasem granica dzieląca człowieka od robota była mniej wyraźna, niż wielu chciałoby przyznać.

W centrum radosnego tłumu były trzy postacie walczące o pierwszeństwo w gratulowaniu sobie nawzajem. Biedy jednak przyszło do poklepywania się po plecach, Chewbacca nie miał sobie równych. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, widząc, jak ogromny Wookie z zakłopotaniem spogląda na Luke'a, zgniecionego prawie na miazgę w jego uścisku. .

- Wiedziałem, że wróćcie! - krzyczał Luke. - Po prostu wiedziałem. Gdyby nie wy, byłbym teraz chmurą pyłu!

Solo nie stracił swej zwykłej pewności siebie.

- No cóż, nie mogłem przecież pozwolić, żeby jakiś latający chłopak z farmy sam walczył z całą stacją bojową. Poza tym zaczynałem się domyślać, jak to się skończy i czułem się okropnie, Luke... zostawić cię, żebyś sobie przypisał sukces i zgarnął całą nagrodę...

Nagle przez tłum przedarła się szczupła postać w rozwianej szacie i w sposób zupełnie nie senatorski rzuciła się na Luke'a.

- Zrobiłeś to! - powtarzała Leia. - Udało ci się! Luke chwycił ją w ramiona i zakręcił wokół siebie. Potem Leia podeszła do Solo i także go uściskała jak można było się spodziewać, Korelianin nie był tak zmieszany.

Nagle zakłopotany powszechnym entuzjazmem Luke odwrócił się i spojrzał z aprobatą na wymęczony myśliwiec. Potem powędrował wzrokiem w górę, ku wysokiemu stropowi hangaru. Przez moment zdawało mu się, że słyszy coś, jakby ciche westchnienie, jakby pewien szalony starzec rozluźniał mięśnie, co zwykł robić w chwilach zadowolenia. Był to pewnie tylko gorący wiatr tego porośniętego wilgotną dżunglą świata, lecz Luke uśmiechnął się do tego, co zdawało mu się, że zobaczył w górze.

W ogromnej świątyni było wiele pomieszczeń, które technicy Sprzymierzenia przebudowali na nowoczesne pracownie, laboratoria, hangary i komfortowe pokoje. Była też wielka sala, tak klasycznie piękna w swej surowej prostocie, że mimo niedostatku miejsca na księżycu Yavin, architekci nie zmienili w niej nic, ograniczając się jedynie do zabezpieczenia jej przed inwazją dżungli. Po raz pierwszy od tysięcy lat ta ogromna sala wypełniona była po brzegi. Setki żołnierzy i techników Sprzymierzenia stały w szeregach na równej, błyszczącej jak szklana tafła, kamiennej podłodze. Zebrali się tu po raz ostatni przed odlotem do swoich domów i nowych zadań stanowiących świadectwo siły i możliwości powstania.

Delikatny powiew poruszał lekko chorągiewami planet, które udzielały pomocy Sprzymierzeniu. W odległym końcu głównej nawy stała na podwyższeniu, ubrana w przepisową biel, Leia Organa w

otoczeniu przywódców Sprzymierzenia. U wejścia ukazała się grupka postaci. Jedna z nich, wielka i kosmata, rozglądała się niespokojnie, jakby szukała drogi ucieczki, lecz jej towarzysz przywołał ją do porządku. Minęło kilka minut nim Luke, Han, Chewie i Threepio przeszli szpalerem do przeciwnego końca sali.

Zatrzymali się przed Leią. Między siedzącymi w pobliżu dostojnikami Luke rozpoznał generała Dodonę. Po chwili z boku wynurzył się znajomy, baryłkowaty kształt R2D2, który dołączył do grupy i zajął miejsce obok zdumionego Threepio.

Chewbacca nerwowo przestępował z nogi na nogę i wyraźnie okazywał, że wolałby znajdować się teraz gdzie indziej. Solo szturchnął go mocno, widząc, że Leia występuje naprzód. Jednocześnie pochylły się chorągwie planet i wszyscy zebrani w wielkiej sali zwrócili twarze w kierunku podwyższenia.

Księżniczka włożyła ciężki, złoty łańcuch na szyję Solo, potem Wookiego - musiała stanąć na palcach, by to zrobić - wreszcie Luke'a. Potem skinęła ręką w stronę tłumu. Natychmiast prysnął uroczysty nastrój i każdy mężczyzna, kobieta i robot mógł dać pełny wyraz swym uczuciom.

Stojąc tak wśród rozkrzyczanego tłumu, Luke nie myślał teraz o swej przyszłości, może wśród powstańców, a może poświęconej pełnym przygód rejsom z Hanem Solo i Chewbaccą. Zamiast tego, choć Han twierdził, że nie warto, myślał wyłącznie o Lei.

Zauważyła jego spojrzenie, lecz tym razem uśmiechnęła się tylko.